ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV.—OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVIII.

TOM II.—ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono dnia 4 czerwca 1890 r.



SPRAWA DZIECI OPUSZCZONYCH.

W ostatnich czasach w prasie naszéj, sprawa losu dzieci opuszczonych rozbieraną była i dotychczas rozbieraną bywa bardzo żywo. Ale jeżeli się nie mylę, to jak dotąd, wyniki dziennikarskich rozpraw, odezw i projektów w téj sprawie nietylko nie doprowadziły do wytworzenia środków pomocy wobec uwidocznionéj nagle niedoli dziecięcéj, lecz nawet nie ustaliły wśród ukształconego ogółu jasnych pojęć o niéj. Tak bezowocności zbyt licznych, a mało dojrzałych projektów, jak i zgmatwaniu się opinii dziwić się nie można. Wbrew bowiem rozpowszechnionemu mniemaniu, sprawa dzieci opuszczonych wogólności, a sprawa tak zwanych podrzutków w szczególności, bynajmniéj z natury swéj prostą nie jest i do rozbioru przez publicystów się nie nadaje.

Sprawa podrzutków i opieki nad niemi, należy wyłącznie do dziedziny medycyny publicznéj. Biegłym w niéj jest lekarz. Nieraz przychodzi się nią zająć prawnikowi, lub ekonomiście, samodzielnie jéj jednak rozważać, a témbardziéj rozstrzygać w niéj, prawnik ani ekonomista nie mogą i nie powinni, brak im bowiem zawsze znajomości bezpośredniéj téj sfery życia, o którą w téj sprawie chodzi, brak im znajomości historyi naturalnéj dziecka wogóle, czy podrzutka.

To téż pokuszenia jednostek bezpośrednio nieobeznanych z żywym materyałem, o który tu chodzi, nieobeznanych z fizyologią życia niemowlęcego, pokuszenia mające na celu rozbiór i rozstrzygnięcie zawiłéj sprawy podrzutków, przyczyniały się często nie do jéj wyjaśnienia, lecz raczéj do zaciemnienia.

Kto nie widział tysięcy niemowląt w pierwszych dniach życia piersi matki pozbawionych, kto się nie obeznał z warunkami i skutkami ich sztucznego karmienia i dokarmiania, kto nie wniknął w przyczyny śmierci niemowląt wogólności, a wszczególności niemowląt opuszczo-

nych, sztucznie karmionych, zgłodniałych, dziedzicznie upośledzonych, kto nie wchodzi codziennie na poddasza, kto nieobeznany jest z bytem materyalnym i moralnym ubogiéj wyrobnicy, karmiącéj wyschłą od głodu piersią niemowlę i z bytem niemniéj ubogiéj karmicielki, biorącéj obce niemowlę „na garnuszek“ za opłatą 10 groszy dziennie, kto nie zwiedzał domów podrzutków dobrze i źle prowadzonych, kto biegle nie potrafi ocenić technicznych braków pomieszczenia niemowlęcia w rodzinie czy w przytułku, ten przecie, nie może i nie powinien stanowczego sądu wypowiadać w sprawie, w któréj chodzi jedynie, tak jest, jedynie! o ocalenie życia jednostki.

Nie objaśnią ogółu w téj sprawie szeregi cyfr statystyki; statystyka tak w téj, jak w wielu innych sprawach społeczno-higienicznych o tyle ma wagę o ile posługujący się nią jest uzdolniony do interpretowania umiejętnie pierwotnego materyału, z którego się owe cyfry i ich zestawienia składają. Otóż ów pierwotny materyał w sprawie podrzutków przystępny jest do ocenienia tylko dla lekarza i tylko lekarz w interpretacyi danych statystycznych w téj sprawie zdoła uniknąć nieusprawiedliwionych rzeczywistością uogólnień i dziwacznych wnioskowań.

W rozpatrywaniu sprawy podrzutków na gruncie realnym, na gruncie faktów i stosunków istniejących tu i owdzie wielce różnych, lekarz zetknąć się musi z czynnikami, należącemi to do dziedziny prawodawczéj, to do administracyi. Ale uprawnienie rzeczonych czynników, ich dodatnie czy ujemne znaczenie w sprawie podrzutków i opieki nad niemi, lekarz i tylko lekarz niechybnie mierzyć będzie zawsze przy pomocy jedynego właściwego w téj sprawie *criterium*: bezpieczeństwa zagrożonego życia i zdrowia niemowlęcia. Nie waham się z góry wypowiedziéć mniemania, iż rzeczone *criterium* nietylko jest wobec sądu lekarza jedyném słuszném, ale że również w imię etyki, w imię społecznego ładu, ono tylko bez obawy wejścia na bezdroża kierującém być może.

Uwydatniwszy w powyższém wyłączność stanowiska, z jakiego, mniemam, iż sprawa podrzutków jedynie słusznie rozważaną być może, w dalszym toku niniejszych uwag postaram się rzeczoną wyłączność usprawiedliwić; przed tém jednak jeszcze pragnę dać czytelnikowi wyjaśnienie co do pewnych wątpliwości, występujących na jaw we wszystkich prawie artykułach dziennikarskich, w ostatnich czasach u nas w téj sprawie ogłaszanych. Czytając je zdawaćby się mogło, że sprawa podrzutków u nas wczoraj się urodziła, i że gdzie indziéj, za górami dawno już ją pomyślnie załatwiono według téj a téj recepty, recepty, zdaniem autorów, nieomylnéj. Recept jest naturalnie legion.

Wprawdzie tam, na miejscu, gdzie są stosowane owe „kółka“, „żłobki“, „*maternités*“, „*asyles*“, „*depôts*“, domy podrzutków, lub organizacye „rad sierocych“, „komitetów inspekcyjnych“, gdzie istnieje prawo dochodzenia ojcostwa i prawny przymus alimentacyi nieprawego dziecięcia, i tam, gdzie „*la recherche de la paternité est interdite*“, tu i tam znawcy całéj sprawy nie podają rzeczonych środków i urządzeń bynajmniéj za *panacea*, za doskonałe, za wyłącznie zbawcze, lecz raczéj usiłują zbudować system skutecznéj pomocy dla dzieci opuszczonych za pomocą najrozmaitszych, jednocześnie współdziałających środków.

Sprawa podrzutków jest tak stara jak cywilizacya. Jak się ona i ściśle z nią związana sprawa dzieciobójstw przedstawiała u starych Greków, u Żydów, u Rzymian, jak ją traktowano w wiekach średnich, kto ciekawy, niech szuka odpowiedzi w rozprawie C. Silberschlaga (*Dr. Juris*) [1]), w encyklopedyczném opracowaniu R. W. Raudnitza [2]) w pracy L. Lallemanda [3]) i w. i. Z dziejów minionych i z kolei jaką ta sprawa w ciągu wieków przechodziła, uważam za stosowne zaznaczyć tu jedynie to, że już przed 15-tu wiekami prawodawca potrafił rzetelnie ocenić gdzie jądro sprawy téj leży. Cesarz Konstantyn rozkazując władzom, iżby niemowlęciu pozbawionemu opieki rodzicielskiéj dostarczały pożywienia i odzieży, zastrzega wyraźnie, by to czyniły „bez najmniejszéj zwłoki“, i wymaganie to uzasadnia argumentem, któryby i dziś wbrew doktryneryzmowi niektórych jurystów i ekonomistów, rozstrzygającym być winien. „Albowiem — brzmi koniec cesarskiego rozkazu — zaspokojenie potrzeb nowonarodzonego niemowlęcia odkładane być nie może“.

Dawno więc już wiedziano o co w sprawie podrzutków chodzi; ale mylném byłoby mniemanie, jakoby gdziebądź już dziś sprawa ta pomyślnie załatwiona była, jakoby w tym lub owym kraju, w tém lub owém wielkiém mieście, za pomocą „systemu“ romańskiego, germańskiego czy józefińskiego, zastosowano istotnie zadawalniające środki, środki zaspokojenia potrzeb opuszczonego dziecka bez najmniejszéj zwłoki i zaspokojenia ich skutecznie.

Nigdzie tak pomyślnie sprawa opieki nad opuszczonemi dziećmi nie stanęła jeszcze, byśmy zkądkolwiek bez krytyki wprost wzory do jéj przeprowadzenia u nas brać mogli.

---

[1]) Ueber die Sitte des Kindesmordes im Alterthume und über die Pflege der sogenannten Haltekinder in heutiger Zeit w D. V. f. öff. G. T. XIII. 1881.

[2]) Die Findelpflege, 1887. — [3]) Histoire des enfants abandonnés et délaissés. Paris. 1885.

Dlaczego nawet w społeczeństwach dawno państwowo uorganizowanych, cieszących się urządzeniami prawodawczemi i administracyjnemi, dającemi wszechstronną rękojmię bezpieczeństwa życia, zdrowia i mienia każdéj jednostki, dlaczego nawet w takich społeczeństwach i państwach, do ostatnich czasów niedola dziecięca w sposób ohydny bywała tolerowana, na to pytanie odpowiedziéć-by trzeba gruntowném studyum dziejów losu dzieci opuszczonych, dziejów odnośnego prawodawstwa i zarządu w różnych krajach. Nie ma wątpliwości, że zarówno w krajach, w których były otwarte „kółka“, czy nieograniczone przyjmowanie opuszczonych dzieci do przytułków (Francya, Włochy, Hiszpania, Portugalia), jak i tam, gdzie nigdy dotąd „kółka“ i „przytułku“ stałego nie zdecydowano się wprowadzić (północne Niemcy), — tam i tu byli znawcy biegle oceniający potrzeby opuszczonych, byli rozumni prawodawcy nie dający się żadną socyologiczną metafizyką odwieść od jasnego w téj sprawie celu: ocalenia. I również jest niezawodném, że tam i tu, mimo owych znawców przedmiotu, mimo prawodawstwa różnego wprawdzie, ale wszędzie zgodnego z wymaganiami etyki chrześciańskiéj, dola dzieci, a szczególniéj dola niemowląt opuszczonych, bywała i bywa dotąd jeszcze w znacznéj mierze o wiele gorszą od doli każdéj innéj ofiary cudzego błędu, cudzéj nędzy, czy cudzéj lekkomyślności. Dlaczego?

Zamiast owego studyum historycznego, któremby na powyższe pytanie odpowiedziéć wypadało, studyum, na jakie mnie nie stać, pozwolę sobie przytoczyć słów parę napotkanych we wspomnianéj już rozprawie radcy wyższego sądu krajowego w Naumburgu, doktora prawa, C. Silberschlaga (1881). Autor ten wprawdzie mówi o stosunkach panujących w jego pruskiéj ojczyźnie, ale jeżeli się nie mylę, to uwaga jego nie do samych Prus odniesioną być może. Oto te słowa:

„I dlaczegóż to owe tak pełne ludzkości ustawy „Powszechnego Prawa krajowego (pruski *Landrecht*—odnośne artykuły pochodzą z połowy wieku XVIII), dotyczące zapomogi dla dzieci nieślubnych tak całkiem w praktyce zastosowania nie znajdują, owszem, niemal w zapomnienie po części poszły? Pochodzi to zapewne stąd głównie, iż każda z władz, któréj poruczoną jest opieka nad ubogiemi w zakresie dobroczynności publicznéj, oszczędność uważa za pierwszy swój obowiązek; otóż, na żadném polu władzom publicznym nie przychodzi oszczędzać z taką łatwością, jak na polu opieki nad nieletniemi, nieprawemi dziećmi, gdyż jeżeli przy jéj wykonywaniu przez czas jakiś należna zapomoga pieniężna nie zostaje uiszczaną, a wskutek tego dzieci mrą, to nikt zaiste skargi z tego powodu nie wniesie.“

A więc, jak w wielu innych sprawach społecznych, szkopułami

nie pozwalającemi osiągnąć wyników zgodnych z wymaganiami nauki lekarskiéj i etyki, tak i w obchodzącéj nas tu sprawie, są dobrze nam znane potęgi: biurokratyzm i fiskalność, które zdobią się chętnie w togę naukowych teoryi i kaznodziejskich morałów, ale niemniéj dobrze są u nas i gdzieindziéj oceniane, a od paru dziesiątków lat skutecznie zwalczane. Kto zada sobie pouczający wielce trud zapoznania się z wynikami śledztwa parlamentarnego w r. 1874 we Francyi odbytego, z powodu projektu do prawa d-ra med. Teofila Roussel [1]), kto przeczyta niektóre ustępy z raportów zarządu gminy Berlina, przytoczone w doskonałéj pracy d-ra med. Adolfa Baginsky'ego (1886) [2]), prace Göttisheima [3]), Uffelmanna [4]) i in.; ten się utwierdzi w przekonaniu o słuszności wyrażonéj powyżéj opinii, że mimo odpowiednich przepisów prawodawczych, mimo dobrze obmyślanego tu i owdzie „systemu" i ochrony, niedola niemowlęca wszędzie prawie do ostatnich czasów była tolerowana, ignorowana wskutek formalizmu biurokratycznego, pozującego na moralność i wskutek fiskalnego sknerstwa, lubiącego się zwać ekonomią.

Tą krótką uwagą kończę odpowiedź na powyższe: dlaczego? [5]).

Dodać mi wypada, że w ostatnich dwóch dziesiątkach lat we wszystkich krajach ucywilizowanego świata tak społeczeństwo, jak i organa państwowe gorąco się tą sprawą zajęły. Nietylko budząca się w naszych czasach tak żywo chęć ulżenia wszelkiéj niedoli, ale i dobrze zrozumiany interes społeczny, interes moralny i materyalny, doprowadziły do postawienia sprawy dzieci opuszczonych, dzieci nieprawych, sprawy podrzutków na porządku dziennym. Nie wszędzie usiłowania poprawy ogarnęły cały obszar niedoli dziecięcéj, bo i nie wszędzie jednakowo niedola ta się uwydatniła. Społeczeństwa i rządy zwróciły się w tym najnowszym okresie w rozmaite strony, stosownie do tego, z któréj osiągnięcie poprawy w danym kraju, wobec danych zwyczajów i wobec danego ustroju społecznego wydało się pilniejszém. Bądź co bądź, wyniki rzeczonych usiłowań, chociaż całości sprawy nie

---

[1]) Rapport fait au nom de la commission chargée d'examiner la proposition de loi de M. Théofile Roussel relative à la protection des enfants du premier age et en particulier des nourrissons.

[2]) Die Kost- und Kinderpflege in Berlin. D. V. f. öff. G. T. XVIII, 1886.

[3]) Ueber Kinderkosthäuser. D. V. f. öff. G. T. XI, 1879.

[4]) Ueber die in fremder Pflege untergebrachten Kinder. D. V. f. öff. G. T. XV, 1883.

[5]) Co do naszych stosunków, szczególniéj wobec reformy wprowadzonéj w domu podrzutków w Warszawie, pozwalam sobie zwrócić uwagę na rzecz w tomie VII „Medycyny," 1879, p. t.: „Sprawa podrzutków w Warszawie i w kraju."

obejmują, są znakomitéj wagi i niezawodnie staną się punktem wyjścia do stworzyć się mającego, niezbędnego, prawodawczego i organizacyjnego dzieła ochrony nad dziećmi pozbawionemi naturalnéj opieki.

W tém, co na polu opieki nad dziećmi opuszczonemi stworzono istotnie doniosłego w ostatnich paru dziesiątkach lat, rozróżnić wypada dwa działy: dział prawodawczych postanowień i organizacyi państwowych, *respective* gminnych, i dział urządzeń, będących wynikiem działania jednostek i stowarzyszeń prywatnych. Tych ostatnich jest bardzo wiele, szczególniéj we Francyi, gdzie niedola niemowląt tak nieprawych, jak i ślubnych, naturalnéj opieki pozbawionych, największe przybrała rozmiary. Ale spotykamy również liczne i dobroczynny wpływ w ostatnich czasach wywierające organizacye prywatne w Niemczech, w Anglii, w Szwajcaryi, we Włoszech i w innych krajach. Niepodobna mi tu wymieniać wszystkich, ani podawać szczegółowiéj specyalnego programu działania każdéj z tych licznych organizacyi [1]). Zaznaczam tylko w ogólności, że wobec bardzo dotychczas nieujednostajnionego i niewystarczającego prawodawstwa we wszystkich krajach, wobec nadewszystko słabéj i cząstkowéj tylko organizacyi opieki państwowéj i gminnéj nad dziećmi opuszczonemi, owe organizacye prywatne nabyły wszędzie prawie wielkiéj doniosłości. Wpływ ich i znaczenie w całéj sprawie losu dzieci opuszczonych, a podrzutków w szczególności, okazuje się najlepiéj w uznaniu ich formalném przez władze rządowe, w przyznawaniu im znacznych nieraz zasiłków, a nadewszystko w urzędowém posługiwaniu się ich pracą nadzorczą, w tych zakresach działania, w których organa państwowe i gminne, w sposób określony prawodawczo, czynności opiekuńcze nad dziećmi opuszczonemi, w pewnéj mierze dziś już spełniają. Wszędzie organa te przy spełnianiu rzeczonych czynności czują swą nieudolność, wynikającą po części z braku odpowiednich funduszów, a głównie z braku dostatecznéj liczby w danym kierunku uzdolnionych inspektorów, kontrolerów. Wielce pocieszającém jest to zjawisko uciekania się władzy państwowéj w sprawie opieki nad dziećmi pozbawionemi rodziny, do pomocy i współdziałania tych organizacyi czysto prywatnych, które nie z nakazu prawa, ale dobrowolnie przyjmują na siebie obowiązek zastąpienia opuszczonemu dziecku rodziny.

Bliższe obeznanie się z historyą naturalną dzieci opuszczonych

---

[1]) Francya: Société des amis de l'enfance; Societés de charité maternelle; Soc. protectrice de l'enfance; Soc. pour la propagation de l'allaitement maternel. Oeuvres des crêches.—Niemcy: Albertverein (Saksonia), Kinderschutzvereine (Wrocław, Altona, Frakfurt n. M.).—Anglia: Society for the prevention of cruelty to children.

i z losem, jaki im jest dany wśród rozmaitych stosunków społecznych, w miastach i po wsiach, biegłe ocenienie istotnéj wartości różnych kierunków i różnych środków pomocy dzieciom opuszczonym niesionych, doprowadza do przeświadczenia, że pomyślne załatwienie całéj téj nader zawiłéj i trudnéj sprawy, możliwe jest jedynie przy współdziałaniu stałém organów władzy z organami stowarzyszeń i instytucyi prywatnych, i że współdziałanie to musi być o ile możności prawodawczo z góry określone. Zrozumiawszy, iż chodzi tu o sprawę policyjno-lekarską, nie będzie się nikt dziwił, jeżeli powiem, że usiłowania i ofiary filantropii, doniosłości nie nabędą bez pomocy i poparcia organów państwowych i gminnych, do których z urzędu czuwanie nad bezpieczeństwem życia i zdrowia jednostek należy, i że z drugiéj strony organa te, przy najlepszych ustawach i przy całéj energii nie podołają, jeżeli im nie dopomogą setki inteligentnych, chętnych i miłosiernych jednostek.

O tém solidarném współdziałaniu władzy i organizacyi prywatnych, jako o koniecznym warunku skutecznego wykonywania opieki nad dziećmi opuszczonemi, pamiętać należy i u nas, przy obmyślaniu rozmaitych dróg, jakiemi się dążyć zamierza ku złagodzeniu smutnéj doli dzieci, naturalnéj opieki pozbawionych.

Z pomiędzy praw państwowych i rozporządzeń władz miejskich, praw i rozporządzeń, jakie weszły w wykonanie w ostatnich kilku dziesiątkach lat w rozmaitych krajach, niektóre na szczególną uwagę zasługują i przy ewentualném projektowaniu jakiéjbądź reglementacyi, przy układaniu jakichś statutów korporacyi opiekuńczych gminnych, czy téż czysto prywatnych, koniecznieby uwzględnione być winny. Niepodobna mi tu rzeczonych praw i rozporządzeń bliżéj rozbierać, ani treści ich podawać; poprzestanę na zaznaczeniu, że najdokładniéj zebrane wiadomości bibliografii i prawodawstwa, w różnych krajach w sprawie dzieci opuszczonych dotyczące, znaleźć można w monografii d-ra Rob. Raudnitza: *Die Findelpflege*, 1887.

I.

W sprawie, nad którą się tu zastaniawiam, z biegiem lat utarło się pewne słownictwo, utarły się pewne termina techniczne, które dla obeznanych z przedmiotem są ułatwieniem w porozumiewaniu się, ale, jak to często bywa, dla ogółu, nie znającego bliżéj przedmiotu, stają się źródłem niefortunnych nieporozumień i wątpliwości.

Otóż przedewszystkiém zwykło się tu mówić o „podrzutkach.“ Nazwa to zupełnie usprawiedliwiona, jeżeli przez nią rozumiemy dzie-

cko—najczęściéj niemowlę—tajemnie porzucone. Ale nazwa ta (odpowiadająca francuskiemu „*enfant trouvé*“ i niemieckiemu „*Findling*“), któréj równoznacznikiem jest ludowy „znajda,“ „znajdek,“ odnosi się do małéj tylko liczby dzieci, o które chodzi w sprawie „opuszczonych“ (*enfants abandonnés*, *delaissés*) dzieci naturalnéj opieki pozbawionych, a tém samém opieki społecznéj potrzebujących („*enfants assistés*“).

Wszystkie, liczne jak to zobaczymy, kategorye dzieci opuszczonych wśród rozmaitych okoliczności, z pobudek których źródłem jest nędza, lekkomyślność, obawa, wstyd lub zbrodnia, mogą zostać podrzutkami i stają się niemi nieraz. Ale wobec hasła, jakie wyżéj postawiłem, rozsądek i etyka nie dozwalają obowiązku państwa i społeczeństwa, obowiązku ocalania, odnosić tylko do owéj nielicznéj, stosunkowo kategoryi podrzuconych czy porzuconych, lecz raczéj odnieść go nakazuje do wszystkich opuszczonych.

Nie ma téż żadnéj słuszności w wyobrażeniu, dość rozpowszechnioném, jakoby środki ochrony, opieki, jakich podrzutek wymaga, zakłady, w jakich czasowo czy stale przytułek znajduje, miały być różne od środków i zakładów, jakie się niezbędnemi okazują dla rozmaitych innych kategoryi dzieci opuszczonych, osieroconych, mniéj lub więcéj dobrowolnie, przez tych, którzy naturalnymi ich opiekunami być powinni. Matka prawego czy nieprawego dziecka nędzą zmuszona, szukając zarobku, porzuca swe niemowlę na ulicy. „Podrzutkiem“ od chwili, jak się znalazł na bruku, zaopiekowywa się mnóstwo dobrych i ciekawych ludzi, zaopiekowywa się policya, przytula zakład publiczny czy prywatny. Inna matka z mniéj lub więcéj uczciwych pobudek zarobkować chce jako mamka, dziecka swego nie porzuca, ale tak samo, jak pierwsza, opieki naturalnéj pozbawia go, oddając „na garnuszek,“ gdzie się o niego nikt nie zatroszczy, gdzie męczeństwo i śmierć znajdzie, łatwiéj niż owo na bruk rzucone. Zresztą, kategoryi dzieci tak w niemowlęcym, jak i w późniejszym wieku będących, naturalnéj opieki pozbawionych jest wiele, a, zdaniem mojém, wtedy dopiéro dobrze potrafimy ocenić rozmaite rodzaje ich niedoli i wartość zalecanych środków zaradczych, kiedy myślą objąć się postaramy wszystkie te kategorye, témbardziéj, że jedne z nich z drugiemi niby ogniwa jednego łańcucha ściśle są związane. Dziecko, które dziś jest „*delaissé*“, jutro staje się „*abandonné*“, a wkrótce „*trouvé.*“

Nie o prostą więc denominacyą mi chodzi, lecz o istotę rzeczy, kiedy pragnę, by nie o podrzutkach, ale o dzieciach opuszczonych była mowa.

Zastanówmy się teraz choćby pobieżnie nad „materyałem,“ z jakim, w sprawie opuszczonych dzieci, państwu i społeczeństwu przycho-

dzi mieć do czynienia, zapoznajmy się z tym materyałem bliżéj, tak pod względem jego jakości, jak i ilości.

Co się tyczy klasyfikacyi dzieci opuszczonych, pozwalam sobie korzystać z téj, jaką podał Raudnitz. Otóż autor ten całą grupę dzieci opuszczonych, „*enfants assistés*“, dzieci, względem których państwo i społeczeństwo wchodzą lub wejść powinny we wszystkie prawa i we wszystkie obowiązki rodziny, całą tę, jak najobszerniéj wziętą grupę, dzieli na cztery główne działy, a mianowicie:

I. „Podrzutki,“ w ścisłém znaczeniu téj nazwy, a więc dzieci pozbawione rodzicielskiéj opieki: *a*) przez tajemne porzucenie (na ulicy i t. p.); *b*) przez oddanie do przytułku (włożenie tajemne do „kółka“ — *tour*, *torno*, *Drehlade* — lub jawne oddanie w biurze przytułku — „*bureau ouvert*“).

II. Dzieci opuszczone na zawsze lub na czas długi, a mianowicie: *a*) tajemnie opuszczone, *b*) wskutek szczególnych okoliczności kwalifikujące się pod opiekę publiczną, jako to: wskutek choroby (matki lub rodziców), wskutek uwięzienia, służby wojskowéj, nędzy [1]), *c*) dzieci nieprawe, urodzone w publicznych zakładach położniczych i brane na dłuższy lub krótszy czas pod opiekę przytułków państwowych lub prywatnych, wzajem za spełnianie czasowo w tychże przytułkach przez ich matki obowiązku mamek, *d*) sieroty opieki rodzinnéj pozbawione.

III. Dzieci opuszczone, na czas krótszy pod opiekę publiczną podpadające, jako to: *a*) na garnuszek lub na wykarmienie piersią, oddane przez matkę, rodzinę i t. p. obcéj karmicielce płatnéj; *b*) dzieci oddawane na pewną liczbę godzin dniem do żłobków (*crêches*, *Krippen*) i do ochron (*salles d'asyles*, *Kinderbewahranstalten*).

IV. Dzieci opuszczone przez jedno z rodziców, pozostające u krewnych lub u matki środkami publicznemi wspieranéj [2]).

Dzieci opuszczone wszystkich powyższych kategoryi, po części tylko są zupełnemi sierotami [3]). Większa ich część posiada ojca i mat-

---

[1]) W sprawozdaniach berlińskiéj rady sierocéj (Baginsky—patrz wyżéj) znajduję 12 kategoryi dzieci, które z powodu owych „szczególnych okoliczności“ dłużéj lub krócéj pod wyłączną opieką rzeczonéj władzy opiekuńczéj pozostawać muszą.

[2]) Raudnitz podaje jeszcze piątą kategoryą dzieci moralnie zaniedbanych i tu zalicza dzieci, które wyrokiem sądu z pod opieki rodziców odebrane bywają, dzieci ulegające znęcaniu się lub zaniebaniu ze strony naturalnych opiekunów i wreszcie małoletnich przestępców.

[3]) W berlińskiém *depôt* dla dzieci opuszczonych, było tylko 17% sierot. Takiż sam prawie stosunek spotykamy wśród ogólnéj liczby *des enfants assistés* w 87 departamentach we Francyi w 1881 r. Na 69,321 takich dzieci było sierot 11,021 czyli 15,9%.

kę żyjących, ale należąc przeważnie do nieślubnych, jest najczęściéj ojcowskiéj opieki całkiem pozbawiona, a w wielu krajach nawet prawnie o tę opiekę nikt dla opuszczonego dziecka starać się nie może. Mylném jest jednak wyobrażenie, jakoby wśród dzieci ślubnych nie było opuszczonych, jakoby ślubne dzieci żyjących rodziców nigdy do opieki publicznéj się nie kwalifikowały [1]). Rodziców winnych opuszczenia prawo karze, ale ocalenie opuszczonego zwlekaném być godziwie nie może do czasu, póki ręka sprawiedliwości winowajcy nie dosięgnie. Zresztą występne opuszczenie dziecka przez rodziców należy wszędzie do rzadkich wyjątków; tam, gdzie tysiące rodziców dzieci swe z domu oddają karmicielce płatnéj na wykarmienie, jak to widzimy we Francyi, baczni spostrzegacze raczéj widzą w tém *l'expression de nécessités inéluctables*, aniżeli występek. W tym razie, jak w wielu innych w obchodzącéj nas tu sprawie dzieci opuszczonych w ogólności, trzeba umiéć w myśli i w postępowaniu szeregować we właściwym porządku wymagania bezpieczeństwa zagrożonego dziecka i wymagania kodeksowéj sprawiedliwości, trzeba stać na stanowisku twórcy i obrońcy prawa o opiece nad opuszczonemi dziećmi we Francyi, doktora Roussela. Wspominając o projektach do praw w parlamencie francuskim stawianych w 1871 r. przez A. Mayera, Chassinata i M. Grandjean, wymagających przymusu karmienia niemowlęcia piersią matki, przymusu chowania dziecka w domu rodzicielskim, *respective* opłacania kar (300 franków) rocznie przez rodziców, oddających dziecko po za dom na wykarmienie, Roussel, stojąc na stanowisku bezwzględnéj obrony bezpieczeństwa niemowlęcia, słusznie mówi: „Tam, gdzie dostępne

---

[1]) We Francyi bardzo znaczna liczba dzieci, nad któremi prawo z r. 1874 rozciąga opiekę publiczną za pomocą *comités de patronage*, dzieci oddawanych bez występnego zamiaru ze strony rodziców na wykarmienie, należy do kategoryi ślubnych. Doświadczenie przekonało, że dla ocalenia tych dzieci „czasowo“ naturalnéj opieki pozbawionych, organizacya publicznéj opieki jest niezbędna. W raporcie ministra spraw wewnętrznych (1869) czytamy słowa następujące: „De toutes les statistiques il résulte qu'en vertu d'une loi invariable, les enfants conservés, nourris dans la famille échappent à la plupart des causes de mortalité qui déciment au contraire les enfants envoyés en nourrices, loin de la surveillance et des soins des parents. Cette surveillance n'étant pas, il faut qu'une autre s'y substitue.“ W Berlinie w 1884 z pomiędzy 1,352 dzieci oddanych na garnuszek karmicielkom płatnym, było 119 ślubnych, czyli 8,8%. Dla nas stosunki Francyi, z powodu odmiennego sposobu chowania dzieci w rodzinie, interesu nie mają, ale istnienie pewnéj liczby ślubnych dzieci pomiędzy temi, które naturalnéj opieki są pozbawione i opieki publicznéj wymagają, i u nas, szczególniéj w Warszawie, nie ulega wątpliwości. Mimo ograniczeń, utrudniających przyjęcie do warszawskiego domu podrzutków, w r. 1889 na ogólną liczbę 1,754 przyjętych tam dzieci, było 32 ślubnych.

środki istnienia nie dozwalają na wypełnienie praw natury; gdzie to, co przedstawia rodzinę, nie może zapewnić nowo-narodzonemu nawet ogniska macierzyńskiego, prawo winno bezwątpienia ułatwiać działalność miłosierdzia i przyczyniać się do udzielania pomocy; nie może ono ani nakazywać ani karać" [1]).

Nie potrzebuję objaśniać, dlaczego przeważną część dzieci opuszczonych stanowią dzieci nieślubne. Jeżeli trudno było znaleść podstawę do obliczenia choćby w przybliżeniu ile u nas by wypadało dzieci ślubnych zaliczyć do kategoryi opuszczonych, to podstawa do obliczenia nieślubnych opuszczonych w pewnéj mierze znaleść się daje.

W Królestwie Polskiém było w r. 1884 na 332,386 urodzeń, 10,543 nieślubnych, w r. 1885 na 306,688 urodzeń, 11,329 nieślubnych, a obliczając stosunek urodzeń nieślubnych do liczby ludności, wypada, że na 1,000 ludności przeciętnie rodzi się rocznie 1,3 do 1,4 dzieci nieślubnych. W powyższych liczbach objęte są i urodzenia warszawskie. W saméj Warszawie było w r. 1886 urodzeń nieślubnych 2,349 czyli 5,44 na 1,000 ludności, w r. 1887 urodzeń nieślubnych 2,434 czyli 5,54 na 1,000 ludności, w r. 1888 urodzeń nieślubnych 2,385 czyli 5,36 na 1,000.

By dać niejakie wyobrażenie o ilości materyału żywego w sprawie, dzieci opuszczonych w ogólności, a tém samém o zakresie téj sprawy i jéj ważności państwowéj i społeczno-etycznéj, pozwolę sobie przytoczyć kilka zestawień dotyczących liczebnego stosunku dzieci opuszczonych, w rozmaitych krajach i miejscowościach, a to według monografii Raudnitza, zaznaczywszy z góry, że cyfry które podam, nie są ani dla nas miarodajne, ani wogóle zbyt dokładne, jak wszystko prawie co się znaleść daje dotychczas w statystyce tego przedmiotu (z wyjątkiem może urzędowych sprawozdań hesskiéj „*Centralstelle für Landesstatistik*", obejmujących wyniki prawa z 1878 i takichże sprawozdań o rezultatach opieki zapewnionéj francuskiém prawém z 1874 w niektórych departamentach, jak sprawozdanie Valette'a o dep. Calvados i innych, do których niżéj jeszcze powrócę). W zestawieniach, które tu podamy, należy bacznie odróżniać cyfrę dotyczącą ogólnéj liczby dzieci opuszczonych przez ciąg całego roku w téj kategoryi będących, czy pod opieką jakiegoś zakładu, jakiejś instytucyi pozostających, od cyfry wskazującéj liczbę takichże dzieci w cią-

[1]) La où les possibilités de l'existence ne comportent pas l'accomplissement des lois de la nature; là où ce qui représente la famille ne peut pas même offrir au nouveaux-né un foyer maternel, la loi doit sans doute faciliter l'action de la charité et concourir à l'assistance; elle ne peut ni commander ni punir.

gu roku przybyłych, do téj kategoryi, czy też przyjętych pod opiekę owych zakładów lub instytucyi. Odnoszenie odsetek śmiertelności, wydatków i t. p., raz do jednéj a drugi raz do drugiéj z tych cyfr, naturalnie bywa źródłem najbłędniejszych wniosków i uogólnień.

Oto rzeczone zestawienia cyfrowe:

	Dzieci opuszczonych:		
	w końcu roku poprzedniego było	w ciągu roku przybyło	ogółem było w ciągu całego roku
w Hiszpanii (1864)	42,526	17,769	60,295
we Włoszech (1883)	?	26,043	?
we Francyi (1881) w 87 dep.	58,634	10.687	69.321
w Belgii (1875)	?	4,910 (?)	?
w Bawaryi (1881)	?	?	14.894
w Holandyi (1882)	?	?	12,747
w Szwajcaryi (1870)	?	?	{ 19,775 ślubnych 11,604 nieślub. [1]
w Anglii (1879)	336,146 [1]	?	?

Stosunki liczebne w téj mierze są wielce różne w rozmaitych miastach i krajach i dla nas też z cyfr obcych żadnych praktycznych wniosków wyprowadzać nie można. Mnie tu chodzi głównie o zdanie sobie sprawy o materyale, z jakim u nas w kwestyi dzieci opuszczonych mamy do czynienia, a mianowicie o ilości tego materyału.

Z pomiędzy dzieci nieślubnych, w wieku niemowlęcym będących, znakomita większość bywa w ten czy w ów sposób, czasowo czy też na zawsze opieki naturalnéj pozbawiona. Nie sądzę, iżby więcéj jak $^1/_{10}$ część dzieci nieślubnych, u nas tak w kraju całym, jak i w Warszawie, pozostawała w takich warunkach opieki naturalnéj, opieki rodzinnéj, iżby nie potrzebowała dozoru i pomocy ze strony państwa i społeczeństwa. Zatém dzieci nieślubnych opuszczonych w całym kraju corocznie przybywałoby około 10,000. Przyjmując ten sam stosunek w Warszawie, powinnoby corocznie z pomiędzy nieślubnych, w mieście naszém na świat przychodzących, przybywać przeszło 2,000 do kategoryi opuszczonych.

Miejsce urodzenia jednak nie rozstrzyga tu o tém, gdzie opuszczeni potrzebują pomocy. Z pomiędzy nieślubnych po za Warszawą urodzonych, a nawet bardzo daleko od niéj, znaczna część już w pierwszych dniach i tygodniach życia znajduje się w murach naszego miasta i to najczęściéj od razu w charakterze opuszczonych. Tysiące kobiet przychodzi do Warszawy corocznie „w mamki“, przynosząc z sobą swe

---

[1]) Cyfry te dotyczą wszystkich małoletnich (16 lat nie mających) z publicznéj dobroczynności korzystających.

nieprawe dzieci. Dziecko mamki, z chwilą wejścia jéj „do obowiązku“, zostaje naturalnéj opieki pozbawione, i jako opuszczone, opieki państwa i społeczeństwa potrzebuje [1]). Takich „nie-warszawskich“ dzieci przybywa corocznie do kontyngensu opuszczonych w naszém mieście, jak już powiedziałem, tysiące. Dziecko mamki dostaje się w ręce akuszerki, stręczycielki, faktorki, a od niéj wkrótce przechodzi albo do domu podrzutków albo do karmicielki płatnéj, bądź to wiejskiéj bądź miejskiéj, nie przestając należéć w żadnym z tych wypadków do kategoryi opuszczonych.

Oprócz dzieci mamek, kontyngens dzieci opuszczonych w mieście naszém zwiększany bywa corocznym przybytkiem tajemnym dzieci nieprawych z całego kraju, w mniéj lub więcéj występnym celu do Warszawy przynoszonych, które o ile nie giną zaraz, o ile na bruk porzucone nie bywają, dostają się na równi z dziećmi mamek do domu podrzutków, lub do płatnych karmicielek *à la* Skublińska.

Corocznie zatém rodzi się w Warszawie i wkrótce po urodzeniu corocznie do Warszawy przybywa przynajmniéj 4,000 niemowląt nieślubnych, od chwili przyjścia na świat lub wkrótce potém opuszczonych, po za Warszawą zaś, w reszcie kraju, corocznie przybywa takichże niemowląt około 6,000. Te ostatnie są wszelkiéj państwowéj, czy społecznéj opieki dotychczas pozbawione.

Co się tyczy corocznego przybytku 4,000 dzieci opuszczonych w Warszawie, to nie wdając się w téj chwili w ocenienie wartości opieki, jaką dawać może i daje dzisiejszy dom podrzutków, zaznaczam tylko, że doń z rzeczonéj kategoryi wchodzi corocznie niespełna 2,000 niemowląt. I tak: w roku 1889 przybyło tam niemowląt 1754 a w téj liczbie urodzonych w Warszawie 623 i urodzonych po za Warszawą (zatém dzieci mamek i dzieci celem rozmyślnego opuszczenia do Warszawy przyniesionych) 1131.

Nawiasowo tu pozwolę sobie przypomniéć, że hasłem reformy warszawskiego domu podrzutków z r. 1879, było ograniczenie napływu doń dzieci nie-warszawskich, jako do zakładu dla niedoli dziecięcéj warszawskiéj przeznaczonego. Dziwnie a nauczająco wobec owego hasła przedstawia się fakt, iż po dziesięcioletniém, zapewne gorącém

---

[1]) We Francyi na zasadzie prawa Roussela z r. 1874, kobiéta mająca własne dziecko, mniéj niż 1 rok liczące, obowiązki mamki przyjąć może tylko w takim razie, jeżeli złoży dowody, że jéj dziecko ma 7 miesięcy skończonych, lub, że jest pomieszczone u odpowiedniéj karmicielki (konsensowanéj i dozorowanéj zgodnie z przepisami rzeczonego prawa). Za przekroczenie powyższego przepisu, odpowiada nietylko sama mamka, ale i osoby przyjmujące ją do obowiązku za opłatą, równie jak i osoby pośredniczące (stręczące).

usiłowaniu zgodnego z niém postępowania, zarząd zakładu na jedno warszawskie dziecko przyjmuje dwoje nie-warszawskich. Uwaga powyższa bynajmniéj nie jest wyrazem krytyki, lecz wprost stwierdzeniem faktu—faktu wyrażającego prawdopodobnie konieczność, z którą głosiciele wspomnianéj reformy przed laty dziesięciu rachować się nie potrafili.

Od ogólnéj liczby owych 4,000 rocznie w Warszawie do kategoryi opuszczonych zaliczonych, odjąwszy 1754, dostających się do domu podrzutków, okaże się, iż coroczny przybytek zupełnie opieki i dozoru pozbawionych wynosi przeszło 2,000.

Powrócić mi jeszcze raz wypada chociaż nawiasowo do dzieci w domu podrzutków schronienie znajdujących, a to celem zaznaczenia, że pewna, znaczna ich część, bez względu na organizacyą samego zakładu, nie może dziś być zaliczona do kategoryi korzystających z zupełnéj opieki państwowéj i społecznéj. Oto cyfry wzięte z ostatniego rocznego sprawozdania o stanie dobroczynności publicznéj w Warszawie za rok 1888. Z końcem roku 1887 pozostawało dzieci (niemowląt i dzieci starszych) pod opieką rzeczonego zakładu 4,017 (z tego po wsiach, na wykarmienie przez zakład oddanych 3822). W ciągu roku 1888 przyjął zakład ogółem dzieci opuszczonych 2,002, czyli że ogółem, w ciągu całego roku zakład opiekował się 6019 dziećmi (niemowlętami i starszemi, w zakładzie i po wsiach). Ile z owych 6,019 dzieci było niemowląt a ile starszych i w jakim wieku, ile z niemowląt i ile z pomiędzy starszych w ciągu całego roku pozostawało w murach zakładu, a ile na wsi, tego sprawozdanie — nader lakoniczne w tym dziale—nie mówi. Z przytoczonéj jednak dopiéro co cyfry, wyrażającéj liczbę dzieci instytutowych, na wsi z końcem roku 1887 pozostających (3,822), cyfry przekonywającéj, że $^9/_{10}$ ogólnéj liczby dzieci jednocześnie pod opieką zakładu będących (=4,017) przebywa w rękach wiejskich karmicielek, wnosić można, że tenże sam stosunek panował i w ciągu całego roku 1888, czyli, że z ogólnéj liczby 6,019 przez cały rok pod opieką zakładu będących przeszło 5,400 przebywało u karmicielek na wsi. O tém, ile dzieci z pomiędzy 2,002 w ciągu roku 1888 świéżo przyjętych poszło na wieś i tam pozostawało, żadnych wniosków z ubogich cyfr sprawozdania wyprowadzać sobie nie pozwalam. Ostatecznie jednak zaznaczam, że znakomita większość niemowląt i dzieci starszych, pod opieką domu podrzutków będących, pozostaje na wsi u karmicielek płatnych.

Nie wchodząc tu w téj chwili w bliższe ocenienie warunków układu, zawieranego przez dom podrzutków z wieśniaczkami, biorącemi dzieci instytutowe na wykarmienie i chowającemi je nieraz lata

całe, zapytuję, czy ta kategorya dzieci opuszczonych zostaje istotnie pod opieką organów władzy państwowéj lub instytucyi dobroczynnych, i na zapytanie to odpowiadam przecząco.

Niemowlęta i dzieci starsze przez dom podrzutków u karmicielek na wsi umieszczane nie mają u nas istotnéj opieki, opartéj na prawodawczo określonych warunkach konsensu udzielanego karmicielkom, opartéj na takich prawodawczych przepisach, jakie mieści w sobie angielskie *infant life protection act*, francuskie *loi Roussel*, niemiecka *Gewerbeordnung*, hesski *Kinderschutzgesetz*, nie mają opieki, jaką każdemu dziecku, rodzinnéj opieki pozbawionemu, zapewnia nadzór władz policyjnych według wspomnianego już prawa we Francyi, lub nadzór organów gminnych w Prusach, na zasadzie przepisów prawa o opiece i o radach sierocych, nie mają wreszcie opieki, jaką w uzupełnieniu nadzoru ze strony policyi i gminy zapewniają szczególniéj we Francyi obywatelskie *comités de patronage*. U nas dzieci na wsi u karmicielek będące są wszelkiéj prawnéj, policyjnéj i społecznéj opieki pozbawione, a o ile do rąk tych karmicielek dostały się z zakładu, bezpieczeństwo ich zdrowia i życia jest o tyle tylko większe, aniżeli dzieci umieszczonych prywatnie u karmicielek płatnych, o ile do gorliwości w pielęgnowaniu dziecka skłania karmicielkę w pierwszym razie pewność otrzymania opłaty z kasy instytutowéj. Moment to bardzo ważny w sprawie zabezpieczenia losu dzieci opuszczonych, u karmicielek na wsi czy w mieście pozostających, ale nie będący bynajmniéj wystarczającą owego zabezpieczenia rękojmią.

II.

To, co dotychczas powiedziałem o różnych kategoryach dzieci opuszczonych i o liczebnych ich stosunkach, nie daje jeszcze jasnego wyobrażenia o jakości żywego materyału, o fizycznych albo raczéj fizyologicznych jego właściwościach. Tymczasem poznać właściwości te, poznać historyę naturalną owych dzieci musimy koniecznie, jeżeli mamy z właściwego stanowiska ich potrzeby i środki zaradcze przeciw ich niedoli oceniać. Szczególniéj sąd nasz o rozmaitych systemach ochrony nad dziećmi opuszczonemi, o rozmaitych zakładach, o tyle tylko słuszny być może, o ile trzeźwo w ocenie naszéj i w porównawczych zestawieniach stać będziemy na gruncie danych, zaczerpniętych z fizyologii i statystyki lekarskiéj.

Oto niektóre ważniejsze z tych danych.

Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że z pomiędzy niemowląt umiéra zawsze i wszędzie bardzo znaczna część przed ukończeniem

pierwszego roku życia. Śmiertelność niemowląt bywa bardzo różna w różnych krajach, w różnych okolicach i t. d. Z 1,000 urodzonych umiéra przed ukończeniem 1-go roku przeciętnie: w Norwegii 104, w Szkocyi 119, w Szwecyi 137, we Francyi 173, we Włoszech 232, w Bawaryi 321 niemowląt. Ogólnie przyjęto, iżby cyfrę 188 do 190 *pro mille* za dopuszczalne (hygienicznie!) *maximum* uznawać, chociaż niezawodnie słusznie Uffelmann [1]) na to się nie zgadza, twierdząc, że hygiena winna w tym razie do możliwie pomyślnych wyników dążyć, a więc winna stawiać sobie za zadanie, osiągnięcie wszędzie tak małéj śmiertelności niemowląt, jaką spotykamy w Europie północnéj, a więc najwyżéj 100 *pro mille*.

Powyższe cyfry są przeciętnemi z obliczeń dokonywanych w całych krajach. Pojedyńcze prowincye, a szczególniéj pojedyńcze miasta w danym kraju, miewają śmiertelność niemowlęcą wielce różną od przeciętnéj krajowéj. I tak przeciętna krajowa śmiertelność niemowląt w Prusach wynosi tylko 204 *pro mille*, a tymczasem w Gdańsku umiéra 311, we Wrocławiu 269, zatém znacznie więcéj, a w Kolonii 191 *pro mille*, zatém stosunkowo mniéj niż przeciętnie w kraju.

Cyfra śmiertelności niemowlęcéj danego kraju, czy miasta stanowi, bądź co bądź, cechę jakościową miejscowéj niemowlęcéj ludności. Dlatego téż, rozsądnie rzeczy biorąc, przy ocenianiu śmiertelności niemowląt naturalnéj opieki pozbawionych, trzeba koniecznie za punkt porównania brać przeciętną śmiertelność niemowlęcą tegoż samego kraju, téj saméj miejscowości, a nie posługiwać się cyframi innych miast, innych krajów.

Wielkiéj wagi w obchodzącéj nas tu sprawie jest fakt znacznych różnic w stopie śmiertelności niemowląt, różnic zależnych od wieku niemowlęcia. Tak np. w Bawaryi z 1,000 niemowląt przed pierwszym rokiem umiéra przeciętnie 321. Otóż z téj ogólnéj liczby umiéra 140 przed końcem pierwszego miesiąca życia, a 210 w ciągu dwóch pierwszych miesięcy życia. Jakże mylnemi być muszą wnioskowania tych, którzy bezkrytycznie porównywają np. śmiertelność jakiegoś domu podrzutków, do którego przeważnie dostają się noworodki, w pierwszych dniach lub w pierwszych tygodniach życia, ze śmiertelnością niemowląt kikumiesięcznych w innym zakładzie lub na wykarmieniu będących.

Brak miejsca i cel niniejszych uwag każe mi wspomnieć tylko o zależności ustroju niemowlęcego i dziecinnego od takich wpływów,

---

[1]) „Handbuch der privaten und öffentlichen Hygiene des Kindes." Leipzig, 1881, str. 588.

jak klimat, położenie górskie lub nizinne, pory roku i t. p. Natomiast wypada mi z naciskiem uwydatnić fakt znacznéj śmiertelności niemowląt w miastach, a szczególniéj w wielkich miastach i w miastach fabrycznych. Z wyjątkiem Londynu, który ma 150 zgonów na 1,000 niemowląt przed dojściem do jednego roku życia, wszystkie prawie wielkie miasta Europy i Ameryki odznaczają się śmiertelnością niemowlęcą bardzo wysoką, a mianowicie znacznie wyższą od śmiertelności niemowląt w okolicznych miejscowościach. Spotykamy tu cyfry znacznie przewyższające hygieniczne dopuszczalne *maximum* (188—190 *pro mille*), jak np. w Berlinie 300, w Monachium 400, w Wiedniu 290, no! i w Warszawie 365 *pro mille*. Przy ocenianiu stopy śmiertelności dzieci opuszczonych w naszém mieście, szczególniéj pozostających pod opieką pewnych zakładów, zawsze o téj wysokiéj cyfrze śmiertelności ogółu niemowląt warszawskich pamiętać musimy, jeżeli nie chcemy wnioskować mylnie.

Zdaje mi się, że nie należy również pomijać tu różnic, ujawniających się w stopie śmiertelności niemowląt różnéj rasy, lub różnego wyznania w jednéj i téj saméj miejscowości. Przytaczam tu cyfry dotyczące Monachium, gdzie śmiertelność wynosić ma wśród niemowląt katolickich 410 *pro mille*, protestanckich 270, żydowskich 150—160, i podaję bez wszelkich komentarzy cyfry dotyczące Warszawy, gdzie w r. 1869 śmiertelność niemowlęca wynosić miała wśród żydów 495 *pro mille*, katolików 356, prawosławnych 266 [1]).

Z najrozmaitszych zestawień wynika daléj, że zamożność rodziny stanowi o stopie śmiertelności dzieci, że tu z pomiędzy wielu nastręczających się przykładów przytoczę zestawienie Bachema, dotyczące okręgu rządowego kolońskiego (1881, patrz: Uffelmann l. c.), z którego się okazuje, że z 1,000 niemowląt (dzieci przy piersi) w rodzinach mających:

dochodu mniéj niż 600 marek	umierało	290
„ od 600 do 1,500 „	„	250
„ od 1,500 do 3,000 „	„	180
„ od 3,000 i wyżéj	„	150

Nie ulega wątpliwości, że niemowlęta w rodzinach niezamożnych umierają, w pierwszych tygodniach i miesiącach życia częściéj niż w zamożnych nietylko wskutek szkodliwości, na jakie już po przyjściu na świat są narażone, ale i z powodu złych warunków, w jakich się znajdowały w łonie matki ciężko pracującéj, przygnębionéj troską, niedostatek cierpiącéj — i z powodu warunków, w jakich się znajdują w chwili przyjścia na świat, wskutek łatwych do

[1]) Śmiertelność niemowląt w Warszawie, „Medycyna," 1878, Nr. 8, 16 i 17.

zrozumienia a nieuniknionych zaniedbań. Niechajże nasi bezkrytyczni statystycy, rozstrzygający na zasadzie gołych, nieinterpretowanych cyfr o śmiertelności téj lub owéj kategoryi dzieci opuszczonych, o śmiertelności w tym lub owym przytułku, raczą pamiętać, że 0,99 dzieci tych pochodzi ze sfery społecznéj, najbardziéj upośledzonéj pod względem zamożności i że tém samém wśród dzieci tych szansa śmierci w pierwszych miesiącach życia jest dwa razy większa, aniżeli wśród niemowląt rodzin zamożniejszych.

Nie chcę bynajmniéj twierdzić, by pewna część momentów zgubnych, grożących niemowlętom wśród niedostatku urodzonym i chowanym, nie dała się usunąć lub złagodzić pod wpływem gorliwości macierzyńskiéj opieki, ale wchodzą tu już czynniki niemateryalnéj natury, usuwające się z pod ściślejszych, szczególniéj lekarskich obliczeń.

Z pomiędzy dalszych okoliczności, stanowiących o mniejszéj lub większéj śmiertelności niemowląt, wspomnę tylko o rozstrzygającym wpływie stanu zdrowia rodziców dziecka lub jednego z nich, o wpływie ich nałogowego pijaństwa, gruźlicy, skrofułów i t. d. Wszystkie one potężnie na zwiększenie śmiertelności niemowląt wpływają, ale żadna z nich w sprawie dzieci opuszczonych i ich małéj życiowéj oporności nie odgrywa tak ważnéj roli, jak choroba przymiotowa (syfilis). Wspomnę tu tylko, że w Warszawie, według „wykazów“ za rok 1877, z pomiędzy umiérających niemowląt nieprawych, szósta część pada ofiarą téj choroby [1]), czyli że niemowlęta nieprawe, główny kontyngens opuszczonych i podrzutków stanowiące, przynoszą z sobą na świat w ogromnéj liczbie przypadków chorobę niemal bezwarunkowo w tym wieku zabójczą, z którą wśród dzieci prawych tylko wyjątkowo się spotykamy.

Już powyżéj dwukrotnie uwydatniłem pewne okoliczności, mniéj lub więcéj bezpośrednio powodujące znaczną śmiertelność niemowląt nieprawych, których historya naturalna musi być tutaj podstawą wszelkich rozważań. Przypatrzmyż się teraz stosunkowi liczebnemu zgonów wśród tych niemowląt nieprawych w ogólności, w wielkich grupach społecznych, wśród ludności całych krajów, całych miast. Oto cyfry: [2])

	Umiéra z 1,000 niem. prawych	z 1,000 niem. nieprawych
we Francyi	140	300
w Austryi	229	351
w Szwecyi	144	248
w Anglii	140	350
w Bawaryi	396	456

[1]) Patrz: „Medycyna,“ 1878, l. c. — [2]) Podług Uffelmanna, l. c.

Umiéra	z 1,000 niem. prawych	z 1,000 niem. nieprawych
w Erfurcie	190	352
w Magdeburgu	249	425
w Bazylei	192	255

W Warszawie [1]), jak już wyżéj podałem, ogólna śmiertelność niemowląt przed ukończeniem 1-go roku życia wynosiła 365 *pro mille*,

W Warszawie było w 1882 r. urodzeń ślubnych	12,265,	nieślubnych	2,726;
" " 1883 r. " "	12,149,	"	2,546;
" umarło w 1882 r. dzieci 0—1 "	3,567,	"	1,202;
" " 1883 r. " " "	3,113,	"	1,149.

Przypadało więc w 1882 r. zgonów niem. ślubn. 290, a nieśl. 440 na 1,000 urodzeń
" " 1883 r. " " 256 " 451 " "

O wpływie sposobu żywienia niemowląt (piersią lub sztucznie), sposobu pracy matki (domowéj lub pozadomowéj), o wpływie schludności i zdrowotności mieszkania, o wpływie mieszkań poddaszowych i poddziemnych (suterenowych), o wpływie wczesnéj i odpowiedniéj pomocy lekarskiéj w chorobie, — na spotęgowanie lub zmniejszenie śmiertelności niemowląt, mówić tu nie chcę, gdyż znaczenie tych ważnych momentów pragnę uwydatnić, mówiąc niżéj o sposobie skutecznéj, ocalającéj opieki nad dziećmi opuszczonemi.

Nie tu jest miejsce do zastanawiania się nad bezpośredniemi przyczynami (w szczególności nad chorobami), powodującemi prawidłową śmiertelność niemowląt w ogóle i nieprawidłową śmiertelność niemowląt nieprawych w szczególności. Jedną tylko z pomiędzy licznych tych bezpośrednich przyczyn zaznaczyć mi tu wypada, a mianowicie wrodzoną życiową wątłość (*debilitas vitalis*). Otóż z pomiędzy żywo urodzonych niemowląt dwudziesta część, czyli 5%, przychodzi na świat w stanie owéj wrodzonéj wady, powodującéj najczęściéj wczesną śmierć niemowlęcia. Z 1,000 niemowląt w ogólności, umiéra wskutek rzeczonéj wady 30 do 45, a z 1,000 zgonów niemowlęcych (w pierwszym roku życia) przypada 120 do 200 na zgony nią powodowane. Tak się rzecz ma wśród ogółu niemowląt. Z łatwych do zrozumienia przyczyn liczba zgonów z pomienionéj przyczyny wśród dzieci nieprawo urodzonych jest znakomicie większa od przeciętnéj, o czém pamiętać należy, z uwagi na to, że *debilitas vitalis*, będąc przyczyną wrodzoną i nieuniknioną znacznéj liczby niemowlęcych zgonów, może stanowczy wpływ wywierać na stopę śmiertelności pewnéj kategoryi dzieci opuszczonych, a szczególniéj na stopę śmiertelności niemowląt (podrzutków) przyjmowanych do przytułków, bez jakiéjbądź

---

[1]) Patrz: „Medycyna," 1878, l. c.

winy, odnieść się dającéj do sposobu urządzenia lub prowadzenia tych zakładów [1]).

Na powyższych danych ze statystyki lekarskiéj poprzestać tu muszę. Sądzę jednak, że przytoczeniem ich osiągnąć zdołam cel, jaki sobie założyłem. Pragnąłbym, iżby powyższe dane cyfrowe zachęciły czytelników, a szczególniéj osoby sprawie niedoli niemowlęcéj, poświęcające czas i pracę, do nader ostrożnego a krytycznego oceniania wszelkich wyników, jakich statystyka nielekarska (kryminalistyczna, socyologiczna, ekonomiczna) dostarcza, odnośnie do losu dzieci opuszczonych, w przytułkach, u karmicielek lub bez specyalnego systemu opieki wychowywanych. Z owych cyfrowych danych, będących po części wyrazem szczególnych właściwości naturalnych ustroju niemowlęcego w ogólności, po części wyrazem wadliwości wyjątkowych, ale wrodzonych i niepokonalnych, okazuje się, że wszelkie wnioskowania i uogólnienia, dotyczące losu dzieci opuszczonych i stosownéj opieki nad niemi, mogą miéć istotną wartość tylko o tyle, o ile są oparte na wiadomościach z nauk lekarskich (akuszeryi, fizyologii wieku niemowlęcego, patologii).

III.

Przechodzę wreszcie do sposobu wykonywania opieki państwowéj, czy prywatnéj, nad dziećmi opuszczonemi. Punkt to nastręczający najwięcéj trudności. Nie ma kraju, w którymby prawodawczo i organizacyjnie rzeczona sprawa trwałe znalazła rozwiązanie, zadawalniające wymagania hygieny i etyki. Nie ma téż dwóch krajów, w którychby położenie dzieci opuszczonych wobec prawa, administracyi i dobroczynności publicznéj było jednakie, a nawet w większości krajów położenie to jest różném w każdéj niemal dzielnicy danego państwa. Tam nawet, gdzie pewne ujednostajnienie stosunku prawnego osiągnąć usiłowano, położenie dzieci opuszczonych w większych miastach, pod wpływem autonomicznych zarządzeń, gminnych, jest wielce różne od położenia na prowincyi.

---

[1]) W najbliższym związku z wrodzoną wątłością niemowląt są przypadki urodzenia dzieci nieżywych, których w Europie przeciętnie przypada około 40 na 1,000 urodzeń w ogólności. Że wśród dzieci nieżywo urodzonych tak samo, jak i wśród zmarłych wskutek wrodzonéj wątłości, większość stanowią nieprawe, o tém świadczą liczne zestawienia statystyczne, że tu przytoczę tylko zestawienie Boudin'a dotyczące Francyi, gdzie:

w r. 1854	było na 1,000 ur. pr. 39,	a na 1,000 ur. niepr. 67	nieżywo urodz.
w r. 1855—57	„ „ „ 40,	„ „ „ 71	„ „

Wobec takiego chaosu, którego najciekawszy a bardzo pouczający obraz daje nam położenie dzieci opuszczonych we Włoszech, opisane w monografii Raudnitza, wobec coraz to nowych zmian, zaprowadzanych w organizacyi opieki nad dziećmi opuszczonemi we wszystkich krajach, rozpatrzenie się w tak zwanych „systemach“ rzeczonéj opieki jest rzeczą bardzo trudną, a już wprost niemożliwém jest na dziś ocenić zasadnie wartość, wpływ ocalający owych różnych systemów i mnogich odcieni, w jakich je stosowano niegdyś lub dziś stosują wśród niesłychanie różnych warunków miejscowych. Jak w wielu innych sprawach, tak i w téj w szczególności na teraz statystyka jest wprost niebezpieczném narzędziem badania i tylko wyjątkowo jéj cyframi posługiwać się tu bez obawy można. Z cyrklem statystycznym w ręku mierzyć porównawczo wartość „kółka“ i „domów dla podrzutków“ w Korfu, w Sewilli, w Pradze Czeskiéj i w Moskwie celem wyprowadzenia z tamtejszych statystyk wniosków dla... Warszawy jest prawie... niedorzecznością.

Sprobujmyż chociaż do pewnego stopnia zszeregować najważniejsze dane, sprobujmy znaleźć sobie faktyczne podstawy, na którychby rozsądny czytelnik mógł przyjść do zbudowania własnego sądu o tém, jaką istotną wartość posiadają najrozmaitsze środki, mające na celu ochronę dzieci opuszczonych, i o tém, czy któryś z tych środków u nas zastosowanie znaleźć-by dziś powinien.

Chociaż dziś w żadnym kraju zbiór środków opieki nad dziećmi opuszczonemi nie tworzy całkiem spójnéj i niezmiennéj całości, a tém samém w ścisłém słowa znaczeniu „systemem“ nazwany być nie może, to jednakże, idąc za wzorem Raudnitza, zaczynam od podania podziału rzeczonych systemów opieki.

Mamy zatém: 1. System „kółka“, polegający na bezwarunkowém przyjmowaniu każdego dziecka opuszczonego, składanego do kółka. System ten bez wszelkich ograniczeń spotykamy w Hiszpanii, w Ameryce Południowéj, w Grecyi, w niektórych okręgach we Włoszech, w Portugalii i w Dalmacyi.

2. „System romański.“ Przyjmowanie warunkowe „w biurze“ na zasadzie rozmaitéj legitymacyi odnośnie do osoby dziecka, lub odnośnie i do osoby matki i t. d. System ten stosowany jest we Francyi, we Włoszech, w Portugalii, w Rosyi, a po części w Anglii (Londyn) i w Austryi (Wiedeń).

3. „System germański.“ Opieka nad dziećmi opuszczonemi wykonywana jest według zasad i przepisów, odnoszących się do powszechnéj opieki nad wszystkiemi ubogiemi (*Armenpflege*). Takiém jest postępowanie w Niemczech, w Austro-Węgrzech, w Szwajcaryi,

w Belgii, w Holandyi, w Wielkiéj Brytanii, w Ameryce Północnéj, w Skandynawii.

4. „System józefiński“ (austryacki). System ten dotyczy tylko opuszczonych niemowląt, albo raczéj noworodków i polega na czasowéj opiece nad niemowlęciem w zamian za przysługę, którą matka jego jako mamka w danym zakładzie oddaje. Ten rodzaj opieki znajdujemy w Wiedniu, w Pradze Czeskiéj, w Kopenhadze, w Sztokholmie i w niektórych przytułkach Ameryki Północnéj.

Nim przystąpię do uwag nad pojedyńczemi środkami i sposobami wykonywania opieki, zwrócić jeszcze muszę uwagę na trzy punkty natury prawodawczéj, które cechują stanowczo tak zwany system, w tym lub owym kraju przyjęty.

Pierwszym z tych punktów jest przepis prawa określającego w danėm państwie, czy ojcowstwa dochodzić można, kto i jak ma prawo kroki w tym celu czynić. Jakkolwiek nawet tak ścisłe w téj mierze artykuły prawa krajowego, jak te, które zawiera *Landrecht* pruski, nie czynią zadość wymaganiu bezwłocznéj ochrony życia i zdrowia niemowlęcia opuszczonego, to jednakże łatwo pojąć można, że w społeczeństwie, w którém ojcostwa dochodzić wolno i gdzie dochodzenie to znajduje wszelkie prawne ułatwienia, musiał się wyrobić inny w ogólności system opieki państwowéj i prywatnéj nad dziećmi opuszczonemi, aniżeli w tych społeczeństwach, w których (jak to ma miejsce, najbezwzględniéj we Francyi i w Królestwie Polskiém) obowiązują art. 340 kod. Napol. i równobrzmiący art. 305 kod. cyw. Król. Pol., wprost orzekające, że „poszukiwanie ojcostwa jest wzbronione“ [1]). W spór, nastręczający się wskutek rzeczonych krańcowych różnic prawa, wchodzić tu nie chcę, ani bliżéj uwydatniać niezmiernie doniosłego znaczenia jednego i drugiego z wymienionych systemów prawodawczych, pod względem socyologicznym i pod względem urobionych za ich wpływem stosunków i zwyczajów życia rodzinnego. To tylko bez wahania pozwolę sobie wyrzec, że los dzieci opuszczonych i opieka nad niemi pod osłoną *Landrechtu* pruskiego innemi być muszą, aniżeli pod strażą kodeksu Napoleona i że wskazywanie społeczeństwu, które od dawna stosunki swe wewnętrzne pod wpływem cywilnego prawodawstwa francuskiego skrystalizowało, które dobrodziejstwa i szkodliwości tegoż prawodawstwa dotychczas znosić musi, wskazywanie mu „germańskiego systemu“ jako wzoru do naśladowania, równa się — proszę mi darować na-

---

[1]) Dochodzenie ojcostwa jest prawnie dopuszczalne na różnych zasadach w Niemczech, w Austro-Węgrzech, w Wielkiéj Brytanii, w Stanach Północnéj Ameryki, w Szwajcaryi i w państwach skandynawskich.

zbyt lekarskie porównanie — zachęcaniu człowieka, który zębów nie ma, iżby się krzepił angielskim rostbeefem, jako arcy-posilnym.

W ścisłym związku z powyższym punktem stoją prawodawcze określenia, mające na celu zapewnienie niemowlęciu nieprawemu środków utrzymania. Prawodawstwo w Prusach najdaléj w tym kierunku naturalnie zachodzi: gdzie ojciec wykrytym być nie może, lub gdzie z jakichbądź powodów do utrzymywania nieprawego dziecka przymusić go nie można, tam prawodawca powołuje do spełnienia tego obowiązku (*Alimentationverbindlichkeit*) rodziców matki, a wreszcie rodziców ojca nieprawego niemowlęcia [1]). W innych prawodawstwach, a szczególniéj w cywilném francuskiém, prawa materyalne nieprawego niemowlęcia naturalnéj opieki pozbawionego, nie są ściśle przepisami zagwarantowane.

Drugi punkt zasadniczego znaczenia dla losu dzieci opuszczonych w różnych społeczeństwach stanowią artykuły prawa, określające możność adopcyi nieprawego dziecka z chwilą zawarcia przez rodziców małżeństwa. Przytaczać tu szczegółowych, wielce różnych określeń prawodawczych w téj mierze, a tém bardziéj krytycznie ich doniosłości oceniać nie jestem w stanie. Że jednak tak krańcowo różne w téj mierze prawodawstwa, jak z jednéj strony pruskie, ułatwiające legitymacyę nieprawego dziecka pod każdym względem, a z drugiéj — dotychczasowe rosyjskie, uniemożliwiające takową legitymacyę całkowicie, muszą wpływać w krańcowo różny sposób na los dzieci opuszczonych w danėm społeczeństwie, o tém zapewne nikt wątpić nie może.

Trzeci wreszcie punkt stanowiący o losie dzieci opuszczonych, odnosi się do różnego w rozmaitych państwach ogólnego prawa określającego, gdzie dane indywiduum uważać się ma jako stale zamieszkałe (*Heimatrecht*), a gdzie w razie opuszczenia, choroby, nędzy i t. p. ma prawo uzyskać pomoc i zapomogę (*Unterstützungswohnsitz*). W niektórych krajach (Austro-Węgry, Bawarya, Szwajcarya, Skandynawia) rzeczona pomoc uzyskaną być może jedynie w téj miejscowości (w téj gminie), z któréj jako ze stałego miejsca zamieszkania rodziców, *respective* matki, dziecko pochodzi. W innych krajach do opieki obowiązaną jest i ta gmina, w któréj dane indywiduum urodziło się [2]).

---

[1]) Odnośne artykuły prawa są wskazane w wyżéj wzmiankowanéj pracy Silberschlaga. Patrz również u Epsteina: „Studien zur Frage der Findelanstalten etc., 1882 (praca nagrodzona przez Akademię paryską).

[2]) W tychże krajach matka, pozbawiona środków utrzymania dla siebie i swego dziecka, ma prawo do uzyskania pomocy w gminie, w któréj się znajduje, jeżeli w niéj przebywa pewną liczbę lat (1 rok do 8 lat w różnych prawodaw-

Naturalnie ta ostatnia forma prawodawcza bardziéj wymaganiom miłosierdzia odpowiada, bezpośredniejszą, bardziéj natychmiastową pomoc opuszczonemu dziecku w największéj liczbie przypadków zapewnia.

Po tém nawiasowém wkroczeniu w sferę prawodawczą, wracam do głównego przedmiotu mych uwag, do środków i sposobów wykonywania opieki nad dziećmi opuszczonemi.

Wbrew rozprzestrzenionemu przekonaniu, uważam za właściwe zaznaczyć z góry, iż różność systemu opieki nad dziećmi opuszczonemi nie polega na haśle: przytułek („dom podrzutków“) lub „precz z przytułkiem.“ Systemu racyonalnéj opieki nad opuszczonemi dziećmi, a témbardziéj nąd opuszczonemi niemowlętami, opieki skutecznéj, a więc ocalającéj, a więc natychmiastowéj, wyobrazić sobie niepodobna bez przytułku, bez „domu podrzutków“ i nigdzie téż podobny system nie istnieje, chyba w głowach studyujących sprawę podrzutków przy zielonym stoliku. Przytułek jest w Sewilli, jest w Paryżu, w Londynie, w Berlinie, w jedném miejscu zwie się jawnie domem podrzutków, w inném nosi nazwę przytułku, domu wychowawczego, azylu, wreszcie *depot*, ale nigdzie się bez niego obejść nie można, gdzie na sprawę dzieci opuszczonych zapatrują się ze stanowiska medycyny publicznéj i zdrowéj etyki.

Że organizacya owych wszelakiéj nazwy przytułków jest różna, że schronienie w nich znajduje w jednym kraju większa, a w innym mniejsza liczba opuszczonych, w miarę tego, jak państwo i społeczeństwo prawodawczo lub filantropijnie na innych drogach zapewnia pomoc i opiekę większéj lub mniejszéj ich liczbie—rzecz to prosta.

Jednostronności w ocenianiu rozmaitych form opieki nad opuszczonemi dziećmi, jak najbardziéj strzedz się należy, jeżeli się chce sprawę ich zrozumiéć i los ich poprawić.

Istotna różność systemu opieki nad opuszczonemi dziećmi ujawnia się w następujących punktach:

1) Różny sposób przyjmowania dziecka pod opiekę danego zakładu, instytucyi państwowéj, czy prywatnéj. Mamy tu z jednéj strony wielokrotnie już wspomniane „koło,“ a więc przyjmowanie bezwarunkowe, każdego opuszczonego dziecka, bez wszelkich legitymacyi, a z drugiéj strony *„admission au bureau.“* Tu już zaznaczyć muszę,

---

stwach), chociaż gmina ta nie jest jéj prawném miejscem stałego zamieszkania. We Francyi do wykonywania opieki obowiązaną jest względem podrzutka, do czasu jego pełnoletności, ta gmina, w któréj nastąpiło podrzucenie.

że jednocześnie, nawet w jednym i tymże zakładzie, wraz z kołem, umożliwiającém bezwzględnie tajemne porzucenie dziecka, istnieć może i owo jawne przyjmowanie w biurze, dla tych osób, które do „podrzucenia“ dziecka nie mają powodu, ale dziecko opuszczone pod opiekę publiczną oddać pragną. Nadto zaprzeczyć muszę jakiéjbądź koniecznéj łączności pomiędzy przyjmowaniem do koła, a stałém zatrzymywaniem i wychowywaniem dzieci tak przyjętych w samym zakładzie, w „domu podrzutków.“ Są zakłady z kołem, zatrzymujące w swych murach dziecko porzucone jak można najkrócéj, są zakłady przyjmujące tylko w biurze, a chowające wyłącznie lub przeważnie podrzutków w „przytułku.“

2) Przyjmowanie w biurze idzie w parze z bardzo rozmaitemi wymaganiami, co się tyczy legitymacyi i formalności warunkujących przyjęcie dziecka. W niektórych razach, jak np. w zakładach francuskich, przyjęcie w biurze nie różni się istotnie od bezwarunkowego przyjęcia do koła. Osoba (matka czy osoba obca), oddająca dziecko pod opiekę zakładu, ulega w biurze przyjęcia indagacyi regulaminem określonéj; nadto jest namawiana do zatrzymania dziecka i zachęcana obietnicą pewnéj zapomogi z funduszów publicznych, ale ostatecznie każde dziecko nieślubne i pewna kategorya ślubnych dzieci przyjętą zostaje, a przyjęcie to nie jest warunkowane, ani składaniem jakichś urzędowych dokumentów, ani przymusowych zobowiązań ze strony matki, czy innéj osoby dziecko oddającéj. Od tego, tylko formalnie urzędowego przyjęcia różnią się inne sposoby przyjmowania w biurze, przy których przyjęcie zależy od najrozmaitszych wymagań. Tak np. *London Foundling Asylum* przyjmuje dzieci nieprawe, ale tylko zdrowe i wymaga dowodów uczciwości uwiedzionéj matki. W Danii przytułek daje niemowlętom nieprawym schronienie za opłatą. W wielu zakładach przyjęcie zależne jest od wieku opuszczonego dziecka, w innych od matki żądane są pewne materyalne zobowiązania, są wymagane legitymacye co do jéj miejsca urodzenia lub miejsca stałego pobytu, wreszcie są zakłady, szczególniéj pod kierunkiem pewnych prywatnych korporacyi będące, które przyjmują pod opiekę dzieci opuszczone, ale tylko ślubne. W szczegóły dotyczące tych i innych licznych warunków przyjęcia, dla braku miejsca tu wejść nie mogę, ani téż wymieniać nazw krajów, miast i instytucyi, wymagających takich lub innych legitymacyi i t. p.

3) Następny, ważny bardzo punkt, cechujący zaopiekowanie się dzieckiem opuszczoném, stanowi długość trwania opieki. Według przepisów prawa, we Francyi obowiązującego, przyjęcie pod opiekę publicznych instytucyi, jest udziałem dzieci do lat 12-tu. Instytucye te

są względem dziecka opuszczonego opiekunami w znaczeniu prawném do czasu jego pełnoletności (do 21 roku życia). Znajdujemy to we Włoszech, w Anglii. Szczegółowe określenia przepisów obowiązujących tak w wyżéj wymienionych krajach, jak i w innych, pomijam, odsyłając do specyalnych dzieł, a szczególniéj do monografii Raudnitza.

4) W związku z poprzednim punktem jest inny, dotyczący zmian w sposobie wykonywania opieki nad dzieckiem opuszczoném, w miarę przechodzenia tegoż z jednego okresu wieku do następnego. Dla przykładu przytoczę tu urządzenia przyjęte we wspomnianym wyżéj przytułku londyńskim. Przyjmowane są doń niemowlęta nieprawe, nie mające skończonych 12 miesięcy. Po krótkim pobycie w przytułku oddawane są do karmicielek, gdzie nad niemi rozciągają opiekę lekarze i ich żony. Z chwilą ukończenia 5-go roku życia powracają do przytułku i tu wychowują się dziewczęta do lat 15-tu, chłopcy do lat 14-tu, poczém oddawane są przez instytucyę do nauki rzemiosła lub do służby, korzystając ciągle, do pełnoletności, z opieki przytułku. Względem niezdolnych do pracy taż opieka trwa do końca życia. Formy zmian w sposobie wykonywania opieki nad dziećmi opuszczonemi, stosownie do ich wieku, są bardzo różne w różnych zakładach. Przytaczać ich tu niepodobna [1]).

5) Zasadniczą różnicę w wykonywaniu opieki nad dziećmi, a szczególniéj nad niemowlętami opuszczonemi, stanowi sposób postępowania z niemi zaraz po ich przyjęciu przez daną instytucyę (bez względu na sposób przyjęcia). A więc mamy tu albo w ścisłém znaczeniu tego wyrazu „*depot*" (tymczasowe schronienie, obliczone na parodniowy pobyt przyjętego dziecka), albo téż „azyl," przytułek przeznaczony na pobyt dłuższy, przyczém długość czasu przebywania świéżo przyjętego dziecka, zależy od stanu jego zdrowia, wieku, lub innych okoliczności.

6) Łączy się z powyższym punktem i następujący, a dotyczący różnic w wykonywaniu opieki już nietylko bezpośrednio po przyjęciu przez instytucyę dziecka opuszczonego, ale i po upływie pierwszych kilku tygodni; a więc: zasadnicze oddawanie wszystkich przyjmowanych do karmicielek (najczęściéj na wieś) po za zakładem na cały szereg lat, lub przeciwnie, systematyczne ich wychowywanie w zakładzie głównym lub w zakładach filialnych. Powyższe dwa punkta zasługują na szersze rozwinięcie, mieści się w nich bowiem to,

[1]) Na szczególną wzmiankę zasługuje wyposażanie dziewcząt, które, dostawszy się jako podrzutki pod opiekę przytułku i t. p., dorosłszy, wychodzą za mąż.

co stanowi tak niejasną dla wielu, a tém samém sporną kwestyę „domów podrzutków“. Dla nie rozrywania całości, w końcu jeszcze do kwestyi téj powrócę.

7) Wielce ważnym, niemal rozstrzygającym punktem sprawy opieki nad dziećmi opuszczonemi jest centralizacya téj opieki, względnie decentralizacya, a więc wielkie instytucye i zakłady miejskie, stołeczne, czy też organizacya opieki mniéj więcéj jednolita w gminach i małe przytułki gminne. Nie potrzebuję dowodzić, że wszystko w naszéj sprawie za decentralizacyą przemawia, i jeżeli dotąd nigdzie systematycznie przeprowadzoną jéj nie widzimy, to pochodzi jedynie z winy owych dwóch szkopułów, które na pomyślne rozwiązanie téj i innych spraw sanitarnych nie pozwalają, z winy biurokratycznéj rutyny i fiskalności.

8) Istnieje w niektórych krajach (Grecya) odrębna forma postępowania, bądź-co-bądź zasługująca na zaznaczenie, jako w pewnych okolicznościach godna uwzględnienia. Dziecko opuszczone zostaje bezwarunkowo przyjętém, gdy je złożą w kółku lub biurze, ale jednocześnie na drodze właściwéj rozpoczęte zostaje poszukiwanie co do naturalnych jego opiekunów (ojca i matki) i stosownie do wyników owego poszukiwania, dziecko albo nadal zostaje pod opieką instytucyi, lub też bywa naturalnym opiekunom zwrócone. W innych krajach, państwowe instytucye opiekuńcze, pośrednio ani bezpośrednio nie przykładają się do wykrycia rodziców opuszczonego dziecka, ani do śledzenia stanu ich zamożności i t. d.

9) Po większéj części zakłady i instytucye przyjmujące w ten lub ów sposób dzieci opuszczone, nie są organicznie związane z zakładami publicznemi dla brzemiennych i dla rodzących (instytuty i przytułki położnicze), istniejącemi w danéj miejscowości. W niektórych jednak krajach, a szczególniéj w Austryi (Wiedeń, Praga czeska, pięć miejscowości w Dalmacyi) wytworzył się „system“ zwany „józefińskim“, system słusznie dziś chwalony, w którym łączność obu rzeczonych instytucyi filantropijnych jest statutami określona. W publicznych przytułkach dla brzemiennych (niestety, bardzo nielicznych!) i dla rodzących, znajdują przeważnie schronienie matki nieślubnych dzieci lub wreszcie matki dzieci ślubnych, znajdujące się w najtrudniejszych warunkach materyalnego bytu, a więc dzieci, które z natury rzeczy główny kontyngens „opuszczonych“ stanowić będą. Kobiety takie wiedząc, że w zakładzie przez ostatnich parę miesięcy ciążę swą ukryć będą mogły, że znajdą tam biegłą pomoc lekarską przy porodzie, że nadto dziecko, na świat przyjść mające, bez dalszych starań i kosztów dobrą opiekę znajdzie w przytułku, chętnie do takie-

go schronienia się uciekają. Stąd mniejsza liczba pokątnych porodów, mniejszy udział faktorek i akuszerek, mniéj dzieciobójstw. Schronienie takie jednak, matka bezpłatnie doń przyjęta i poród w nim odbywszy, opłacić musi, karmieniem piersią własnego niemowlęcia, wraz z nią przeniesionego po skończonym połogu z instytutu położniczego do przytułku dla „podrzutków“, a jednocześnie karmieniem w razie potrzeby i innego jeszcze prawdziwego „podrzutka“ lub sieroty, które się do przytułku dostały bez matki (porzucone na ulicy i t. p.). Ten obowiązek mamczenia, ciąży na matce przez pierwszych parę miesięcy, poczém dziecko nieprawe lub z innych powodów naturalnéj opieki pozbawione, o ile stan zdrowia jego na to pozwala, zostaje oddane karmicielce po za przytułkiem na wykarmienie, pozostając pod opieką i kontrolą zakładu. Ważny wynik lekarski takiego urządzenia jest ten, iż przytułkowi nigdy nie brak dla żadnego dziecka dobréj mamki a dziecko w pierwszych dniach i tygodniach życia racyonalnie piersią karmione, staje się wytrzymalszém nawet wrazie przejścia potém w ręce obcéj karmicielki [1]). To téż wyniki, jakich dostarcza najkrytyczniéj oceniona, porównawcza statystyka śmiertelności w przytułkach dla opuszczonych z ostatnich lat 20, nigdzie się tak pomyślnie nie przedstawiają jak w przytułach austryackich, szczególniéj w Wiedniu i Pradze. Śmiertelność dzieci przy piersi w zakładzie wiedeńskim wynosiła (w 1887) 378 *pro mille*, w pragskim (w 1886) tyleż. Jeżeli przypomnimy sobie cyfry dotyczące śmiertelności niemowląt w pierwszym roku życia w miastach (wogólności niemowląt prawych i nieprawych!) jak np. w Wiedniu 290 *pro mille* (w Warszawie 365 *pro mille*), jeżeli pamiętać będziemy, że niemal wszędzie, a wszczególności w wielkich miastach śmiertelność nieprawych jest dwa razy większą niż prawych, to przyjdziemy do przekonania, że cyfry osiągnięte w domach dla podrzutków systemu józefińskiego, pod wpływem reform higienicznych, zaprowadzonych tam w ostatnich lat dziesiątkach, doprowadziły do wyników, które dobremi bez wahania nazwać można [2]).

10) Już z tego wszystkiego, co wyżéj w mych zestawieniach i uwagach podałem, okazuje się, że bez względu na sposób przyjęcia dziecka opuszczonego i bez względu na sposób wykonywania opieki w pierwszych dniach, *respective* w pierwszych miesiącach po przyjęciu,

---

[1]) Pod względem moralnym, ważném jest przywiązanie się matki do karmionego piersią własnego dziecka; matka z konieczności przytułek opuszczając, dziecko tam zostawia, ale o niém pamięta i według możności pod swą opiekę z czasem zabiera.

[2]) Patrz streszczenie ze sprawozdań z różnych lat Friedingera, Epsteina i Pressla w „Deutsche Vierteljahrschrift f. öff. G.“ szczególniéj od 1883 do 1889 r.

opieka wszelkich instytucyi państwowych, gminnych czy prywatnych, nie może się ograniczać i nie ogranicza się też dziś prawie nigdzie, na pielęgnowaniu dziecka opuszczonego w murach tak czy inaczéj uorganizowanego przytułku, ale raczéj opieka ta, nadzór, kontrola, istnieć musi wszędzie, gdziebądź okoliczności, lub prawo obowiązujące, postawią dziecko naturalnéj opieki pozbawione. Spotykamy się zatém ze specyalną, prawnie określoną [1]) formą opieki nad dziećmi oddanemi na wykarmienie a mianowicie: *a*) bądź tylko nad oddanemi przez publiczne instytucye opiekuńcze, przez „domy podrzutków“ i t. p. *b*) bądź też i nad oddanemi w ręce obcych karmicielek przez osoby prywatne (przez matkę, przez pośredniczki, przez rodziców i t. p.). Zaznaczyć wypada, że np. w Rosyi spotykamy się z brakiem zupełnym prawodawczo określonéj i przez władzę wykonywanéj opieki nad dzieckiem opuszczoném, w rękach obcéj karmicielki pozostającém, tak do kategoryi *a*) jak i do *b*) należącém.

11) W opiece nad dzieckiem, karmicielce powierzoném, bierze udział już to wyłącznie władza państwowa (zwykle organa policyjne i policyjno-lekarskie), już też czynność opiekuńczą spełniają wraz z organami państwowemi i organa inne społeczne, przez władzę do tego specyalnego celu ustanowione komitety opiekuńcze (Francya), już też wreszcie stowarzyszenia prywatne dobrowolnie działające, i to bądź same, bądź też z pewną pomocą i z upoważnienia władzy.

W całéj sprawie dzieci opuszczonych, w miarę potęgującego się wszędzie usiłowania, by możliwie ograniczyć opiekę instytutową, dominujące miejsce zajęły w ostatnich paru dziesiątkach lat te (*sub* 10 i 11 uwydatnione) jéj punkta, odnoszące się do pozainstytutowéj opieki, témbardziéj, że brak jéj tu właśnie najjaskrawszemi faktami natury kryminalnéj, coraz częściéj ilustrowanym dziś bywa. Na te punkta też u nas największy nacisk, zdaniem mojém, położyć trzeba; usiłowania władzy policyjnéj i publicznego miłosierdzia w nich znaleść winny programat do natychmiastowego działania, na teraz przynajmniéj, dopóki toczy się jeszcze w sferach, niestety niedość kompetentnych a nieraz rozstrzygających, spór o prawo obywatelstwa domów dla dzieci opuszczonych i o możliwie ocalający wpływ tych domów. A więc idąc w tym kierunku, wypada nam żądać, by zaprowadzony został konsens dla osób biorących dzieci na wykarmienie, na wsi czy w mieście; by przyjmowanie dziecka na wykarmienie bez konsensu

---

[1]) Tu się odnoszą prawa państwowe: angielskie (1872), francuskie (1874), niemieckie (1879). ustawa hesska (1876) i i.

policyi, było karane; by udzielenie konsensu było warunkowane przepisami sanitarnemi, co do miejsca zamieszkania karmicielki, jéj zdrowia, jéj zajęcia, jéj prowadzenia się i t. d.; by konsens każdéj chwili mógł być odebrany; by każde przyjęcie i zwrócenie lub śmierć dziecka były natychmiast przez karmicielkę meldowane, równie jak i każda zmiana lokalu; by każda karmicielka była w mieszkaniu peryodycznie odwiedzana przez lekarza; by miała zapewnioną dla dziecka bezpłatną, lub tanią pomoc lekarza i aptekę, a nadewszystko iżby odpowiednie, prywatne korporacye dobroczynne, za pośrednictwem swych organów, w porozumieniu i przy pomocy policyi, rozciągały nadzór ciągły nad każdą karmicielką i dzieckiem jéj powierzoném; by te osoby dobroczynne przynajmniéj dwa razy tygodniowo dziecko odwiedzały, wynagradzały gorliwość karmicielki, zaspakajały braki w ubraniu i pościeli dziecka, a nadewszystko zasiłkiem pieniężnym przychodziły z pomocą wtedy, kiedy karmicielkę spotyka zawód w odbiorze opłaty, przez matkę czy pośredniczkę za wykarmienie wnoszonéj. Wzory do naśladowania na tém polu wyżéj wskazałem. Na innéj jeszcze drodze i w sposób bardziéj szczegółowy, wszystkie wymagania w téj mierze przedstawione zostały tutejszéj władzy policyjnéj a Towarzystwo opieki nad biédnemi matkami i t. d. jest gotową instytucyą, która we właściwéj mierze, przy niezawodnie chętném poparciu warszawskiéj zwierzchności policyjnéj, do spełnienia owych wymagań się przyczynić potrafi.

12) W sprawie dzieci opuszczonych wielkiéj wagi jest cały szereg środków nie wchodzących wprost w żaden z systemów opieki, ale ograniczających potrzebę owéj opieki bezpośredniéj. Chcę tu mówić o rozmaitych sposobach dopomagania kobietom ciężarnym, rodzącym i matkom. Co się tycze bardzo pożytecznéj a niedość rozwiniętéj opieki nad brzemiennemi, to wykonywają ją w rozmaitéj mierze różne towarzystwa prywatne, szczególniéj we Francyi. W Austryi wielce dobroczynny wpływ wywierają zakłady położnicze, w których znajdują schronienie kobiéty brzemienne na długi czas przed terminem rozwiązania. W wielkich miastach (w Warszawie w szczególności) schronienie dla brzemiennych, niezamężnych, z klasy służących i ubogich robotnic, nie mogących zarobkować w ostatnich 3 miesiącach stanu odmiennego, jest niemal koniecznóm. Instytucya to względnie niekosztowna, gdyż kobiéty, opieki w niéj szukające, do pracy są zdolne a nawet częstokroć opłatę skromną wnieść są gotowe, byle je zakład chronił od wstydu i dawał zaspokojenie co do pomocy w chwili krytycznéj. Gotową u nas instytucyą, tak dobroczynnie działać mogącą, jest Towarzystwo opieki nad biédnemi matkami. Potrzeba tylko, by

społeczeństwo poparło je pieniężnie lepiéj niż dotychczas. Mniejszéj wartości, a nieraz złemi skutkami grożącém, jest wspomaganie brzemiennych niezamężnych w ich mieszkaniu lub w mieszkaniu na czas ostatnich miesięcy wynajmowaném od akuszerek i t. p. I tego jednak środka Towarzystwo opieki nad biédnemi matkami zasadniczo wyrzekaćby się nie powinno, jeżeli tylko w swém łonie zawiéra odpowiednie organa nadzorcze i kontrolujące. Obok opieki nad brzemiennemi i z nią w parze idzie opieka nad matkami. Tu spotykamy się z mnóstwem instytucyi gminnych i prywatnych, szczególniéj we Francyi, i w innych krajach romańskich, daléj w Anglii, mniéj zaś w Niemczech. Nie wchodząc w krytyczne ocenienie ustaw, jakiemi się liczne stowarzyszenia opieki nad biédnemi matkami rządzą, zaznaczam tylko, że niektóre z nich uwzględniają jedynie matki biédne zamężne, niektóre niosą tylko *„secour aux filles-mères“*, a wreszcie najliczniejsze są takie, które jak i warszawskie Tow. opieki nad biednemi matkami, nie segregują nędzy na chwalebną i niechwalebną, niosąc pomoc wszelkiéj prawdziwéj niedoli macierzyńskiéj i zapobiegając tém samém niedoli dziecięcéj. Opieka nad biédnemi matkami przez niektóre instytucye wykonywana jest tylko przez przyjęcie do przytułku położniczego i zatrzymanie tu matki i dziecka krócéj lub dłużéj; w innych biédna matka znajduje takież schronienie na czas słabości w przytułku, a po wyjściu zeń opiekę i zapomogę w domu, naturalnie o ile dziecko swe zatrzymuje i karmi; w innych jeszcze, matce udziela się pomoc w rozmaity sposób do odbycia porodu w domu i do utrzymania jéj i dziecka potém. Ta pomoc udzielana matkom karmiącym i wychowującym swe nieprawe dziecko trwa w niektórych instytucyach długo, tak np. we Francyi, do końca czwartego roku życia dziecka. W wykonywaniu tych rozmaitych form opieki nad biédnemi matkami, dzieci swych nieprawych nieopuszczającemi, w coraz większéj mierze biorą dziś udział tak gminy, jak i stowarzyszenia prywatne. We Francyi saméj spotykamy 83 *„Sociétés de charité maternelle“*, daléj instytucye pod nazwą: *„Société protectrice de l'enfance“* i *„Société pour la propagation de l'allaitement maternelle“*. Francuska (gminna) dobroczynność publiczna (*Assistance publique*) w r. 1884 wypłaciła wsparć matkom niezamężnym, dzieci swe karmiącym i wychowującym około 4½ milionów franków. W Bawaryi w r. 1881 było 19 stowarzyszeń, wspierających biédne położnice: roczna zapomoga wyniosła 34,662 marek. Innych przykładów i cyfr przytaczać tu dla braku miejsca nie chcę [1]).

[1]) Oprócz stałych zapomóg, wypłacanych biédnym matkom, niektóre instytucye wynagradzają gorliwość w pielęgnowaniu dziecka premiami, płatnemi w terminach określonych, lub dowolnie.

13) Z kolei wypada wymienić środki zachęty do zamążpójścia matek dzieci nieślubnych, z warunkiem przyznania nieprawego dziecka przez małżonków. We Francyi zapomoga płacona w celu umożliwienia małżeństwa i uprawnienia dziecka wynosi 60 do 100 franków. Wiemy, że Warszawskie Tow. opieki nad biédnemi matkami, mimo swych skromnych środków, dobroczynne działanie w tym kierunku skutecznie rozwija. Tu przypomniéć muszę, że przyznanie dziecka nieślubnego przez rodziców jego, nawet po zawarciu małżeństwa, nie wszędzie jest prawem dozwolone. W Cesarstwie jest dotychczas nie dozwolonêm.

14) Ostatni punkt, na który pragnę zwrócić tu uwagę, stanowią tak zwane żłobki („*crèches*“, „*Krippen*“), mające na celu danie schronienia chwilowego niemowlętom, przez czas dziennéj pracy karmiącéj matki. Gdzie, jak we Francyi, w Belgii i w Anglii, kobiéty biédniejsze tak zamężne, jak i niezamężne, w znacznéj liczbie pracują w fabrykach, tam żłobki są niesłychanêm dobrodziejstwem i coraz téż więcéj się rozpowszechniają i doskonalą. Nie jest to jednak instytucya wolna od zarzutów. Przy zwykłém urządzeniu żłobka, zdala od miejsca zarobkowania matki karmiącéj, niemowlę dostaje pierś tylko rano i wieczór, przez dzień zaś cały karmione jest sztucznie. Wyniki takiej metody żywienia niemowlęcia naturalnie dobremi być nie mogą (Pfeiffer). Nieraz téż pomieszczenie żłobka, dozór nad składanemi w nim dziećmi, dbałość o ich stan schludności i zdrowia, nie są dostateczne a zaspokojenie prawdziwie higienicznych wymagań w téj mierze bynajmniéj łatwe nie jest [1]). Czy u nas żłobki mogłyby przynieść poważną korzyść jako środek zaradczy przeciw niedoli dzieci opuszczonych? Odpowiadam przecząco, głównie z uwagi na stosunkowo nieliczny udział kobiét dzietnych w pracy pozadomowej, fabrycznéj. Bądź-co-bądź dla robotnic fabrycznych, niemających bynajmniéj zamiaru, ani powodu do porzucania swych dzieci (mniéj niż 2-letnich), żłobki są pożądane, ale tylko o tyle, o ile byłyby urządzane w obrębie lub w sąsiedztwie fabryki i z zastrzeżeniem, że matka karmiąca ma być przynajmniéj co 4 godziny zwalnianą, celem nakarmienia dziecka w żłobku pozostającego, tak, żeby tryb karmienia dziecka, wyłącznie piersią, nie był wskutek pozostawiania w żłobku zmieniony. Nie można nic zarzucić wymaganiu z rozmaitych stron dziś wygłaszanemu, iżby fabryki, korzystające z pracy kobiét, obowiązane były w swym obrębie urządzać i utrzymywać odpowiednią instytucyę

---

[1]) Patrz „Bulletin de la societé des crêches“, wychodzi w Paryżu 4 razy do roku—Uffelmann l. c. str. 495.

żłobka. Istnieją dziś żłobki bezpłatne i płatne. We Francyi opłata dzienna wynosi 5 do 10 centymów.

IV.

Z powodu stanu rzeczy u nas w sprawie dzieci opuszczonych, nie wypada mi ograniczać się na powyższym, możliwie obiektywnym a z konieczności zwięzłym rysie jéj wogólności, ale raczéj winienem koniecznie odpowiedziéć wprost na kilka pytań, dotyczących tego, coby u nas zrobić należało, bez względu na rozmaite, niestety, poważne okoliczności, przeszkadzające spełnieniu choćby najsłuszniejszych wymagań sanitarnych i filantropijnych.

A więc przedewszystkiém czy potrzebujemy przytułku, *respective* przytułków „dla podrzutków"? Odpowiadam stanowczo: tak! W warszawskim domu podrzutków niespełna 2,000 dzieci rocznie przyjętych zostaje. W całym kraju przynajmniéj 12,000 nieprawych się rodzi. Warszawa i prowincya przytułków stanowczo potrzebują i bez nich o skuteczném zaradzeniu złemu, które tak boleśnie rani najszlachetniejsze uczucia całéj lepszéj części społeczeństwa, które temu ciężko zgnębionemu społeczeństwu taką krzywdę materyalną wyrządza, o zaradzeniu temu złemu, bez przytułków dla opuszczonych dzieci nie może być mowy. Gdyby nawet nastąpiła całkiem niespodziewana zmiana w prawodawstwie krajowém, co do poszukiwania ojcostwa i co do poszukiwania alimentów, gdyby cały ustrój opieki sierocéj i urzędów opieki nad ubóstwem według modły pruskiéj został u nas wprowadzony, to i tak utworzenie przytułków rzeczonych nie byłoby mniéj konieczne. Wymownie o tém świadczy zakończenie wyżéj wspominanéj pracy Baginsky'ego (1886), gorącego obrońcy systemu „germańskiego", który opisując sposób wykonywania opieki nad dziećmi opuszczonemi w Berlinie, wykazuje jednocześnie jego braki, a między innemi brak kapitalny widzi w tém, że Berlin nie posiada odpowiednio urządzonego przytułku dla niemowląt, według praw obowiązujących, za całkiem opuszczone uznanych, gdzieby niemowlęta te, stosownie do ich stanu zdrowia, dłużéj lub krócéj pozostawały i piersią mamek płatnych były tam karmione. Dotychczasowe berlińskie „*depôt*" temu pierwszorzędnemu wymaganiu sanitarnemu nie odpowiada.

Tu wypada mi się jeszcze raz zwrócić do historyi naturalnéj niemowlęcia i przedstawić dane dotyczące niektórych zgubnych wpływów, najbezpośredniéj i najgwałtowniéj działających na jego ustrój. Na pierwszém miejscu postawić tu musimy zgubny wpływ niewłaściwego tak zwanego sztucznego karmienia. Weźmy pod uwagę kilka cyfr, przyczém

umyślnie biorę cyfry dotyczące Berlina, jako miasta reprezentującego *par excellence* system „precz z przytułkiem“. Otóż w r. 1878 (patrz Uffelmann *l. c.* str. 99) z 1,000 niemowląt wogólności, mniéj niż rok życia mających, umiérało 300, a z 1000 takichże niemowląt piersią karmionych tylko 190. W liczbie zmarłych odpowiednio karmionych, było zgonów z powodu nieprawidłowego trawienia 200 *pro mille*, kiedy tymczasem w liczbie zmarłych sztucznie karmionych, było zgonów z tegoż powodu 450 *pro mille.* Tenże autor, w innêm miejscu, obliczając śmiertelność niemowląt w pierwszym roku życia w Berlinie „na garnuszku“ będących, wykazuje, że $^2/_3$ zgonów téj kategoryi niemowląt mają swe źródło w chorobie przewodu pokarmowego. W ciągu całego pierwszego roku życia niemowlęcia, odpowiednie karmienie piersią stanowi bardzo ważny warunek utrzymania go przy życiu i w prawidłowym stanie zdrowia. Ale w pierwszych tygodniach, a szczególniéj w pierwszych dnia życia karmienie piersią, nawet dla dzieci przychodzących na świat w sposób prawidłowy i pod każdym innym względem odpowiednio pielęgnowanych, stanowi niemal bezwzględnie o ich ocaleniu. O ileż zaś znaczenie karmienia piersią ważniejszém się staje tam, gdzie chodzi o niemowlę opuszczone, najczęściéj w pierwszych dniach życia od piersi matki oderwane. Z takich niemowląt, — a o takie w naszéj sprawie chodzi! — ocalonemi być mogą, jak słusznie powiada Baginsky, tylko te, które przynajmniéj przez kilka pierwszych tygodni pozostawania pod opieką instytucyi dobroczynnéj, wyłącznie piersią karmione będą. Znaczna ich liczba potrzebuje takiego karmienia przez czas dłuższy, z uwagi na nieprawidłowy stan zdrowia. A i te nawet niemowlęta opuszczone, które mimo karmienia sztucznego ocaleją, przez cały szereg lat dostarczają znakomicie więcéj chorych aniżeli takież dzieci w niemowlęctwie przez pewien czas piersią karmione (patrz cyfry u Uffelmanna, Baginsky'ego i u Russowa w *Jahrbuch für Kinderheilkunde*, t. 16).

Otóż niemowlętom opuszczonym, w najkrytyczniejszéj chwili oderwania od piersi matki, nieraz w chwili przyjścia na świat, nieraz po paru dniach głodzenia, niemowlętom, będącym w warunkach zmniejszonéj nieprawidłowo oporności, zapewnić może ów jedynie zbawczy środek ocalenia tylko odpowiednio uorganizowany przytułek, tylko przytułek może dać niemowlęciu pierś natychmiast, tylko w przytułku karmienie piersią może być jak należy dozorowane, tylko w przytułku, nawet sztuczne karmienie (naturalnie mlekiem krów czy kóz na miejscu trzymanych i odpowiednio żywionych), lub dokarmianie staje się możliwém i mniéj niebezpiecznêm, gdyż tu iść może w parze z kon-

trolą, za pomocą codziennego ważenia niemowlęcia i za pomocą codziennego oceniania jego wypróżnień przez lekarza.

Zresztą dla opuszczonych dzieci chorych, dla dotkniętych kalectwem, jednem słowem potrzebujących pomocy lekarskiéj, niezawodnie właściwém może być tylko pomieszczenie w przytułku.

W tym samym początkowym okresie życia dziecka opuszczonego, w którym sposób żywienia stanowi o jego ocaleniu, niemałéj téż wagi, jeżeli nie dla życia jego, to dla przyszłego zdrowia są takie momenta, jak czystość powietrza, temperatura, kąpiele, schludność bielizny i posłania. I tu znowu tylko przytułek, odpowiadający wymaganiom nauki i zachowaniu zdrowia, daje rękojmię zapewnienia niemowlęciu rzeczonych koniecznych dlań warunków zdrowia. Że rękojmi téj nie daje pomieszczenie u karmicielek płatnych ani w Berlinie (patrz u Baginsky'ego i Uffelmanna) ani... u nas, tego tu bliżéj udawadniać nie będę.

Wszystko, co tu powiedziałem, miało na celu stwierdzenie, iż przytułek, „dom dla podrzutków", jest nietylko instytucyą usprawiedliwioną, ale, że nawet jest niezbędném ogniwem w każdym systemie opieki nad dziećmi opuszczonemi, zarówno w systemie „romańskim", jak w „germańskim" (pruskim). Inna rzecz, czy przytułek zawsze czyni zadość wymaganiom higieny. Ta sama tu sprawa co z kanalizacyą. Wojujący przeciw niéj przytaczać zwykli, z dziwną nieznajomością rzeczy, lub z dziwniejszą jeszcze złą wiarą, przykłady starych wadliwych od A do Z urządzeń kanalizacyjnych, które z kanalizacyą dzisiejszą nic wspólnego nie mają prócz nazwy. Powtarza się to w historyi sporu o domy podrzutków, o czém świadczy praca prof. Okolskiego, w zeszłorocznéj „Bibliotece Warszawskiéj". Niestety brak miejsca nie pozwala mi tu na zajęcie się szczegółowe polemiką toczoną w kwestyi domów dla podrzutków. Pozwalam sobie tylko ogólnie zaznaczyć, że porywnywając dane statystyki lekarskiéj jednego i tegoż samego zakładu w Wiedniu, w Pradze, w Neapolu czy w Moskwie, przed kilku dziesiątkami lat i obecnie, po higienicznéj reformie tych zakładów, przekonywamy się, że racyonalne usiłowania lekarskie zrobiły z instytutów zabójczych, schronienia ocalające i że idąc daléj na téj drodze, niezawodnie dalszy postęp osiągnięty być może i będzie. Oto dla przykładu jeden szereg cyfr z neapolitańskiego domu podrzutków (Giambatista d'Addosio. 1883. Napoli). Wśród dzieci w zakładzie wychowywanych było zgonów:

w latach od	1795	do	1810 — 805	*pro mille*	(przyjęto	36,420	dzieci)
„	1811	„	1830 — 848	„	„	37,944	„
„	1831	„	1850 — 672	„	„	42,635	„
„	1851	„	1870 — 464	„	„	40,542	„
„	1871	„	1883 — 404	„	„	23,035	„

Gdyby piszący o domach dla podrzutków byli lekarzami, wiedzieliby, że takie same polepszenie, jakie co do losu dzieci opuszczonych wykazuje statystyka tych zakładów, w ciągu ostatnich lat dziesiątków stwierdzić się daje we wszystkich oddziałach szpitalnych i że w całym dziale szpitalnictwa, do którego i rzeczone domy przeważnie należą, dziś niegodzi się mówić o tém co było a nie jest [1]).

Tyle o konieczności przytułków dla opuszczonych dzieci a w szczególności dla niemowląt (*Säuglingsasyle*). Na pytanie, w jaki sposób do tych przytułków dzieci dostawać się u nas powinny: przez „kółko“ t. j. całkiem tajemnie, czy też jawnie w biurze, odpowiadam bez wahania, że ze stanowiska medycyny publicznéj nic przeciwko kółku powiedzieć się nie da. Daje ono materyalnie wszelką rękojmię wczesnéj i skutecznéj opieki nad dzieckiem opuszczoném. Co się tycze względów pseudo-moralnych, które dziś skłaniają państwa do usuwania kółek, to pozwolę sobie zarzucić im hipokryzyą, tak jak owym moralizatorskim deklamacyom, które dotychczas wstrzymują niektóre państwa od konsensowania domów publicznych. Nie wiem do jakiego stopnia to świętoszkostwo pruskie wytrzymuje krytykę wobec kryminalistycznéj statystyki porównawczéj; że nie wytrzymuje jéj wobec statystyki lekarskiéj rzeczą jest dowiedzioną.

Zresztą przy utrzymaniu kółka, jako jedynéj drogi przyjęcia do przytułku, nie ma się co upiérać, jeżeli w miejsce niego, idąc za przykładem francuskiéj „*assistance publique*“ wprowadzimy „*admission au bureau*“ bez żadnych utrudnień i z zachowaniem zupełnéj dyskrecyi. Przyjęcie takie łatwiéj naturalnie prowadzi do utrzymania związku rodzinnego między podrzutkiem a matką i rodziną dziecka, a przytém nastręcza możność zachęcenia matki do zatrzymania dziecka i wychowywania go przy sobie za pomocą środków dostarczanych przez dobroczynność publiczną (*secour à domicile*). Tylko wszelkie dokumenta, wszelkie świadectwa od księży, od rządców domu, wszelkie protekcye do zdobycia uprzejmego przyjęcia „w biurze“, wykreślone być muszą z rzędu środków, uprawniających niemowlę do opieki! Boć instytucya dobroczynna tylko niemowlę i tylko ocalenie jego winna miéć na oku. Nie do niéj należy, w chwili gdy opuszczonemu śmierć grozi, śledzić winę jego matki, lub obcéj pośredniczki. Państwo w swym ustroju ma inne do tych celów służące organa.

---

[1]) W domu podrzutków w Como (Tassani sprawozdanie za r. 1884) śmiertelność wynosiła w 1873 jeszcze 420 *pro mille*, zaś w 1881 już tylko 153 *pro mille* Cyfry dotyczące Wiednia i Pragi wyżéj podałem; inne pominąć tu muszę.

Tak więc przyjęcie niechaj będzie jawne ale nieograniczone.

Czy dzieci do przytułku przyjęte mają być w nim wychowywane, czy téż na wykarmienie, a potém na wychowanie oddawane w ręce obce? powtarzać się tu nie chcę i dla tego powołując się na to, co wyżéj powiedziałem, sądzę, że u nas tak jak i gdzieindziéj oddawanie dzieci piersi potrzebujących na wykarmienie, tylko z ostrożnością stosowane być może. Pożytecznėm wychowanie dzieci opuszczonych u obcych karmicielek tak na wsi, jak i w mieście, u nas być może, ale dziś pożytecznėm nie jest i nie będzie dopóty, dopóki w myśl zasad prawa francuskiego z 1874 (*loi Roussel*) nie zostanie uorganizowana prawodawczo i administracyjnie kontrola nad karmicielkami płatnemi i nad mamkami [1]). W tym téż kierunku działa i daléj działanie swe rozwijać niezawodnie skutecznie będzie Towarzystwo opieki nad biednemi matkami w Warszawie.

Za decentralizacyą przytułków, za urządzeniem podmiejskich filialnych przytułków obok zakładów stołecznych, za organizacyą opieki nad brzemiennemi, nad rodzącemi, nad biédnemi matkami karmiącemi swe dzieci piersią, za fabrycznemi żłobkami wyżéj już przemawiałem. Mniemam, że tylko jednoczesność wszystkich tych środków wytworzy całość, niezasługującą może na nazwę systemu, ale bogatą w pomyślne skutki.

Dr. Stanisław Markiewicz.



---

[1]) O skuteczności organizacyi w téj mierze świadczą liczne sprawozdania lekarzy francuskich. Tak np. Valette (*La loi Roussel dans le Calvados*. Paris, 1884), mówi, że kiedy przed r. 1877, w rzeczonym departamencie ogólna śmiertelność dzieci 0—1 r. była 110 *pro mille*, to jednocześnie śmiertelność dzieci tamże u karmicielek dochodziła 780 *pro mille*. Ta ostatnia w ciągu lat 3 (1880—82) wskutek wykonywania rzeczonego prawa, zniżyła się do 125 *pro mille*.



NOWELA BEZ TYTUŁU.

NAPISAŁ

LUBOMIR BABIĆ.

Na pagórku najwyższym w całéj okolicy pewnego zakątka w Zagórzu stoi, Bóg wié jak dawno, kościołek stary i mały, którego patronką jest „Najświętsza Matka siedmiu boleści.“ Nie jest on ani piękny, ani bogaty; kamień już się kruszył, czarne ściany ze zrębów dębowych całkowicie były stoczone przez robaki; podłoga się wszędzie powyginała, a deski na dachu?... i pobite były, i popróchniałe, i Bóg wié nie jakie.

Stoi kościołek ów tak, że go o milę wokoło, a może i jeszcze daléj można widziéć. Stara jego, z czarnych desek sklecona wieża, patrzy daleko na wszystkie doliny i wzgórza, a ponieważ tak wysoka, to i każdemu oku najpierwsza się pokaże, i chociaż odrazu prezentuje się jak jaki niedołężny inwalid, wszakże każdego wita wesoło i serdecznie, i każdy rad ją widzi, każdy ją kocha. Oczywiście, posiada ona także i dzwony,—ach, nie napróżno niesie stare podanie, że je sami aniołowie z nieba niegdyś przynieśli. Tak dźwięcznie, tak mile rozlegają się ich głosy, które fala świéżego powietrza górskiego roznosi daleko między niższe pagórki, w wązkie doliny, daléj na równinę do szybkiego ruczaju i cichych wód czarnych, potém jeszcze daléj, aż het przez łąki; a stamtąd płynąc coraz słabszém drganiem i coraz ciszéj jęcząc, zamierają one gdzieś w błękitnéj dali, gdzieś w gęstym starym lesie u podnóża saméj góry. Zwłaszcza brzmią czarodziejsko rano o świcie, albo późno wieczorem. Wieczorem!—Ciemny cień pierwszego zmroku miękko rozesłał się po ziemi i zadrgał w powietrzu, każdy przedmiot

nieznacznie drży i przełamuje się, z krzaku obok wązkiéj drożyny poraz ostatni da się słyszéć jędrny krzyk drozda, a jakby odpowiadając mu, poraz pierwszy rozpłynie się w cichém powietrzu silny akord piosnki słowika; daléj pod wioską kona ostatni ryk trzody, co słuchając pieśni pasterza wraca do domu; dzienne gorąco ustąpiło przed pierwszemi falami wieczornego chłodu—i wówczas tam, z wierzchołka pagórka czarownic, harmonijnie rozlegną się srebrne dźwięki: „Zdrowaś Marya,“ ach, wówczas każde oko zwróci się do góry w kierunku staréj wieży i patrzy na nią ze czcią i wdzięcznością. Ilekroć się zdarzało wielom, bardzo wielom, za szczęśliwych dni dzieciństwa nadsłuchiwać i odczuwać w drżeniu drogich dźwięków owych tchnienie niebieskie i odgłos aniołów i archaniołów hymnu; i zdawało się, że obok piękny anioł przeleciał, że słyszą szum wielkich, silnych skrzydeł posłańca niebios; a wówczas oczy dziecięce nawpół z przestrachem i bogobojnie, nawpół ciekawie i pożądająco podnosiły się w górę do lazuru modrego, na którym jedna za drugą gwiazda się zapalała i czarownym blaskiem swoim pozdrawiała młodą duszę rozmarzoną, co w téj świateł miryadzie dopatrywała płomieni lamp boskich i zapadała w błogie marzenia o blasku i piękności tronu niebieskiego.

Nie jednemu tak bywało. Każdy, mieszkający w parafii i nawet daleko po za jéj granicami, lubił ten głos dzwonów na staréj wieży i lubił tém samém i kościołek stary na najwyższém wzgórzu stojący. W każdym kłopocie znajdowano tu siły, w każdém cierpieniu—pociechę, w każdéj radości—współudział. Gdyby parafianie mieli tyle pieniędzy, ile miłości dla kościołka, wyglądałby on zupełnie jak kościół Opatrzności w Zagrzebiu. A tak, wobec ubóstwa swéj trzódki wiernéj, stał bez żadnéj ozdoby i bez żadnego upiększenia. Jednakże posiadał jeszcze z dawnych, bardzo dawnych czasów jeden wielce piękny niewielki obraz w srebrnych ramach, wykładanych drogiemi kamieniami czerwonemi i zielonemi. Wiele razy przychodzili już różni ludzie z dalekich obcych ziem i chcieli kupić ten obraz za wielkie pieniądze, ale ksiądz i parafianie nie chcieli żadną miarą go sprzedać.

W tym czasie wybuchła właśnie rewolucya. Pan naczelnik, sędzia, zarówno jak i ksiądz-proboszcz, był patryotą duszą i ciałem. Gdy po czwartym lipca doszła wiadomość o odezwie bana, wniosku Bużana i o darze uczynionym przez Szrota, wtedy i sędzia Lackowicz, i ksiądz Baldaszewicz nie namyślali się ani chwili, co im czynić wypada. Poczęli natychmiast zbiérać ofiary pieniężne, ściągać srebro, złoto, byleby starczyło środków dla bana na prowadzenie walki, a jednocześnie poczęli tworzyć pułk gwardyi narodowéj, która miała iść z banem za Drawę. Zaraz przystąpiwszy do roboty, obaj wpadli na myśl,

aby sprzedać stary obraz drogocenny, ponieważ wzięliby zań więcéj pieniędzy, niżby zdołali zebrać z ofiar całego okręgu, a następnie, aby wiejskiego nauczyciela Dragosławicza, co mieszkał w ich wsi, uczynić adjutantem lub przynajmniéj sierżantem gwardyi, ponieważ niegdyś służył on wojskowo i jako kawalerzysta, umiał jeździć konno i znał mniéj więcéj wymagane musztry. Więc pod koniec lipca, w dzień ś-go Jakóba, zadzwoniły dzwony kościołka na wzgórzu około godziny 3-éj po południu. Nie zwykły to był czas dla dzwonienia; nie miały być ani nieszpory, ani żadne inne nabożeństwo kościelne, a na „Anioł Pański“ było jeszcze zawcześnie, chociażby nawet zakrystyan nie był człowiekiem, trzymającym się godzin niewolniczo. Najpierw, wpadano na myśl, czy czasem szarańcza nie nadciągnęła, jak to było przed kilku laty, ponieważ o zbliżającéj się burzy wobec pogodnego nieba mowy być nie mogło. Potém przychodziły mieszkańcom i inne różne myśli do głowy, zwyczajnie jak w czasach, gdy niezwykłe przygotowują się rzeczy; wówczas jakby coś było w powietrzu, co każdego różnemi napełnia przeczuciami i niepokoi. Skutkiem tego i teraz na odgłos dzwonów wszystko, co żyło, natychmiast pośpieszyło na wzgórze do kościoła i wkrótce całe masy narodu plac napełniły.

Pod lipą, stojącą przed kościołem, znajdował się już ksiądz i sędzia. Pierwszy był człowiekiem okrągłym, niskim, z dużą głową, z pałającemi małemi oczyma, które żywo i wesoło w różne biegały strony. Długi, brunatnego koloru surdut, z czerwonemi plecionemi pętlicami, szeroko był rozpięty na silnych, kształtnych piersiach. Z powodu téj sukni miał on już kilka razy nieprzyjemności ze strony zwierzchności duchownéj, a nawet i ze strony samego biskupa, który sądził, że ksiądz nie powinien się tak odziewać, lecz Baldaszewicz był człowiekiem upartym i wciąż daléj nosił ów niefortunny surdut.

Sędzia Lackowicz, największy przyjaciel księdza, był jak i on okrągły i niski. Tłusty, rumiany jego podbródek zarastała ruda, długa broda, która około ust przechodziła w barwę czerwoną; rzęsiste długie wąsy także czerwonawego koloru. Na głowie miał tym razem czapkę ilirską z gwiazdą i półksiężycem; brunatny kaftan był obszyty suto szerokiemi zupełnie czerwonemi sznurkami ze srebrnemi guzikami; kamizelki może skutkiem wielkiego upału nie miał na sobie, i dlatego widać było białą koszulę od szyi do brzucha i rzemienny pasek, który podtrzymywał wąskie, spodnie granatowe, także obszyte czerwonemi sznurkami. Zamiast butów miał na nogach kamasze; koszula była rozpięta jéj kołnierz wyszywany złotem wisiał niedbale pod brodą, zaś na piersi wyglądały z pod koszuli czarne kosmyki gęsto porosłych włosów.

Nieco daléj stał nauczyciel Dragosławicz, silny i dziś jeszcze

olbrzymi człowiek, który już od lat dziesięciu rzucił swoję służbę wojskową i poświęcił się nauczycielstwu. O całą głowę przewyższał wszystkich zgromadzonych; głos miał silny i gruby, wydobywający się z mocnych piersi i szerokiego gardła; głowę posiadał cokolwiek zamałą względnie do pozostałych części ciała, ale tak szeroką, że zawsze musiał kapelusznikowi płacić za kapelusz cokolwiek drożéj, niż inni ludzie. Ksiądz i cała okolica okazywała mu wiele sympatyi, zwłaszcza, że umiał on niezmordowanie i starannie śpiéwać wszystkie pieśni kościelne, a prócz tego nauczył się, jako kawalerzysta, doskonale służyć u stołu; a właśnie Baldaszewicz między tamtejszymi obywatelami był gościnniejszy; potrzebował więc często człowieka, któryby umiał zabawić gości. Dragosławicz doskonale wywiązywał się ze swego zadania i temu właśnie przymiotowi zawdzięczał swoją posadę nauczyciela, chociaż w sztuce czytania i pisania był cokolwiek zasłaby, a nawet i gry na organach musiał się jeszcze uczyć.

Obecnie stał on tuż obok naczynia, położonego na ławce i pełnego miodu i kołaczy; prócz tego było tam jeszcze i kilka antałków z brzuchami mokremi od wina, które się przez wierzch przelało w piwnicy podczas napełniania. Dragosławicz spoglądał naprzemian to na zebrane tłumy, to znów na antałki i naczynie z miodem i wzrokiem poniekąd wypowiadał, ile w tych ostatnich widzi rozkoszy. Na zgromadzonych spoglądał dlatego, że się spodziewał, iż ktokolwiek z nich naleje mu pełny kielich; o czém zaś rozmawiano, nie rozumiał wcale. Czasem ktoś z przybyłych zapytywał go, co owo zebranie ma znaczyć, lecz on mu na to nic nie odpowiadał, i tylko wzruszał szerokiemi ramionami, poczém podsunąwszy się jeszcze bliżéj do antałków i naczynia, opędzał muchy i osy. Był on pomimo wszystko wielce wesoły w danéj chwili, ponieważ wiedział, że wino to nalane było z beczki, co nosiła na sobie kredą zrobiony napis: „*Anno 11*“; jednocześnie i gniewał się w duchu, że zebrani wciąż rozmawiają z sobą, a o naczyniu z miodem i winem wcale nie myślą. Istotnie Baldaszewicz począł obszernie opowiadać Lackowiczowi o podróży bana po Sławonii, o wielkich uroczystościach, o łotrowstwach Hrabowskiego, o zamierzonym wyjeździe bana do Wiednia dla widzenia się z ministrem węgierskim i t. p.

Lackowicz począł się zapalać coraz bardziéj i rozmowę z Baldaszewiczem zaczął po łacinie. W gniewie przerwał ją i zwrócił się do ludu, któremu szczegółowo objaśniał, co się dzieje w Węgrzech i jak dalece zagrożona jest jego narodowość. Spostrzegł po chwili, że przytomni wcale jego łaciny nie rozumieją; to go nieco zmieszało i zarazem rozgniewało jeszcze bardziéj; począł więc, nie zważając na nic, łżyć

swoich słuchaczy. Wówczas przybył na pomoc Baldaszewicz: zaczął mówić oczywiście takim tonem, jakim zwykle miewał kazania, atoli stopniowo i on się zapalał i w entuzyazmie potrącał o znaczenie narodowości, o jedność słowian i t. d. Wieśniacy razem z Dragosławiczem zgoła nic nie rozumieli; wszakże pod koniec wyjaśnił im mówca, o co mianowicie chodzi:

— Obraz wcale do kościoła nie stosowny, jak i sami to widzicie; Bóg wie, jakim sposobem w nim się znalazł. Nie mówiłem wam wprawdzie nigdy dotychczas o tém—nie było okazyi—ale obraz, zdaje mi się, nie jest nawet święty. Mieszczanie nie wiedzą o tém i dlatego chcą go kupić. Dla ojczyzny trzeba pieniędzy, trzeba wojska i nasz miłościwy król (ach, on naszą trzyma stronę, ale wobec Węgrów nie może tego okazać); króla trzeba ratować, dlatego obraz musimy sprzedać; w tym celu właśnie zgromadziłem tu was, abym to wam, moi drodzy parafianie i przyjaciele, objawił. Biskup wcale téj sprzedaży nie będzie przeciwny, a ksiądz-dziekan nawet pisał do mnie, aby obraz był sprzedany.

Tu Baldaszewicz sięgnął ręką do kieszeni, jakby chciał stamtąd wyciągnąć list i pokazać go zgromadzonym; ale zamiast listu wyjął chustkę i otarł pot na tłustém czerwoném obliczu, poczém ciągnął daléj:

— Więc obraz sprzedam, pieniądze pan sędzia pośle jego ekscelencyi banowi, a wy—nie obawiajcie się niczego. Nasz dobry miłościwy król nie zapomni waszéj ku niemu miłości; będzie on wam wdzięczen i wy, i wasze dzieci będą błogosławiły chwilę, w któréj obraz sprzedano. Zamiast obrazu będziemy mieli nowy kościół; już nasza Najświętsza Matka siedmiu boleści nie będzie dłużéj miała starego przybytku; będzie kościół wspaniały, jak w Bystrzycy.

Wieśniacy milczeli. Nie mieli czasu namyśléć się nad odpowiedzią. Lackowicz rzucał na wszystkie strony srogie wejrzenia. Jeden wprawdzie wybitniejszy wieśniak począł protestować, ale sędzia natychmiast przerwał mu mowę zakazem sprzeciwiania się sprzedaży w celu pomocy dla króla. Zaś Baldaszewicz zaczął mówić już o czém inném, mianowicie wykładał zebranym znaczenie gwardyi narodowéj, atoli w środku rozmowy zatrzymał się na chwilę: poczuł pragnienie, więc dał znak Dragosławiczowi, który natychmiast przyniósł mu pełny dzbanek wina.

— A ten—rzecze ksiądz, biorąc dzbanek i wskazując Dragosławicza—będzie naszym adjutantem.

Tu spojrzał nań łaskawie i poklepał go po ramieniu.

— O, wasza miłość, raczysz żartować — odpowie Dragosławicz.

Szerokie usta jeszcze bardziéj się rozszerzyły do uśmiechu głupowatego i olbrzym zakołysał się cały, przestąpiwszy kilka razy z nogi na nogę i potarłszy rękoma o biodra. Ksiądz tymczasem, wypróżnionym dzbankiem wywijając w powietrzu, rozpoczął znowu rozmowę apostrofą do nauczyciela:

— Tak, kochany Stefanie, oto pan naczelnik zaraz powziął zamiar, aby ciebie mieć u swego boku w pułku, który pójdzie bronić ojczyzny i króla. Dla ciebie to wielki zaszczyt i szczęście. My wszyscy winniśmy za ojczyznę życie nieść w ofierze; wszak nawet i ja, starzec i ksiądz, i ja idę do pułku; a ty nie miałbyś pójść? Tu o to, mój drogi, nie pytają zresztą; mamy rozkaz bana, a ty jesteś szlachcic, więc musisz pod broń.

— Ach, biada mi! *admodum reverende domine.* Wszak mówią, że szlachta już wolna... pocóż znowu?... Nie, nie, ja mam dzieci, co one bezemnie poczną?

— O, mój drogi, o dzieci się nie bój; ty idziesz bronić króla, więc on ich nie zapomni i nie opuści. Przecież ty nie sam tylko idziesz; idziemy my wszyscy pod sztandar królestwa i bana. Oto i nasi bracia, wszyscy, wszyscy idziemy, aby obronić się przed luteranami i nieprzyjaciołmi, którzy nie uznają ziemi chorwackiéj, tłumią mowę naszą. O, my im pokażemy!

Tu ksiądz musiał na chwilę się zatrzymać, aby otrzéć pot z czoła i rąk, zakasawszy w tym celu rękawy niemal do łokcia.

— Chociażby wojsko całego świata na nas się zwaliło — zawołał znowu z zapałem,—damy mu radę.

— Ach, panie! Wasza miłości! Ja zupełnie nie jestem do takich rzeczy stworzony; wyrwał się rozpaczliwy krzyk z piersi biédnego Dragosławicza.

Myśl, że pójdzie do wojska, na bój, w ogień, zupełnie go obezwładniała. Nie śmiał głębiéj zanurzyć się w tych myślach: przy zaniepokojonym i głupowatym wyrazie twarzy, usta mu się otworzyły, a szerokie, rozczerwienione oczy, zdradzały silny strach i niepokój. Pełne surowości spojrzenie księdza jeszcze go bardziéj mieszało. Od pewnego czasu nawykł był słuchać ślepo, a teraz? nie, nie... nie może być mu posłusznym; ale jak mu to powiedziéć stanowczo, jak się oprzéć i uwolnić od tego? Było mu, biédakowi, bardzo ciężko; nakoniec, skupiwszy cały zasób swojéj energii, odrzekł wręcz, że żadną miarą nie pójdzie do wojska. „Jak ja pójdę? ja mam żonę, dzieci; a i po co szedłbym, nie jestem już w tych latach.“

Ksiądz wybuchł gniewem.

Przez chwilę stał, jakby zupełnie utracił energię i nadzieję. Nie

napróżno wszakże słuchał on sławnego Gaja; gorący zapał ilirski i jego ogarnął; po krótkim czasie opanował swój gniew i niemoc, i znowu począł donośnym głosem mówić. Wszakże Dragosławicz pozostał pomimo wszystko niewzruszonym. Sędzia Lackowicz miał wielką ochotę dobrze mu skórę wygarbować; kipiał cały ze złości i co chwila musiał to silne wzruszenie gasić czarą wina. Wstydził się sam za Dragosławicza, jako szlachcica.

— Jaki biédak, *per amorem Christi*, a przecież szlachcic! — pomyślał w duchu, i w téj chwili przyznał sam sobie, że szlachectwo nie zawsze jest niewątpliwym znakiem odwagi. Przypomniał sobie właśnie dykteryjkę o swoim ojcu, o którym mówiono, że podczas wojen napoleońskich, gdy go, jako majora w powstaniu, dwa czy nawet trzy razy zaskoczono, schronił się raz pod most, a drugi raz dokądś indziéj, aby nie wpaść w sieci. Pod wpływem tego wspomnienia serce mu nieco zmiękło, więc, przystąpiwszy bliżéj do Dragosławicza i poklepawszy go po ramieniu z dobrotliwym uśmiechem, rzecze:

— Uspokój się, drogi Stefanie, *in fine finali!* Nie taki dyabeł czarny, jakim go malują; doprawdy. Był i mój ojciec i twój w bitwach podczas rewolucyi przeciw Francuzom i Napoleonowi, a jednakże obaj wrócili szczęśliwie. Cóż masz teraz drżéć przed Węgrami; oto ja będę majorem w naszym pułku; zobaczymy, może — tu sędzia szepnął do ucha nauczycielowi — może ani razu w ogniu nie będziemy.

— Prawda to, prawda, panie naczelniku, ale... kto wié? Dyabeł dyabłem zawsze. A zresztą, wasza miłości, *admodum reverende domine*, jakże kościół nasz pozostanie bez organisty?

Odpowiedź zależała od księdza, ale ten nie rzekł mu na to ani słowa, ponieważ skupiło się koło niego kilku młodych obywateli, którzy niedawno przybyli; było tam kilku kapelanów i okolicznych szlachciców wiejskich, a także kilku późno przybyłych rzemieślników, którzy, pomimo upału letniego, wszyscy bez wyjątku mieli na sobie długie modre płaszcze z pelerynami, przez co chcieli się wyróżnić od chłopów.

Przybyli głośno i z wielkim zapałem prowadzili rozmowę. Opowiadali, jak przechodząc obok lasku, należącego do Braniewicza, spotkali całe tłumy ludzi zebranych na drodze i palących ilirskie gazety i książki. „A myśmy — rzecze jeden młody, otyły kapelan, chcieli udać, że tego nie spostrzagamy, ponieważ coprędzéj chcieliśmy do was przybyć. Tymczasem Braniewicz począł nas łajać, nazywając psami ilirskiemi, grozić, że spali nas i bana, tak, jak owe książki i obiecywał nam kije od Węgrów. Myśmy w gniewie oczywiście poczęli im odpowiadać, oni zaś nie pozostali dłużni: chwycili kamienie i na nas.

Naturalnie my nie mogliśmy brać w bójce udziału; zaklinałem towarzyszów, aby dali pokój i chociaż szliśmy dalej, tamci wciąż na nas rzucali kamienie.

— Oto, jacy są! Słyszycie? palą nasze książki ci bisurmani, nazywają nas psami; nie ma innéj rady, tylko walczyć. Język to dar od Boga, Bóg nasz gromowładny dał go nam, niech więc nikt nie śmie nam owego skarbu odbierać.

Wszyscy, którzy stali około mówiącego, poczęli naraz śpiewać: „Oj, Ilirowie, jeszcze żyjecie!“

W zapale wywijali czapkami, obejmowali się i całowali. Gdy im ksiądz powiedział, że stary kościołek złoży jedyny skarb swój, obraz drogocenny, na ołtarzu ojczyzny, ów sam młody otyły kapelan, który przed chwilą mówił, wyjął z kieszeni wszystkie swe pieniądze, zdjął nawet złoty medalik, co mu go niegdyś dała matka, gdy wstępował do seminaryum. Za jego przykładem poszli i inni. Każdy położył, co tylko miał przy sobie. Na licach tych ludzi pałał ogień zapału, z ust wydobywały się rzewne wzruszające słowa.

Dragosławicz tymczasem odzyskał humor, widząc, że jest wolny od dalszego namawiania; poszedł znowu na miejsce, gdzie stały naczynia z winem i począł się koło nich krzątać, na co nikt nie zwracał uwagi, gdyż wszyscy byli skupieni około kapelana i składali przed nim swoje datki; najwięcéj dał ksiądz, który w końcu wspomniawszy o obrazie w kościele, chciał natychmiast go przynieść:

— Niech w téj pamiętnéj chwili będzie z nami i obok nas nasza święta Matka Boska!

Zwrócił się w kierunku drzwi kościelnych, za nim podążyli i drudzy, oprócz wieśniaków, którzy pozostali na miejscu i w milczeniu patrzyli na to wszystko. Nie mogli żadną miarą pojąć „tych panów“, a oprócz tego byli w strachu, nie wiedząc co pocznie Matka Boska wobec tego.

W niskim i ponurym kościołku promienie światła słonecznego przebijały się przez malowane szkła wąskich okien i długą wstęgą padały na ściany i podłogę. W tych oświetlonych pasmach migotały miryady atomów pyłu i w wiecznym ruchu kręciły się wkoło, jak ciała niebieskie we wszechświecie. Kroki ludzkie w téj pustéj przestrzeni głuchym się rozległy odgłosem. Ksiądz podszedł wprost do obrazu, który wisiał przy bocznéj ścianie. Światło słoneczne oświecało go właśnie w téj chwili, skutkiem czego, piękne malowanie żywszego nabrało blasku. Wyrobiony z drzewa święty, co obok obrazu był umieszczony, także cały pałał w promieniach słońca i jedynym całym jeszcze palcem ręki, niby groził przytomnym; właśnie zaigrał na nim we-

soły promień słoneczny. Baldaszewicz zadrżał, ale natychmiast zaśmiał się w duchu sam z siebie i śmiało zdjął obraz ze ściany, jednakże szepnął: „W imię Ojca i Syna, i Ducha, Świętego, Amen“. Wszyscy z pewnym przestrachem skupili się koło niego, aby zobaczyć obraz, wszakże ksiądz ukrywszy go pod pachą, skinął, aby wyszli z kościoła; na dworze milcząc, położył na kupie leżących datków. Był cokolwiek zmieszany, a przestraszone twarze weśniaków bardziéj go jeszcze drażniły. W porę mu właśnie nadarzył się Dragosławicz, którego znowu począł namawiać i zaklinać na wszystko, ten wszakże był niewzruszony i stał jak automat, oglądając się tylko na wsze strony. W téj chwili przyszła pani sędzina, a z nią córka Dragosławicza, Magda.

Sędzina, kobiéta przystojna lat około trzydziestu pięciu, cokolwiek otyła, mimo to wszakże przyjemnego i czerstwego oblicza, podążała powoli w kierunku lipy, zdaleka już witając mile zgromadzonych. Miała na sobie suknię z delikatnéj materyi błękitnéj, obszytą srebrem. Całe towarzystwo, prócz wieśniaków, pośpieszyło naprzeciw niéj, skutkiem czego Magda pozostała nieco w tyle, idąc za sędziną.

Dziewczyna mogła miéć około siedmnastu lat i wzrostu była niskiego; wogóle to dziécię olbrzymiego Drogosławicza było niezmiernie delikatne i wdzięczną miało postać, z każdego jéj ruchu, całéj postawy tryskał wdzięk niezmierny. Obok tego była dość okrągła, twarz miała ściągłą, rumianą i zdrową, oczy patrzyły trochę czule, jakby w zamyśleniu. Miała to spojrzenie przeciągłe, tęskne, które rade gubi się gdzieś w oddali. Pani Lackowiczowa była jéj chrzestną matką i z tego powodu dziewczyna większą część czasu spędzała w jéj domu w Andraszewcu, który znajdował się od kościołka o jakie dziesięć minut drogi. Tam ona przychodziła przy każdéj zręczności, aby się nieco okrzesać, gdy w domu rodziców, ludzi prostych, nie miała po temu sposobności. Tak powoli nawykła do form towarzystw wykształconych i przejęła wszystkie ich myśli. Lackowicza nietylko nawiedzała inteligencya okoliczna: zaprzyjaźniał się on z najwybitniejszemi osobistościami: i Vraz, i Bogowicz, i Niemczicz, i Kukuljewicz [1]) odwiedzali Andraszewac. Nawet sam Gaj chętnie bywał u szlachcica-patryoty, sędziego, ażeby pięknéj gospodyni (któréj na chrzcie dano imię Weroniki) swoim świetnym stylem opisywać sławę Iliryi w przeszłości i teraźniejszości. Magda słuchała tego wszystkiego z przejęciem. Liryczny duch Stanka Vraza pieścił ją, melancholia Niemczicza czarowała, zapał Gaja przepłomieniał nawskroś, a płomienna dusza eleganckiego

---

[1]) Wybitniejsi patryoci i literaci chorwaccy z czasów odrodzenia.
(Przyp. tłom.)

i miłego wielce Bogowicza zachwycała ją zwłaszcza, gdy z poetycznym zapałem i przejęciem się silném, deklamował ten patryota klasyków dubrownickich lub ogniste poezye swoje i swoich przyjaciół. Tak więc nauczyła się dziewczyna gorąco kochać swój naród, swą ziemię i język.

— Co ci jest, Dragosławiczu? — zapytała sędzina nauczyciela, widząc jego zakłopotane i przestraszone oblicze.

Magda również w niepokoju podeszła do ojca i powtórzyła zapytanie sędziny. W czarownych jéj ciemnych oczach można było w téj chwili wyczytać całą jéj miłość ku ojcu, którą chowała w swém sercu. Jego niedźwiedzia niezgrabność wywoływała zawsze w niéj pewną dozę litości. Rozumiała ona dobrze swą umysłową wyższość nad ojcem, i dla tego właśnie starała się go otoczyć jaknajwiększą czcią i pieczołowitością.

— Całuję rączki—począł—dziękuję najuniżeniéj waszéj miłości, nie jest nic... hm... panowie sądzą... tak niby... hm...,—jąkał się biédak, patrząc w ziemię.

Córka nie mogła tego nie zauważyć.

Tu podszedł ksiądz i rzecz całą przed sędziną wyłożył. Potém znów zwrócił się z mową do przytomnych i znów począł Dragosławiczowi przypominać jego obowiązki względem ojczyzny.

Ten wszakże i teraz pozostawał milcząco upartym, jak i pierwéj; nakoniec wydobył mu się z gardła głos: „Nie, nie chcę!“. Ze środka gromadzonych, tam obok kapelana stojących, dało się słyszéć z gniéwem wymówione słowo: „Zdrajca!“

Magda pobladła. Widząc to Dragosławicz, począł wyrzucać sobie swoje stanowcze orzeczenie i ukrywszy twarz w obie dłonie, wyszeptał niezrozumiale: „Dziecię moje!“ W końcu jednakże, złożywszy ręce jakby do modlitwy, niemal na kolanach począł płaczliwym głosem zaklinać sędziego i księdza, aby mu dali pokój.

Magdzie błysnęły łzy w oczach. Konwulsyjnym ruchem odrzuciwszy z czoła bujne kędzierzawe włosy, koloru płowego, zawstydzona, z bólem patrzała na ojca. Twarz jéj wyrażała niewypowiedzianą mękę.

— Nie, ojcze, tak nie można; cały świat rzekłby, żeś zdrajca, a „zdrajca każdy był przeklęty“. Nie, nie, ty nie jesteś takim; prawda? ojcze drogi. Tak, tak, ty pójdziesz z nimi, pójdziesz do boju bronić ojczyzny, króla i narodu. Nie inaczéj, ojcze, nie inaczéj!

I to mówiąc, obiema rączkami pulchnemi objęła go za szyję i patrzała na niego pałającemi oczyma, które, zdawało się, same wymawiają gorące słowa prośby. Szeptała mu coś cichym miękkim głosem i zawiesiwszy się mu na szyi, usiłowała głowę jego nagiąć do siebie,

aby ją pieścić i całować. Dragosławicz pomimo całéj swéj biédy, czuł się na chwilę szczęśliwym i uśmiechał się do córki.

— Dziękuję, dziekuję ci, ojcze! Panowie, mój ojciec idzie do wojska — zwróciła się dziewczyna do obecnych.

Twarz jéj promieniała radością i wzruszeniem. Silne uczucie miłości ojczyzny poruszyło ją i ogarnęło całą. Naraz jakby mimowoli zanuciła piosnkę: „Chętnie Ilir na bój śpieszy“! I ksiądz i Lackowicz, i kapelan, i nawet sędzina, wszyscy poczęli wtórować; a liście staréj lipy w cichém, letniém powietrzu zadrżały, poruszyły się od siły ich głosów. Nawet stary kościołek, jakby zadrżał, szkło jego okien zadźwięczało. Wszystkich ogarnął wielki zapał. Chłopi radośnie wywijali kapeluszami, patrząc na kraśną dziewczynę, a pani Lackowiczowa w wielkiém wzruszeniu z płaczem objęła Magdę i nazwawszy ją wilą słowiańską. Dragosławicz także przejął się ogólnym zapałem i z niezgrąbnym uśmiechem począł wołać: „Niech żyje, wiwat!“ i zaklinać się, że pójdzie służyć w tylnéj straży.

Magda, wyślizgnąwszy się z ramion sędziny, skoczyła do ojca i znów go poczęła całować w twarz i ręce. W téj chwili była szczęśliwą i dumną.

Ksiądz zaczął znowu przemawiać gorąco, a Dragosławicz na skinienie Lackowicza, skoczył gdzie stały stągwie z winem i za chwilę na trawniku pod lipą był zasłany obrus, a na nim poustawiane czary, pełne wina zwyczajnego i talerze z przekąską. Między wieśniakami również z rąk do rąk przechodziły kielichy. Uczta się rozpoczęła i słońce zachodzące ostatniemi promieniami swemi oblało na chwilę tę iście homerowską biesiadę. Ksiądz i sędzia chwalili Dragosławicza, a jeden z wieśniaków, gdy już sciemniać się poczęło, przysunął się bliżéj do panów i mnąc kapelusz w ręku, winszował „panu Stefanowi“ połączenia sę z panią gwardyą. Wszyscy głośnym wybuchli śmiechem, aż biédny wieśniak przestraszył się słów własnych.

Tak więc nauczyciel Dragosławicz został gwardzistą. Stary kościołek w jednym darze na ołtarzu ojczyzny złożył i cenny swój obraz i wiernego nauczyciela.

* * *

Na początku września wyruszył utworzony oddział, a w nim i Dragosławicz, jako chorąży. Wieści o nim nie dochodziły długo; nareszcie otrzymano list od Lackowicza, majora gwardyi, z wiadomością, że Dragosławicza przeniesiono do innego oddziału, gdzie nie było właśnie chorążego. Nieco później rozpowiadała pani Lackowiczowa, że

oddział jéj męża, majora, rozlokował się w Koprzywnicy, czy téż w Legradzie, zaś oddział, w którym był Dragosławicz, przeszedł przez Drawę. Od tego czasu długo nie było żadnéj wiadomości. Pewnego razu, późnéj już jesieni, przyszedł wieśniak, który powrócił z wojny, i był z Dragosławiczem w jednym oddziale. W jakiéjś bitwie utracił palec i dla tego puszczono go do domu. Zaszedł on do rodziny nauczyciela już pod wieczór, gdyż przez dzień cały miał wiele do opowiadania w swojém kółku domowém. W pobliżu budynku szkolnego, pochylonego i zaniedbanego, chwilę się zatrzymał i zawahał. W téj właśnie chwili Dragosławiczowa, drobna, sucha kobiecina, odziana w kolorową spódnicę, coś na ganku miesiła, sér czy téż ciasto; był już zmrok i przeto nie mogła rozpoznać, kto to przychodzi: zdala więc zawołała, aby się przybliżył.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; dobry wieczór! — począł, przystępując wieśniak.

— A, to ty, Juriczu, tak? A gdzie jest mój pan? Może on jedzie w powozie? oczywiście, przecież on pan. Magdo, Magdo! chodźno prędko; przyszedł sąsiad Juricz z wojska. Chodźcie kumie, tu, do kuchni, poco mamy stać na dworze.

— Co, co? — ozwał się głos Magdy, i w téj chwili sama wybiegła.

— No, a cóż z ojcem się dzieje? Zwyciężyliście nieprzyjaciela? Czy ojciec jaki list przysyła? kiedy przybędzie? — obrzuciły pytaniami obie kobiéty jednocześnie biédnego chłopka, który coraz bardziéj się wydawał zakłopotanym i zmieszanym. Coś go dławiło w gardle. W końcu zakaszlawszy, plunął daleko od siebie w kąt i poszedł tam, aby ślinę rozetrzéć nogą.

— Hm, straszno było—począł wreszcie—najpierw byliśmy w Legradzie, stamtąd napowrót do Varażdina, a potém na drugą stronę Drawy; o, to wielka, wspaniała rzeka, szumi a pędzi jak sto dyabłów.

Tu zatrzymał się na chwilę i znów splunął.

— Więc... mówcie daléj—rzekła matka i córka jednocześnie.

— Zaraz, zaraz. My więc przez Drawę. Prowadził nas jakiś niemiecki generał. Z początku nigdzie ani śladu Madjarów; aż tu naraz! Przy jednéj ogromnéj wsi... u nas i miasta nawet nie bywają takie; a ludzie dziwnie wyglądają: choć mężczyzni, wszakże noszą suknie kobiéce; ale piękne świnie mają.

— No, cóż daléj?

— Zaraz, zaraz. Tu więc natknęliśmy się na całe wojsko, i strzelby i działa rozpoczęły muzykę swoją.

— Och, Boże wielki! A Drogosławicz był z wami?

— A jakże, i ja byłem; on niósł sztandar. No, ale w bitwie nie tak bardzo straszno. Strzela się, to prawda, kule lecą, ale myśmy nie padali, to zupełnie tak samo, jakby ktoś przez cały dzień do wierzby strzelał, a wieczorem zobaczył, że tylko zrzadka jakaś gałązka przestrzelona.

— Zmiłuj się, mów, opowiadaj! mów, jak się ma i gdzie jest ojciec? — niecierpliwie zawołała Magda.

— Więc, otóż, pan Stefan... aha, Węgrzy nas nacisnęli, my poczęliśmy zmykać. Mieli oni lepszą broń; około sztandaru tłoczono się najbardziéj; wówczas, mówią, że pan Stefan potknął się, ja nie wiem, ja sam zmykałem, o, mój Boże, prędzéj niż zając.

— Boże! Więc ojciec padł?— Magdzie pociemniało w oczach.

— Nie; to tylko tak się mówi, że padł. Ja nie wiem, ponieważ wszyscyśmy się rozbiegli. Dopiéro po upływie jakich czterech godzin znaleźliśmy się znowu razem; ale pana Stefana, jak nie ma tak nie ma; a on wszak nosił sztandar cesarski. Przed wieczorem znowu była potyczka, i tym razem myśmy wieś zajęli, a Węgrzy uciekli. Gdyśmy weszli do wsi, zobaczyliśmy szubienicę, a na niéj pana nauczyciela.

— Na Boga żywego, biadaż nam, biada! — krzyknęły matka i córka, zanosząc się od płaczu.

— Co ja teraz nieszczęsna pocznę i moje dziecko? co my teraz będziemy robiły siéroty? On nas żywił... A właśnie teraz muszę płacić procent od długu Żnuricza. O, biada mi biada! — poczęła narzekać staruszka i jak ślepa kręcić się po kuchni. Po chwili rzuciła się na ławkę w kącie i zgiąwszy się we dwoje, ciągnęła daléj te rytmiczne lamenty, które zawsze u ludu prostego towarzyszą śmierci bliskiéj osoby.

Magda zaś w pierwszéj chwili stała nieruchoma, jakby zdrętwiała i oniemiała. Oparłszy się plecami o ścianę i opuściwszy ręce, patrzała nieruchomie szeroko otworzonemi oczyma w ciemny kąt przy kominie, poczém poczęła płakać bezwiednie, nie czując spadających łez po twarzy.

— Oh, sam dyabeł powiódł go do tego wojska, — poczęła znowu staruszka po półgodzinném jęczeniu — co moje dziecko, co ja teraz pocznę?

Wieśniak stał ciągle w kuchni i raz wraz niezgrabnie skrobał się po karku:

— Mówili panowie, że rząd wam pomoże, ponieważ rząd musi mu być wdzięczny; i czyż nie powinien pomódz? człowiek położył głowę za cesarza. Sam pan generał kazał wspaniale pochować nieboszczyka; na pierś mu order położył.

— A może dał nieco pieniędzy dla nas? — zapytała kobiéta, żywo przystępując do wieśniaka.

— Nie wiem; zdaje się, że nie; cóż mu do tego; to już rzecz cesarstwa. A dobrze byłoby, gdybyście prośbę podali rychło.

— To rzecz łatwa. Prośbę może i Magda napisać. Mówią, że teraz nie trzeba już pisać po łacinie. Słuchaj, Magdo, napiszesz prośbę. Mówiąc prawdę, wieleś sama winna: tyś go namówiła.

Dziewczyna drętwiała z bólu i traciła przytomność skutkiem wielkiéj żałości, ale te ostatnie słowa matki były dla niéj tak straszne, że biedaczka jęknęła, odskoczyła na bok jak raniona i powtarzając fatalne słowa: „tyś winna“, zakryła oblicze rękoma.

* * *

Położenie, w jakiém się znalazła rodzina Dragosławicza, było straszne, a z każdym dniem stawało się groźniejszém. Pierwsze lata przeszły jeszcze jako tako. Następcy po nauczycielu nie można było prędko znaleść, przeto biédne kobiéty zatrzymały na pewien czas mieszkanie w szkole; przytém pomagał im ksiądz i państwo Lackowiczowie. Wszakże ksiądz wkrótce umarł, gdy władza niemiecka wytoczyła mu sprawę o obraz z kościoła i rozpoczęła śledztwo; Lackowiczowie zaś wynieśli się niebawem z tych stron, gdyż on stracił miejsce, a dzieci podrosły i należało już je kształcić, przeto osiadł w Warażdinie, gdzie jego żona posiadała niewielki domek. Chcieli oni wprawdzie zabrać Magdę z sobą, ale to było niemożliwe. Z pośród rodzeństwa ona jedna była w takim wieku, że mogła obok matki pracować. Boże miły! musiała bardzo pracować. W końcu trzeba było wynieść się ze szkoły. Narazie wzięto mieszkanie nieco daléj we wsi. Tu Magda musiała ciągle kopać i okopywać winograd, należący do bogatego właściciela, a prócz tego szyć po całych nocach. Nie narzekała jednakże nigdy na ciągłą pracę. w któréj, jak się zdawało, lżéj przenosiła swój smutek po utracie ojca. „Jestem winna“ brzmiało jéj ciągle w duszy i żadne rozumowania, ani patryotyczne uczucia nie mogły tego głosu przytłumić.

— Jaki on był zawsze dobry dla mnie i dla każdego, jaki pobożny; a tu, och, to straszliwe, jak jaki złoczyńca skończył na szubienicy.

I dziewczyna drżała ze zgrozy i strachu. W takich zwykle chwilach tonęła myślą w ubiegłych dniach szczęśliwych, które przeżyła z rodzicami i serce jéj rozpływało się w wielkiéj tęsknocie po ojcu biédnym. W takich chwilach stary kościołek na wzgórzu był dla niéj jedyną pociechą, przyjacielem i siłą. To też ukochała go całą duszą biednéj siéroty. Chata jéj właśnie przytykała do pagórka, na którym

stał kościół, miała go więc zawsze przez cały dzień przed oczyma i co chwila spoglądała nań i na jego wieżę czarną, a obraz ten wyrył się jéj w duszy niestartemi rysami. Prócz tego, gdy tylko mogła, biegła zaraz do kościołka, ukryć się w jego tajemniczym półmroku, w ścianach tchnących starością i okrytych kurzem. Tu się dotykała wszystkiego, a każda rzecz wywoływała w jéj duszy wspomnienia tych dni, gdy nieraz tutaj z ojcem przychodziła. Ile razy uderzyła w klawisze organów, rozległ się dźwięczny głos ich w pustym kościołku, tyle razy zdawało się jéj, że słucha grającego ojca, a siebie widzi siedzącą, jako małe dziecko tuż przy nim.

Wieśniacy dziwili się temu nie mało. Bóg wié, jakie robili przypuszczenia skutkiem zbyt częstego nawiedzania kościołka i nawet posądzali ją o czarodziejstwo; ona wszakże nie zwracała wcale na to uwagi, pomimo tego, że nawet i matka nieraz ją łajała, chcąc, by córka każdą wolną od zajęć chwilę zużytkowała na pisanie prośby do króla, bana, biskupa i generała. Ach, ile już ich była napisała w ciągu czterech lat od owego fatalnego wieczoru! Pisała na wszystkie strony, do wszystkich wielkich figur, wszędzie. Ale znikąd nic i nic. Przeciwnie: ci nowi panowie niemieccy z „wygolonemi podbródkami" wezwali raz matkę do urzędu i zagrozili jéj brutalnie karą, jeśli raz już nie przestanie całego świata napastować. Mimo to, matka i córka nie traciły i nadal nadziei: „To niemożliwa, aby to tak bez nagrody pozostało. Wszak i ksiądz nieboszczyk tak mówił i inni zapewniali; nie, nagroda musi być, tylko owi urzędnicy mali szkodzą człowiekowi", mówiły obie, i ciągle oczekiwały chwili, gdy naraz przyjdzie gruby list z dużemi pieczęciami i z banknotami wewnątrz; albo może jaki generał lub inny jaki wielki pan w złocie i srebrze zawezwie je przed siebie i wyrazi im „wdzięczność państwa".

Pewnego razu rozeszła się wieść, że jakiś wielki pan ma nawiedzić okolicę. Tu już kobiety nie wątpiły. Dragosławiczowa nawet obliczyła, ile dostanie, aby kupić choć jedną krowę, tak niezbędną w dużéj rodzinie, i aby zapłacić weksel Żnuricza. „Jeśli Bóg da, to może nawet tyle dadzą, że prócz wszystkiego, można będzie jaki kęs ziemi kupić". Wieść ta sprawdziła się niebawem: istotnie jakiś wyższy urzędnik przybył do powiatu. Odwiedzał wszystko i w końcu poszedł do starego kościołka w towarzystwie naczelnika powiatowego, który, jako nowo przybyły urzędnik, pochodził podobno z Tyrolu, czy téż Salzburga. Prócz naczelnika, był tu także jeszcze jakiś młody jegomość tegoż pochodzenia i nowy ksiądz, który trafem znalazł się przy kościele. Zdala dostrzeżono Magdę. Była ona tu jak zwykle, lecz tym razem widząc nadchodzących wielkich panów, czémprędzéj pobie-

gła do domu, aby donieść matce o urzędnikach. Śpieszyła, nie wiedząc sama, dla czego; w wielkiéj radości nie zdawała sobie sprawy z tego; nie miała czasu rozmyślać.

Tymczasem pan „hofrat“ rozpoczął oględziny kościołka. Jeszcze będąc zdala na polu, zdumiał się na widok staréj budowy. Jego urzędniczy, biurokratyczny duch burzył się na taki wygląd świątyni. W jednéj chwili kapelusz ze złości przechylił na bok, okulary podniósł w górę na czoło, nawet swoje faworyty cesarskie uchwycił długiemi suchemi palcami.

— Boże drogi! — począł wołać po niemiecku — toż to są barbarzyńcy! Taki kościół... aj, aj! Gdzież był sędzia, gdzie pomocnik żupana, gdzie inżynier? To wstyd! Strach! Panie „oberkomisarzu“, proszę ten kościół wziąć „*ad notam*“. A teraz pozwól, czcigodny proboszczu, że wejdziemy do wnętrza.

Gdy weszli do kościołka i „hofrat“ i „forsztand“, razem kiwali głowami, zaglądając do każdego kąta i macając ściany.

— Ten kościół zupełnie zrujnowany i dłużéj tak stać nie może. Zaraz jutro proszę tu przysłać budowniczego, aby w przewidywaniu wypadku zawalenia się, natychmiast kazał go zamknąć.

— Ale, proszę waszéj miłości, wszak to dla ludzi ciężko... — ośmielił się przemówić proboszcz.

— Paperlapa, gadanie; ludzie są po to, aby pokornie słuchali rozkazów; zwłaszcza ludzie w takim stanie, jak ci wasi Chorwaci.

To rzekłszy, obrócił się do księdza plecami i poszedł daléj na kraj wzgórza, gdzie czekał „forszpan“. Gdy Magda cała zadyszana przybyła razem z matką, już ani śladu po nim nie było.

Losy starego kościołka rozstrzygnęły się. Nazajutrz przyszedł jakiś chudy, długi jegomość z drugim towarzyszem jeszcze chudszym i dłuszym; obaj mieli rzadkie blond włosy na głowie i czerwone, twarde jak szczecina faworyty; a obu spodnie na długich nogach wisiały tak swobodnie, że można było sądzić napewno, iż czterech łokci płótna pod niemi wcale nie było. Zaprezentowawszy się zakryastyanowi, jeden jako urzędnik powiatowy, drugi jako pomocnik inżyniera, poszli opatrywać kościół. Co tam znaleźli i co wywnioskowali, zakrystyan nie rozumiał, gdyż rozmawiali po niemiecku, a pytań jego po chorwacku zadawanych, ani rozumieli, ani zresztą słuchali. Na drugi dzień wszakże było już wszystko wiadomém. Przyszedł od „becirksamtu“ surowy rozkaz do księdza i gminnego „forstanda“, aby kościół do dalszego rozporządzenia zamknąć niezwłocznie z powodu wielkiego zrujnowania, grożącego wypadkiem; poczém będzie on rozebrany i materyał zostanie sprzedany drogą licytacyi. Wieść o zamknięciu kościoła

w jednéj chwili rozbiegła się na wsze strony, jakby na skrzydłach gołębi. Między wieśniakami i szlachtą zapanowało wielkie przerażenie, szczególnie lud wiejski wielce się oburzył: czcił on stary kościołek jak świętość i kochał jak najdroższą własność swoją. Prócz tego przypisywał téj świątyni moc cudotwórczą: obraz ś-go Błażeja wiele przynosił ulgi w febrze, a obraz ś-téj Porcyunkuli stanowczo zapobiegał różnym domowym kłopotom; a że to nie był tylko prosty zabobon, na to przytaczano setki dowodów. I teraz więc ma mu téj świętéj pomocy zabraknąć? Ten drogi sercu głos dzwonów ma już umilknąć? Nie było takiego bólu, któryby się nie rozpłynął pod wpływem tych dźwięków czarownych! A dziś... co dziś będzie? Kościół ma być rozebrany i materyał, o ile będzie dobry, zostanie sprzedany. Nie i wobec Boga i wobec ludzi byłby to grzech wielki, byłby to wstyd. Gdyby do tego przyszło, byłaby sromota! Nie, do tego przyjść nie może, chociażby wypadło iść do cesarza samego. „Kościół oddał jedyny skarb swój w czasie rewolucyi, w wojnie przeciw rewolucyonistom utrzymywano wojsko, broniące cesarza, za te pieniądze, które dał kościół; wreszcie i nasza żupa wysyłała swoich ludzi na wojnę, a więc teraz za to urzędnicy cesarscy zamiast wdzięczności, chcą nas męczyć karami i czynić nam krzywdę? Wszak niech tylko kościół będzie rozebrany, a natychmiast Bóg ześle na nas i burze i zarazę. Kościół będzie rozebrany; tak! a kamienie ze ścian jego rozkupią żydzi i handlarze! Nie, chociażbyśmy mieli głową nałożyć!“ Tak jednogłośnie postanowili wszyscy, a lud zebrany na plebanii, przez cały dzień naprzemian to krzyczał, to płakał, prosił i zaklinał.

Gdy Magda dowiedziała się o zapadłém postanowieniu względem kościoła, przeszła, biédaczka, takież same męczarnie, jak wówczas, gdy otrzymała wiadomość o śmierci ojca. Powoli przytém poczynała się rozczarowywać, wątpiąc o owéj wdzięczności, któréj się tak spodziewała. „I kościół dał podczas wojny z rewolucyą całe swoje bogactwo, i jemu obiecywano wiele, a teraz ci nowi urzędnicy państwowi zgoła nie myślą o tém i chcą nawet świątynię zburzyć.“ Smutek opanowywał ją, gdy matka nieraz uwodziła się nadzieją nagrody, spodziewając się wtedy poprawić swoje położenie. Jakieś straszne zwątpienie legło na duszy. Ojciec zginął, a żona i dzieci nie mogą żadnéj znaleść wdzięczności. Nieraz w takich chwilach rada przypominała sobie te patryotyczne rozmowy, które prowadziła ze zwolennikami iliryzmu; ale to w istocie powiększało jeszcze jéj smutek. Wiedziała, że już tych przedstawicieli idei ilirskiéj nie ma, a ich miejsce zajęli jacyś obcy panowie; na miejsce ojczystego języka zewsząd wciskał się cudzy, znienawidzony; ach!... i Magda była przekonana, że wszelkie

nadzieje matki co do pomocy są próżne. Zdawało się jéj, że z niemi będzie zupełnie tak samo, jak z kościołkiem starym i nieraz gorzko płakała. Dziś już nawet los przekorny zazdrości jéj tego jedynego miejsca, na którém doznawała takich uczuć, jakby obok niéj stał jeszcze jéj ojciec. Jak każdemu w całéj parafii, tak i Magdzie wiadomość o rozkazie zniszczenia świątyni wywołała okrzyk: „Nie, to być nie może!“ I ona postanowiła cokolwiek w téj mierze uczynić. Przyszło jéj na myśl, aby iść saméj do urzędu do panów niemieckich i tam ich prosić. „Wiem, o wiem, jak mam mówić do nich! Niech tylko do kościoła się nie mieszają. Powiem im, że żadnego więcéj nie żądam wynagrodzenia za śmierć ojca.“ Pomyślała jednakże wkrótce, że, kto wié, może to tak nie jest, jak mówią; i dlatego postanowiła zaczekać jeszcze, aż minie niedziela. Przeszedł ten czas szybko, a nadzieja Magdy nie urzeczywistniła się. Msza odbyła się w kaplicy parafialnéj u ś-go Marcina na drugiém wzgórzu, a stary kościołek pozostał zamknięty i dzwony jego po jakich stu latach, były po raz pierwszy nieme w dniu świątecznym. Już od świtu słuchano pilnie, czy się nie ozwą i jak zwykle nie będą na mszę wołały; zewsząd patrzano na czarną wieżę, jednakże już słońce dobrze podniosło się w górę, a stamtąd żadnego głosu; wówczas cały tłum parafian bez żadnéj poprzedniéj umowy pociągnął wprost na wzgórze i nikt nie poszedł do kaplicy ś-go Marcina. W tłumie była i Magda. Wszyscy, odziani odświętnie, zatrzymali się zdala od kościołka i słychać było głośne szemranie i krzyki. Najbardziéj krzyczały kobiéty, domagając się od mężczyzn, aby poszli przemocą otworzyć kościół.

— Jeszcze nie jesteśmy tu wszyscy—rzecze jakiś młodzieniec;— daléj, bracia, dzwońmy, aż wszyscy się zejdą; wówczas i ksiądz będzie tu mszę odprawiał, gdy zobaczy, że wszyscy parafianie tego żądają!

— Ksiądz-proboszcz jest już u ś-go Marcina — odparł jeden staruszek.

— Nic nie szkodzi; przyjdzie on i stamtąd, gdy posłyszy, że tu się na mszę dzwoni. Chodźmy dzwonić!—zawołał ten sam młodzieniec i pociągnął za sobą obok stojącego towarzysza, chwyciwszy go za rękaw.

Do nich przyłączyło się jeszcze kilku młodzieży i razem podszedłszy pod wieżę, wszyscy poczęli silnie targać sznury od dzwonów. Za chwilę słuchał lud znowu miłéj melodyi. Wówczas tłum coraz się powiększał i ściskał obok kościoła, a na dolinie wokoło widać było, jak po wszystkich ścieżkach i drogach śpieszą wesoło wieśniacy w kierunku wzgórza.

W miarę powiększania się tłumu, wzrastało szemranie. Wielu

z świéżo przybyłych myślało, że będzie msza, skoro dzwony dzwonią. Gdy się dowiedziano, że kościół zamknięto, wzburzenie w piersi każdego wzrastało. Niektórzy krzyczeli, domagając się przyjścia zakrystyana i otworzenia świątyni, inni zaś żądali przybycia samego księdza. Ale w pobliżu ani księdza, ani zakrystyana nie było. W końcu najzapaleńsi podali projekt, aby przemocą kościół otworzyć. Juricz, ten sam właśnie, co to palec utracił na wojnie, krzyczał na całe gardło, jak szalony, że on za króla walczył i z tego powodu nikt nie ma prawa bronić mu modlitwy w kościele świętym i mocniejszym, niż wszystkie inne kościoły w okolicy. Istotnie, człowiek ten chwycił drąg ogromny z płotu i pobiegł do drzwi kościelnych. W téj chwili Magda schwyciła go za podniesioną już do uderzenia rękę.

— Wyście stracili palec, a ja ojca; jeśli kto może coś powiedziéć, to ja o wiele więcéj mam pod tym względem prawa. Słuchajcie! Nie róbmy, ludzie, żadnego gwałtu; ci nowi panowie niemieccy natychmiast ogłosiliby nas za buntowników. To nie są nasi panowie. Zostawmy nasz drogi kościołek zamkiętym, ponieważ władza go zamknęła. Słuchajcie! chcę na głos od siebie i od was wszystkich z téj oto książki do nabożeństwa prosić Boga, aby nam kościół obronił i wrócił.

I nie czekając, aż cała zdziwiona na razie gromada znowu pocznie burzyć się i krzyczéć, upadła na kolana przed drzwiami kościelnemi i donośnym głosem poczęła odmawiać modlitwę. Wszyscy patrzyli na nią w milczeniu, a bliżéj niéj stojący za jéj przykładem uklękli. Gdy czasem na chwilę umilknie, ktoś z tłumu zaśpiéwa: „Święty, święty, święty!“ a cała gromada zawtóruje mu, powtarzając tysiącami głosów pieśń nabożną; i nie było chłopięcia nawet, któreby nie uklękło i nie odczuło w duszy téj pięknéj chwili.

Tak modliło się całe zgromadzenie pod jasném niebem błękitném, czasami przecinaném lotém jaskółek i barwnych motyli, na świeżém powietrzu, przepełnioném zapachem kwiatów polnych i aromatem staréj lipy rozkwitłéj, około któréj latały pszczoły pracowite, wesołe muchy i osy cichém brzęczeniem swojém, składając się na muzykę, zastępującą w danéj chwili organy.

* * *

Nazajutrz miała Magda iść do urzędu powiatowego, jak postanowiła sobie. Dokończyła właśnie swoich zajęć i już odziała się w odświętne odzienie, gdy przed wrotami stanęli dwaj żandarmi, pytając o nią. W pierwszéj chwili przelękła się sama, nie wiedząc czego; ale wkrótce ochłonęła, bo błysła jéj myśl, czy czasem nie jest to interes owéj pomocy i zasiłku pieniężnego; szybko jednakże przypomniała so-

bie dzień wczorajszy i znów się zatrwożyła. Gdy objaśniła żandarmów co do swéj osoby, jeden z nich ze złośliwym na ustach uśmiechem objawił, że jest aresztowana na zasadzie rozkazu, wydanego przez urząd powiatowy.

— Mnie aresztować? — wskazała palcem na siebie, pochylając głowę cokolwiek naprzód, bliżéj do żandarma.

— Tak, panią, Magdę Dragosławicz; czy sądzisz, że jeszcze istnieją wasze prawa, wobec których szlachty aresztować nie wolno? Ha, ha, ha, gołąbko moja!

— Nie sądzę nic; lecz za co mnie?

— Nie pytaj mię o nic; ja nic nie wiem; no, ruszaj, marsz naprzód, żebym nie był zmuszony cię związać. Mamy jeszcze kilka podobnych ptaszków.

Musiała więc pójść dziewczyna razem z żandarmami, nie pożegnawszy się nawet z matką. Po drodze wstępowano jeszcze do innych chat sąsiednich i w ciągu godziny pędzono około dwudziestu uwięzionych. Teraz wiedziała już dokładnie, za co ją uwięziono. Wszyscy aresztowani byli wczoraj około kościoła.

Po trzech godzinach drogi przybyli do K., gdzie mieścił się cesarsko-królewski urząd powiatowy. Ogromna żółta tarcza z dwugłowym orłem zdaleka błyszczała w jasném powietrzu letniém na najokazalszym budynku w całém mieście. Tu żandarmi krzyknęli „*halt*“ i uszykowali więźniów, a po skończeniu téj czynności, jeden stanął przed nimi, drugi zaś z tyłu za nimi i tak cały szereg ruszył w górę na pierwsze piętro, gdzie była kancelarya urzędu.

Biédna Magda płakała i cała była zgnębiona. Nie przypuszczała nigdy, aby z nią, jako z córką tego, co zginął na polu bitwy, mogli w ten sposób postępować.

W kancelaryi najpierw gromadka więźniów spotkała różnych pisarzy, pisarków i „*amcdinerów.*“ Jeden z nich wprowadził ją do drugiego pokoju, a stamtąd do trzeciego, gdzie wkrótce zjawił się sam pan cesarsko-królewski naczelnik powiatu.

Był to człowiek średniego wzrostu, nie zbyt chudy i nie zbyt otyły, miał rzadkie na głowie włosy, koloru nieokreślonego; wązkie czoło krzywo zlewało się z ciemieniem; policzki wydawały się opuchłemi, wielce podejrzanéj czerwoności; baków cesarskich nie nosił, gdyż mu żadną miarą rość nie chciały, tylko wąsy, jak szczecina, jeżyły się rzadko pod śpiczastym długim nosem. Znać było, że wąsy te niegdyś były golone (było to za cesarza Ferdynanda); dziś krótkie i rzadkie nie mogły ukryć wielkiéj wargi wiecznie mokréj, z powodu któréj Włosi, gdy niegdyś służył w Lombardyi, mówili, że ma „*il muso da flanto.*“

Rodem był z dziedzicznych ziem korony austryackiéj, a ponieważ służył w Krainie między Słoweńcami, przeto minister Bach posłał go teraz do Chorwacyi. Jak zwykle bywa, nikt go w powiecie nie lubił, a on ze swéj strony nie przyczynił się wcale do tego, aby złe stosunki polepszyć. Zaraz w pierwszym miesiącu urzędowania swego naraził się mieszkańcom ciągłemi rozkazami, raportami, które z wielkiém zamiłowaniem kleił; o najdrobniejszéj rzeczy pisywał nieskończone sprawozdania, a gdy komu miał dać pozwolenie na trzymanie fuzyi, rozmyślał całemi godzinami i w końcu żądał od proszącego co najmniéj dziesięciu świadectw o jego moralnéj stronie, i nierewolucyjném usposobieniu; zaś osobom noszącym brodę stanowczo takiego pozwolenia odmawiał. Co drugi dzień żandarmerya musiała zjawiać się przed nim na „raporty“ i wówczas zgoła nie było takiéj drobnostki, o którąby się nie wypytywał. Widoczném było, że największe zadowolenie miał w wynajdywaniu możności okazania wszechmocy i wszechwiedzy państwa; często zaciérał z radości ręce, gdy mógł komu odmówić co do jakiéjś prośby, a bardziéj jeszcze, gdy można było ukarać. Toż dopiéro był zadowolony, jeśli takiemu biédakowi podniesionym głosem powiedział: „Służba cesarska nie zna względów, prawo jest srogie i nieubłagane; paragraf jest paragraf.“

Obecnie stanął z należytą powagą wobec zgromadzonych wieśniaków. Najpierw powiódł po nich mętnemi, zielono-siwemi oczyma, uzbrojonemi w okulary, przyczém policzki silnie się wydęły.

— Hm, hm!—ozwał się po długiém milczeniu. — Więc to są owi buntownicy; a i ta dziewczyna, taka młoda, a już tak zepsuta! Ach, to straszny naród, to są dzicy; nie — nasz pan minister jest zbyt łaskaw, że cierpi takich ludzi! — rzekł do urzędnika, co z żandarmami wprowadził uwięzionych.

Poczém zwrócił się do nich i w strasznie kaleczonéj chorwacczyźnie począł:

— Czy wy sądzicie, że rząd jest byle co? Jak śmieliście urządzić owo zebranie pod kościołem? Czyście prosili o pozwolenie na to? Czy nie wiecie, że prawo jaknajsrożéj zabrania wszelakich zebrań? A jakby i tego jeszcze nie było dosyć, poczęliście dzwonić, jakby do buntu wzywając. Tak, to jest przestępstwo, to bunt. Prócz tego, jakie zgorszenie iść modlić się przed kościołem, śpiéwać pod gołém niebem; zupełnie jak luteranie, śpiéwać przed kościołem, jak przed oberżą! Wy, wy, pijacy, dzicy, głupcy; no, no, zobaczymy, ja tu z wami poigram; nie zniosę tego; myślicie, że tak daléj będzie, jak za czasów tych waszych urzędników pijaków? No, czekajcie?

Obróciwszy się, kazał przywołać sekretarza, aby rozpoczął badanie.

— Mógłbym was wszystkich zamknąć do kozy, oddać pod sąd, ale wolę tu na miejscu z wami się załatwić, to będzie lepiéj; ha, ha, ha!—i na obrzękłéj twarzy rozlał się uśmiech suchy i wstrętny.

Magda nakoniec odzyskawszy przytomność, skupiła całą moc swoją i drżącym, wzruszonym głosem poczęła:

— Proszę jasnego pana, myśmy nic nie winni. Kochamy swój kościół; od wieków nasz lud w nim się modli do Boga jeszcze z tych czasów, gdy przed Turkami bronił świata chrześciańskiego. A i kościół w ostatniej wojnie, gdyśmy szli króla bronić, oddał całe swe mienie na wojsko; jam straciła ojca, jakże więc teraz? teraz będziemy obwinieni i karani, gdy nam mówiono, że otrzymamy nagrodę!

— *Was sagt sie, was sagt sie?* — zwrócił się zdziwiony naczelnik do sekretarza, byłego kaprala w wojsku, który mu przełożył te słowa na język niemiecki. Zwierzchnik zawrzał:

— Ach, ty, republikanko! rewolucyonistko ilirska, patrz, patrz, jakie to myśli się rodzą. Więc wyście niewinni? A sprzeciwianie się władzy, to w twojéj głowie jest niczém? No, czekaj, ty, jak ci na imię? A, Magda Dragosławicz, Dragosławicz — aha, jesteś już w mojéj księdze, szatańska ilirko; ojciec twój był w wojnie z banem, dobrze, dobrze!

— Więc dziś to za grzech jest uważane? — gwałtownie zawołała Magda.

Nieśmiałość znikła zupełnie w téj chwili. Czuła wielki ból i krzywdę sobie wyrządzoną: więc dziś mają za złe jéj ojcu, że poszedł na wojnę, że poniósł śmierć za swego króla i to jeszcze jaką śmierć! Czuła, że zadraśnięto jéj najdroższe uczucia.

— Wówczas mówili panowie, że każdy spełnia swój obowiązek względem króla i ojczyzny, kto idzie na wojnę przeciw tym, co panującego z tronu strącają; wówczas obiecywano nam wdzięczność państwa, a teraz za przewinienie mi to uważają, żem dziecię takiego nędznika, co w obronie kraju głowę położył. Oh! — I dziewczyna gorzko zapłakała.

— Oho, ho, patrzcie ją! Jakie zapalone, jakie wrażliwe, a harde! Więc to tak się mówi przedemną w urzędzie cesarsko-królewskim, tu, gdzie reprezentuję jaśnie wielmożnego pana ministra... pardon, chciałem powiedzieć jaśnie oświeconego — poprawił się szybko, ponieważ w duchu więcéj bał się i szanował ministra, niż panującego i nawet Boga samego—tak, przedemną? no, już ja cokolwiek tę krew

gorącą ostudzę. Panie sekretarzu, weź pan księgę kar, musimy być gotowi i szybko z tą małą republikanką się załatwić.

— Jakie twe imię, ile masz lat, czém się trudnisz i jakiego stanu jesteś?—zapytał w jednéj chwili rozłoszczony zwierzchnik.

Magda nie mogła na razie go zrozumiéć; dopiéro, gdy i on, i sekretarz ponowili pytanie, dała właściwą odpowiedź.

— A, więc szlachcianka! Ha, ha, ha, ale to nic nie przeszkadza; dziś, chwała Bogu, uwolniliśmy się od tych przywilejów i zastosujemy czysto plebejuszowską karę. Ha, ha, ha!

Tu począł daléj badać innych po kolei obwinionych, a gdy ukończył swą czynność i wszystkie rubryki były już zapełnione, ogłosił karę:

— Na mocy patentu cesarsko-królewskiego z dnia 10 kwietnia 1854 r. § 11 (bieżącego § 12) skazuję Magdę Dragosławicz, Jerzego Prebeka i t. d. na karę cielesną, a mianowicie: Magdę Dragosławicz ze względu na jéj płeć na dwanaście rózeg, zaś wszystkich innych skazuję na kije także w liczbie dwunastu. Od tego wyroku na zasadzie cesarsko-królewskiego patentu § 13 apelacyi być nie może, przeto kara ma być wymierzona natychmiast. Franciszek, zaprowadź tę dziewczynę do swojéj żony, Pepity, niech ją przebierze, a potém dasz mi znać, abym był obecny przy miarze kary. Mężczyzn oczekują kije po dwanaście każdemu, bądź więc gotów ty i stróż więzienny; pierwéj załatwimy się z dziewczyną.

Magda stopniowo coraz jaśniéj pojmując, co ją oczekuje, skoczyła naraz jak opętana do drzwi, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni. Nie przydało się to wszakże na nic, gdyż Franciszek trzymał już ją mocno.

Po upływie półgodziny rozlegał się na podwórzu straszny krzyk dziewczyny; na chwilę ucichł, ale naraz znowu się powtórzył zmieszany z płaczem i jękami, i począł dochodzić z podwórza na ulicę miasta i do wszystkich kątów cesarsko-królewskiego urzędu.

Dnia tego Magda nie mogła powrócić do domu; musiała pozostać u żony stróża więziennego, ponieważ zapadła w silną gorączkę. Nazajutrz przyjechała po nią matka, która wieczorem pierwszego dnia już dowiedziała się o wszystkiém. Staruszka łamała ręce i biła głową o ścianę, rwąc na sobie odzienie.

— Niestety, tośmy się doczekały! O, mój Stefanie, za toś położył głowę, aby teraz bito twe dziecię, jak jaką, oh, wstyd mi wymówić jaką!... — płakała staruszka, skarżąc się przed żoną stróża. Magda wciąż leżała w gorączce nieprzytomna.

Choroba ciągnęła się już dwa tygodnie. Przywołany felczer kiwał głową z coraz większém powątpiewaniem. W gorączce téj ciągle

bredziła. Zawsze widziała przed sobą ojca hojnie obdarzonego i szczęśliwego; czasem znów wielkiego urzędnika, niosącego jéj podziękowanie od cesarza i matkę zupełnie uszczęśliwioną. Miewała wszakże czasem widzenia zgodne z rzeczywistością. Wówczas rozpaczliwie krzyczała głosem przytłumionym:

— Dwanaście uderzeń, ah, obnażona przed tym wilkiem, ah, jak boli, nie tak silnie! A, to podziękowanie ojcu, piękne podziękowanie; biada wam, biada!

W końcu ozdrowiała.

* * *

Ciężkie swoje cierpienia przeniosła Magda; była czysto chorwackiéj krwi. Za mąż nie poszła wcale, bo któżby chciał wziąć dziewczynę „bitą rózgami.“ Gdy przeszły lata, a z niemi młodość i piękność dziewicza, pozostała samotna, odwiedzając zawsze stary kościołek na wzgórzu i będąc przekonaną, że musi on stać „dopóki świat będzie istniał, skoro przetrwał nawałę biurokracyi niemieckiéj“, skutkiem tego była przedmiotem wiecznych żartów „jako stara bita panna.“

Taki to już świat!





PRZEKŁAD „JEROZOLIMY" TASSA

PRZEZ

PIOTRA KOCHANOWSKIEGO,

w stosunku do współczesnego stanu polskiéj poezyi i jéj dalszego rozwoju.

(Dokończenie).

V.

Ze scenami romantycznemi łączy się zwykle odpowiednie tło krajobrazowe. Piękność nocy włoskich żywo odczuwała marzycielska dusza i wrażliwe nerwy Tassa, stąd najczęściéj sceny miłosne, a nawet czyny rycerskie przedstawia przy oświetleniu księżycowém.

Rzecz dziwna, iż tłómacz, dla którego obrazy natury znaczne mogły przedstawiać trudności, wcale dobrze, a niekiedy bardzo udatnie wywiązał się ze swego zadania. Poznaliśmy powyżéj obraz nocy księżycowéj, śród któréj odbywa swą wyprawę Erminia. Dodatkami swemi nadaje często Kochanowski krajobrazowi charakter polski. Las, o który toczy się walka między rycerstwém a broniącymi go duchami, składają obok cedrów i cyprysów: buki, jesiony, sosny, jedliny, świerki, modrzewie. Gdy Rynald wchodzi w głąb tego lasu:

. . . . usłyszy głośny
Dźwięk, który błagał serce przerażając,
Strumień żal jakiś wydawał nieznośny,
Wiatr między brzegi wzdychał powiewając,
Na wodzie łabęć narzekał żałosny
A słowik płakał nie odpoczywając: (XVIII, 18)

Rozkoszny kobierzec miękkiéj trawy wabi rycerza wonnemi ziołami, ciemny las ziębi chłodem, straszy szumem gałęzi i hukiem wód potoku biegnącego w bystrych zakrętach. Gdzie stąpi odurzony wędrowiec, tam mu z pod nogi

Zdroje i wonne kwiecie wynikają
Tu kwitną róże, tu białe lilie,
Tu zdrój, tu piękne strugi wypadają.

Las cały brzmi melodyą pełnych słodyczy głosów (XVIII, 23, 24).

W dwa wieki dopiéro rozbudzi się w duszach polskich wrażliwość na objawy życia natury i w związku z nią popęd do ożywiania téj natury, przez objaśnianie jéj zjawisk w duchu pojęć ludowych, jako objawów działania nadprzyrodzonych istot i dopatrywanie tajemniczego związku między człowiekiem a otaczającymi go czynnikami fizycznemi. Zaleski i Słowacki będą niejednokrotnie podobnymi wielce rysami malować tajemniczą duchową komunikacyą jednostki z przemawiającą do niéj przyrodą. Pomiędzy wrażeniami Cisława przedzierającego się do jaskini rusałek a głosami i zjawiskami, jakich doznaje Rynald w lesie zaczarowanym, związek zachodzi bardzo bliski. Gdy o zabłąkanéj śród puszczy Erminii, tłómacz powiada:

A między wodą i lasem się zdało,
Że ją coś znowu do płaczu wołało (VII, 5)

to bezwiednie zapewne, przez lekką zmianę w formie wyrażenia, nadaje ustępowi piętno ludowéj polskiéj opowieści, powtarzające się w balladach z epoki romantyzmu. Czyż nie polskim jest ten udatny obraz natury, ożywiającéj się śród skwarów letnich po ulewnym deszczu:

Jako gdy lecie deszcz w czasy gorące
Spadnie na zboża i na wyschłe sady,
Na brzegu wodne ptastwo świegocące
Czeka i kaczek pierzchliwych gromady,
I rozciągając na dżdże spadające
Skrzydła, skubią się wdzięcznéj rosie rady. (XIII, 76)

Najmniéj udatnemi i w oryginale i w przekładzie są postacie świata duchów, zarówno aniołowie, jak szatany, nimfy ogrodów Armidy, dryady lasu zaczarowanego.

Tasso nie posiadał ni potęgi wyobraźni dantejskiéj, ni gorącéj wiary w postacie, które przedstawiał, stąd przypominają one teatralnych duchów, spuszczających się na drutach, i działających na widza maską, kostiumem i sztucznem oświetleniem.

Światu temu brak jednolitości. Cudowność chrześciańska miesza się z pogańską i płodami średniowiecznéj wyobraźni. Zapożyczywszy od Vidy (z poematu Christiada) obraz narady piekielnéj, wprowadza w miejsce przewodniczącego jéj szatana, starożytnego Plutona, którego wizerunek bierze z Claudiana.

Kochanowski, a z nim cały poczet czytelników polskich XVII w.

przyjmuje ten udział świata nadziemskiego w sprawach krzyżowców, jeżeli nie za wierne odbicie tego, co zaszło w rzeczywistości, to za prawdopodobne, zbliżone odtworzenie rzeczywistych stosunków.

Wyobraźnia i uczucie ludzkie, jeżeli nie zostają pod kontrolą rozwiniętego należycie rozumu, gonią skwapliwie za cudownością i chętnie biorą jéj pozory za rzeczywistość. Stłumiona w XVI w. przez racyonalizm reformacyjny i humanizm w duszach światlejszych jednostek, wiara w cudowność, wraca z tém większą siłą i wzrastać nie przestanie, aż do połowy XVIII wieku.

W przekładzie Kochanowskiego sceny piekielne przedstawiają się jaskrawiéj niż w oryginale. Wykwintny smak Tassa każe mu łagodzić wstrętność i dziwaczność postaci, któremi młodzieńcza wyobraźnia ludów zapełniła piekielne podziemia. Kochanowski pojmuje dyabła w duchu ludowo-szlacheckich wierzeń. Gdy Tasso powiada:

Tutt' i Numi d'Inferno a se raccoglie
L'Imperador del tenebroso regno

Kochanowski tłómaczy:

Wszystkiéj piekielnéj zwoływa czeladzi
Do jednéj kupy, Pluton zagniewany.

Charakteryzując potworność postaci piekielnego świata, do podanych przez Tassa rysów dodaje:

. . . . jedni kurze nogi,
Drudzy wielbłądzie, trzeci mają krowie. (IV, 4).

Tym sposobem i świat duchów przybiéra cechy, wzięte z ludowych polskich wyobrażeń. Gdy jednak dodatki są wytworem wyobraźni samego tłómacza, odsłaniają nam zwykle upodobanie prostaczéj duszy w jaskrawych, niesmacznych rysach. W charakterystyce Plutona dodaje od siebie:

. . . . . . tak i jemu z gęby
Śmierdziało właśnie, a z nosa bez miary
Puszczał, aż brzydko, plugawe otręby.

Dla czytelników polskich te jaskrawości miały swój powab. Jak ów szlachcic z fraszki Potockiego, który po włoskim, wytwornym obiedzie, wraca głodny do swéj gospody i woła na czeladź o pieczeń z bigosem, tak samo czytelnik ówczesny potrzebował dla swéj wyobraźni jaskrawych barw, grubych, wydatnych rysów.

Jak widzimy, główną cechą przekładu Kochanowskiego, ujemną odnośnie do dzisiejszych wymagań, ale prawie nieuniknioną w XVII wieku, stanowi wprowadzanie narodowych, bądź dodanych, bądź podstawionych rysów, obniżanie podniosłości i wykwintności oryginału przez wprowadzanie do opowieści, dyalogów, charakterystyk, wyrażeń ję-

zyka obozowego i powszedniego szlacheckiego, zacieranie barwnych rysów przez blade ogólniki, delikatnych odcieni i stopniowań przez jedną grubą linię. Obrazy procesów psychicznych, poprzedzających czyny jednostek lub towarzyszących ich słowom i działaniu, znikają zupełnie, albo téż przedstawione są ciężkiemi, ogólnikowemi rysami. Tłómacz często opuszcza to, czego nie może zrozumiéć i wypowiedziéć, częściéj streszcza lub kopiuje blado i nieudolnie, wreszcie zastępuje własnemi, niefortunnemi wstawkami. Język jego jakkolwiek obfitujący w całe zwroty żywcem wzięte z „Szachów“, „Psałterza“, „Trenów“, „Pieśni“, skutkiem częstego używania liczby podwójnéj, zwrotów i wyrażeń języka obozowego, przybiéra często archaistyczny wygląd. Cecha ta jeszcze wybitniéj występuje w przekładzie „Orlanda szalonego“, pisanego językiem „Wizerunku“ rejowskiego.

Ciężkie warunki nowéj formy, oktawowéj zwrotki, krępowały poetę. Przekładając poemat Tassa „ośmiorakim rymem, jakiem go on sam pisał i jakiem Włoszy, Hiszpani, i insze narody polerowańsze swoje Heroika piszą“, pomimo, iż wiersz ten „uszom polskim póki się weń kto nie wczyta, niesmaczny“, pragnie tłómacz pokazać światu: „że język nasz nie jest nad insze uboższy“ i utorować drogę „szczęśliwszym dowcipom do ubogacenia go“. Pod tym względem oczekiwania poety nie zostały zawiedzione; praca jego stała się jednym z najdzielniejszych bodźców dalszego rozwoju poezyi polskiéj.

Jeżeli zaznaczone powyżéj cechy przekładu usprawiedliwiały warunki i potrzeby ówczesnego stanu duchowego czytelników polskich, te inne ujemne cechy przekładu w części tylko usprawiedliwić może trudność formy oktawowéj.

Do rzędu takich braków, odnośnie do udoskonalenia formy, jakiego dokonał Jan Kochanowski, należy: częste rozstawianie przymiotników z należącymi do nich rzeczownikami, słów, z rządzonemi przez nie wyrazami. Tę naiwną metodę ułatwienia w doborze rymu wprowadził do poezyi Miaskowski. W pieśni do Ducha św. powiada on:

Hamując boską, krwawe, ręką groty;

w elegii pokutnéj czytamy:

Przez, o sukienkę los, twą dzianą dłonią.

Przekład „Jerozolimy“ dostarcza ciekawych przykładów, takich łamigłówek dowolnego szyku wyrazów:

I z chęcią, moje ostatnie, życzliwą
Tchnienie w się weźmiesz. (II, 35)

W językach, jego, ujrzycie wnet nowych,
W miedzi i słupach, imię, marmurowych. (IV, 13)

I śmiele ostrej, gołych piersi, broni,
Dla lubych murów ojczystych niechroni. (XI, 58).

Innego rodzaju środkiem ułatwiającym jest częste wstawianie zbytecznych, bez znaczenią dodatków: „Według mego zdania“, „Tacyż to proszę“, „w on czas“, „w owéj dobie“! Ta ostatnia wstawka wraz z towarzyszącemi jéj rymami: sobie, sposobie, powtarza się niezmiernie często [1]). Najczęstszym jednak środkiem dociągania rwącego się wiersza, lub brakującego rymu, jest powtarzanie tuż po sobie jednéj myśli, w zmienionéj tylko formie wyrazowéj.

Gdzie stąpi i gdzie ziemię bije nogą (XVIII, 23).
Bez wielkiej pracej, bez wielkiego trudu (ib. 45).
Nic nie przeszkodzi, nic im już nie wadzi (ib. 68).
Tam śmiele pójdźmy i tam się udajmy (ib. 73).

W jednéj strofce aż trzy w ten sposób rozciągnione wiersze spotykamy; jesto ustęp z mowy Rynalda:

W jednem zwycięstwie wszystkie mieć będziemy,
Bez wielkiéj pracej, bez wielkiéj trudności:
A nie bójmy się, że wojsko widzimy
Ich takiéj liczby, i takiéj wielkości.
Samo się w sobie, jako wnet ujrzemy
Wikle w niezgodzie i w swojéj różności (XX, 15).

W poprzedzającéj ten ustęp oktawie spotykamy pierwowzór owego, mniéj świadomie tylko i zręcznie użytego, przeniesienia połowy wyrazu do następnego wiersza, którym twórca „Pana Tadeusza“ upamiętnił nazwisko soplicowskiéj gospodyni. Jeżeli dodamy do tego nieudolne posługiwanie się spójnikami w łączeniu zdań, to wyczerpiemy szereg ujemnych właściwości pracy Kochanowskiego, która jest jednocześnie znamieniem upadku i zapowiedzią dalszego postępu poezyi polskiéj.

VI.

Pierwsze ślady wpływu pracy Piotra Kochanowskiego na dalszy rozwój poezyi polskiéj, występują w niedługim stosunkowo czasie po ukazaniu się książki. Chwila, w któréj pojawił się przekład „Jerozolimy“ przedstawiała najprzyjaźniejsze warunki dla powodzenia utworu. Poemat ten czytało pokolenie, które świéżo odbywszy cały szereg wypraw w odległe strony wschodnie (w sprawie Dymitra), gotowało się do boju z potężną jeszcze monarchią turecką. Dobrobyt materyalny, nie

---

[1]) Ob. V, 40; VI, 12, 46, 59, 81; VII, 16, 30, 34, 41, 65; IX, 98; X, 3, 47; XI, 1, 21 i inne.

zniszczony jeszcze przez wewnętrznych i postronnych nieprzyjaciół, sprzyjał rozwojowi kultury obyczajowéj i umysłowéj, zarówno u szlachty, jak i mieszczan. Katolicyzm, tryumfujący za sprawą niepospolitych bojowników, wywoływał liczne objawy egzaltacyi uczuć religijnych. Ni Réj, ni Jan Kochanowski nie mogli być karmicielami dusz ówczesnych. Liczne przedruki utworów śpiewaka czarnolaskiego ustają właśnie w tym czasie.

Uczucia religijne, wywołane przez reakcyą katolicką, znalazły już swe odbicie w poezyach Miaskowskiego i Grochowskiego. Jako śpiewak miłości, występuje teraz wykształcony, z wysoką ogładą obyczajową i wielką wrażliwością uczucia obdarzony, młody mieszczanin lwowski, Szymon Zimorowicz. „Roksolanki“ jego (z 1629 r.) jakkolwiek niezależne treścią i formą od „Jerozolimy“, mieszczą ślad wpływu tego poematu, zarówno w formie oktawowéj, użytéj w przedostatniéj pieśni, jak przedewszystkiém w obrazie tych palm z doliny Jordanu, do których poeta przyrównywa bliskich sercu oblubieńców:

Jako dwie Palmie w Idumskim ogrodzie,
Kiedy się wzrostem jednostajnym zgodzą,
Głową tykają nieba, a na spodzie
W bystrym strumieniu Jordanowym brodzą:
Wszystkie zazdroszczą drzewa ich urodzie,
A one owoc co rok smaczny rodzą:
Tak téż dwie duszy wasze w jednym ciele,
Wydadzą kwiatów i owoców wiele.

Poetą, którego cała działalność nosi wybitne ślady wpływu „Jerozolimy“, jest śpiéwak bojów i miłości, a przytém panegirysta królów i panów, dworak, ziemianin i żołnierz zarazem: Samuel Twardowski. Kto wié, czy nie „Jerozolima“ była tym bodźcem, który młodego wielkopolanina zaprowadził na dwór Krzysztofa Zbaraskiego, udającego się w poselstwie do Konstantynopola, na wiosnę 1622 r. Choć w ciągu podróży, spotykał on zamiast Turków, ludność słowiańską a i w samym Konstantynopolu znalazł stosunki bardzo odmienne od świata saraceńskiego Jerozolimy, młoda wyobraźnia nie zrażona zawodami miała tu dla siebie obfity pokarm, zarówno w cudach przyrody południowéj, rozkosznych krajobrazach górskich i nadmorskich, we wspomnieniach mitologicznych i historycznych, w tajemniczo osłoniętych, jak cienie przesuwających się postaciach kobiecych, w których można było domyślać się wdzięków Armidy, złocistych warkoczów Kloryndy. W obrazach swych wrażeń, jakiemi przeplata Twardowski, wierszowany opis poselstwa Zbaraskiego („Legacya“) wspomina między innemi, jak pewnego razu przyjazny posłowi polskiemu pasza, w chwili bardzo ciężkich przejść z wrogim Polakom wezyrem,

przysłał grono śpiewaczek i tancerek dla rozweselenia posła i jego orszaku. Weszły one w zwykłych zasłonach i dopiéro w chwili rozpoczęcia swego popisu odkryły nagle swe twarze i figury:

Uzłocone na głowie missury i bindy
Jakie Harpalice albo i Kloryndy.

Powiada poeta, któremu ten ciekawy, dla młodzieńczéj wyobraźni, moment, przypomniał piękną scenę odsłonięcia się bohaterki poematu Tassa.

Wezyr Dziurdzi, którego nienawiść ku Polakom dała się we znaki poselstwu, przypomniał znów obliczem, na którém się malował dziki fanatyzm, postać Plutona z narady piekielnéj. Kréśląc wizerunek wściekłego Turka, użycza mu rysów oblicza władzcy duchów piekielnych:

U rydzéj brody wąs miąższy, pomięty,
Czoło rugi zżymają . . . . . .
Na łonie trzyma brzydkiém tablicę kamienną. [1])

Zbiór pieśni, któremi Twardowski z prawdziwie rycerskim ogniem i siłą upamiętnił „Szczęśliwą ekspedycyą Władysława IV“ z 1633 r., jest, jak „Roksolanki“ dla uczuć miłosnych, pierwszém poetyczném wypowiedzeniem uczuć rycerskich. Ten nieoceniony dotąd, prawie że nieznany historykom literatury, utwór, godzien uwagi zarówno dla treści swéj, jak i bogactwa nowych form strofkowych, jakie dla odtworzenia nowych uczuć wprowadził tu poeta, posiada parę pieśni pisanych oktawami. Wzywając w ostatniéj pieśni, młodego króla by zwalił potęgę turecką i zatknął krzyż na kopule Św. Zofii, zostaje poeta pod wpływem tego rycersko-religijnego entuzyazmu, na którym oprzéć chciał Władysław IV wielką wyprawę, mającą ziścić przepowiednie poety. Wesołe życie na dworze Wiśniowieckich, oddane łowom i zabawom, śród bogatéj w piękności przyrody okolicy nad Horyniem, w otoczeniu żywych, czarnookich dziewcząt, z kozaczą duszą niekiedy, umieszczanych przez rodziców w dworskim fraucymerze, rozwinęło w duszy poety uczucia miłosne i dostarczyło mu bogatego doświadczenia. „Jerozolima“ nauczyła odtwarzać rozmaite stopnie uczucia i stany dusz kochających, wskazała w krajobrazach najwłaściwsze tło dla scen miłosnych? Wynikiem tych zespolonych wpływów była „Daphnis“, udramatyzowany poemat, uwydatniający w szeregu par kochających się różne formy i stopnie miłości. Za tło służy puszcza leśna w któréj świat roślinny, zwierzęcy i nawet czynniki fizyczne (zefiry) biorą udział w téj pięknéj pieśni na cześć miłości.

---

[1]) Legacya, punkt III; podobną zależność od obrazów Jerozolimy spotykamy jeszcze w kilku innych ustępach.

Nie jest to kompilacya, ale swobodna fantazya, mówiąc językiem muzycznym, osnuta na tematach romantycznych „Jerozolimy.“ Uczucia swoich bohatérów i bohatérek poeta odczuwał we własnéj duszy także, lecz wpływ, jaki na niego wywierały romantyczne obrazy Tassa, był tak silny, że nie mógł się uwolnić od przyswajania sytuacyi, obrazów, wyrażeń i zwrotów, jakie spotykał w pierwowzorze. Talentem, siłą uczucia i wyobraźni, góruje on nad Piotrem Kochanowskim, stąd udatniéj odtwarza, poprawia niejako monologi i dyalogi miłosne, zapożyczone z „Jerozolimy“ [1]).

„Daphnis“ wyszła z druku 1638 r. (w Lublinie), „Legacya“, napisana o wiele wcześniéj, 1639 r. Oktawową strofką posługuje się także Twardowski w zręcznym panegiryku: „Książę Janusz Wiszniowiecki“ wydanym 1646 r. Dwa wielkie poematy historyczne: „Władysław IV-ty“ (1648) i „Wojna domowa“ (1660) nie noszą na sobie śladów wybitniejszych wpływu „Jerozolimy.“ Pierwszy jest właściwie wielkim panegirykiem dla Władysława IV-go, drugi rymowaną kroniką wojen od 1648 do 1660 r. Na obrazy romantyczne i udział świata nadziemskiego nie było tu miejsca, uczucia religijne obudziły się w poecie dopiéro w późnéj starości, rycerskie chwilę tylko gościły w jego sercu. Żywość wyobraźni idzie głównie na posługi panegirycznych uniesień poety-dworaka, lubującego się w obrazach obchodów dworskich, wjazdów, widowisk, choć nie szczędzi téż miejsca na szeroką i żywą opowieść boju pod Chocimem. Ascetyczno-moralizatorskiéj tendencyi romans wierszem: „Nadobna Paskwalina“ (1656 r.?) zawiera w sobie obok przypomnień „Daphnis“ zapożyczony z „Jerozolimy,“ pomysł chaty pasterza, w któréj (jak zbłąkana Erminia) znajduje przytułek odbywająca pielgrzymkę pokutniczą Paskwalina. Podczas gdy Twardowski wcielił do swych utworów romantyczne, a w części czarodziejskie obrazy i postacie „Jerozolimy,“ to drugi utalentowany rymotwórca téj epoki, Wacław Potocki, przyswoił przeważnie rycersko-religijne czynniki. Być może, iż zapoznanie się z „Jerozolimą“ obudziło w wesołym ziemianinie małopolskim upodobanie do rycersko-romantycznych obrazów i skłoniło do skierowania pióra, wyrobionego na drobnych, żartobliwych wierszykach, do obrabiania romantycznych tematów. Przyjąwszy „Historyą Wirginii“ za najwcześniejszy z téj seryi utwór Potockiego, znajdziemy w niéj niewątpliwe oznaki wpływu „Jerozolimy“, zarówno w użyciu oktawy, jak i formie opowiadania

---

[1]) Szczegóły tego stosunku między „Daphnis“ a „Jerozolimą“ wykazałem w rozbiorze téj sielanki, pomieszczonym w „Tygod. Illustr.“ z 1882 roku (maj czerwiec).

i obrazowania. Scena egzekucyi Sofronii i Olinda posłużyła za wzór do obrazu śmierci Wirginii. Potocki, malując wrażenia widzów, powiada:

Tłum wszystko wzdycha albo cicho płacze —

w „Jerozolimie“ powiada Kochanowski:

Płakał też, ale skrycie lud wybrany.

Spotykamy dalej wyrażenie: „Te twoje emiry“, świadczące, iż poeta miał tu na myśli śmierć Sofronii z rozkazu sułtana i przeniósł stąd wyrażenie tureckie do stosunków rzymskich. Wpływ „Jerozolimy“ na „Argenidę“ i „Syloreta“ występuje, pominąwszy pokrewieństwo rycersko-romantycznéj osnowy, w formie oktawowéj przyjętéj w „Sylorecie“, wprowadzaniu rysów życia polskiego, obozowego i sejmikowego, do obcych i dalekich stosunków, wreszcie w sposobie opowiadania przygód rycerskich i malowania uczuć miłosnych (w „Sylorecie“ zwłaszcza).

Rzecz naturalna, iż w najważniejszym utworze Potockiego: „Wojnie Chocimskiéj“ znajdziemy liczne przypomnienia, pokrewnego treścią, uczuciami i pojęciami bohatérów, poematu o czynach pobożnego Goffreda i jego towarzyszów.

Forma oktawowéj strofki wydawała się zapewne Potockiemu za mało poważną, a zwłaszcza za zbyt krępującą i zniewalającą do żywéj opowieści sprzecznéj z nastrojem 50-letniego poety, wprowadzającego do poematu bohatérskiego formę i ton jowialny szlacheckiéj pogadanki, przeplatanéj od czasu do czasu poważniejszemi zwrotami satyrycznemi, religijnemi lub patryotycznemi. Bierze on z Tassa, wybornie ku temu przysposobione przez tłómacza, mowy. Kopią mowy Solimona (IX, 17, 19), usiłującego podnieść ducha w wojsku przez uwydatnienie słabości i nieudolności Krzyżowców, spotykamy w ustach Chodkiewicza, charakteryzującego w ten sposób Turków („Woj. Choc., 2 wyd., IV, 189), Przemowę Goffreda do szemrzących na brak żywności żołnierzy (V, 89), powtarza u Potockiego Sobieski (str. 253). Drugą jego przemową przed ostatecznym szturmem do Jerozolimy (XX, 14—20) i współczesną mowę Saladyna powtarza Chodkiewicz (284—6), któremu tak samo, jak Goffredowi, nadziemski blask oświeca postać.

Modlitwę Rajmonda (VII, 76, 79) znajdujemy w ustach Lubomirskiego (str. 291). Wywołuje ona ten sam skutek, co i pod Jerozolimą, a mianowicie interwencyą niebios wyrażającą się w zesłaniu archanioła Michała, o którego jednak udziale w boju nie umie nam nic poeta powiedzieć. Na wizerunek Chodkiewicza złożyły się rysy poży-

czone od Goffreda (pacierze odmawiane w namiocie) i cechy skrzywionego od starości, lecz rycerskiego mimo to Rajmonda.

Lubomirski przypomina znów Rynalda. Nawet stary Lipski, walczący w otoczeniu swych synów, ma jakby swój pierwowzór w Ardelionie, „dwu tuż przy sobie synów mającego.“ Kochanowski zamienił, jak zwykle czyni, plastyczny obraz oryginału na bezbarwne wyrażenie, otóż rzecz ciekawa, iż Potocki, jakby znał „Jerozolimę“ w oryginale, opowiadając o braciach Pisarskich, wyraża się:

. . . . obydwa boki bracią swą ustalił,
Jakby dwoma basztami . . . .

Co odpowiada słowom Tassa: „*Ardelio... di vecchierra indomita e munita di duo gran figli...* (III, 35).

Ciekawym przykładem, jak drobne nawet i bezbarwne rysy i obrazy „Jerozolimy“ przyswajane były przez poetów polskich, jest ustęp, w którym Tasso, malując rozruch wywołany w obozie przez podżeganie Argillana, przyrównywa wzburzenie namiętności żołnierskich do wrzenia wody, która podnosi się w naczyniu, pieni, bucha parą i rozléwa dokoła.

Kochanowski w przekładzie swym zamienia delikatne rysy i odcienia oryginału na grubo naszkicowany, niezdarny obraz:

Tak bywa w garcu, kiedy woda wrząca
Wewnątrz bełkoce u zawartéj dziury:
I nie mogąc się w sobie zmieścić, rąca
Wylewa na brzeg i pnie się do góry.

Otóż Potocki, w „Peryodach“ napisanych na śmierć syna, posługuje się tym obrazem dla odmalowania uczuć ojcowskich i rozwleka to porównanie na kilkanaście strofek. Woda jest u niego rosołem, piana szumowinami, w których poeta macza pióra dla skreślenia swego żalu.

Pokrewny Potockiemu uczuciami, upodobaniami i przekonaniami, drugi małopolski poeta-ziemianin, Kochowski, zostaje również pod wpływem „Jerozolimy“, nie w „Lirykach“ naturalnie, choć i tam można spotkać drobne pożyczki [1]), ale w dwu większych poematach. Że „Pieśni Wiednia wybawionego“ będą zbiorem skopiowanych z poematu Tassa obrazów i charakterystyk, tego można się było spodziewać. Rycerstwo Sobieskiego śpieszyło pod Wiedeń pod wpływem prawie tych samych uczuć i idei, jakie żywili w swych duszach Krzyżowcy. Sobieski ze swym zapałem, pobożnością i tkliwością ser-

---

[1]) Tak np. w wierszu „Zuzanna“ mamy zapożyczony rys z obrazu Armidy płaczącéj i budzącéj ognie jednocześnie (III, 76), stąd Kochowski mówi o biblijnej Zuzannie, „że ogień zajmuje się z wody.“

ca na wdzięki niewieście przypominał i Tankreda i Goffreda zarazem. Liczne analogie upoważniały i zachęcały niejako poetę do oparcia się w pracy, przechodzącéj zresztą jego siły, na gotowym już wzorze. Ktoby się jednak spodziewał, że apologia wierszowana Lubomirskiego, ów „Kamień świadectwa“ jest także w swym głównym pomyśle reminiscencyą „Jerozolimy.“ Rada piekielna, z udziałem Kallimacha, popierająca projekt partyi francuskiéj co do tronu polskiego, jest wierną kopią takiéjże narady duchów podziemnych nad sposobami obrony Jerozolimy przeciw Krzyżowcom. Porównanie użyte w 16-éj strofce poematu Kochowskiego, jest wzięte z innego znów miejsca „Jerozolimy“ (III, 45).

Możemy z wszelkiém prawdopodobieństwem przypuszczać, że trzeci poeta małopolski, Gawiński, pokrewny tak duchowo z poprzednimi, zostawał także pod urokiem „Jerozolimy“, choć w drobnych jego utworach, przeważnie lirycznych, prócz wzmianki jednéj w „Dworzankach“, możnaby tylko w pieśni „Do Jutrzenki“ upatrywać związek z obrazem poranku w „Jerozolimie“ (III, 1).

VII.

Śród martwoty duchowéj czasów saskich śledzić wpływ „Jerozolimy możemy jedynie w działalności Drużbackiéj i Lubomirskiego. Że autorka „Historyi o ks. Elefantyny“ czytała ten poemat, w szeregu nielicznych polskich utworów, którym zawdzięczała swe ukształcenie i uzdolnienie, tego rękojmią jest jéj stosunek z Załuskim, uważającym przekład „Jerozolimy“ za najważniejszy z polskich poematów. Brak jednak polotu wyobraźni, praktyczny, moralno-dydaktyczny nastrój jéj umysłu nie pozwolił śpiewaczce „Czterech pór roku“ i „Historyi o św. Dawidzie“ ocenić i zużytkować piękności poematu Tassa. Za to w poematach Stanisława Lubomirskiego („Tobiasz wyzwolony“ i „Aman poniżony“) spotykamy zarówno w formie oktawowéj, jak języku, obrazach natury, malowidłach uczuć, zjawisk nadziemskich, liczne odbicia wpływu „Jerozolimy,“ a w części i „Orlanda“ [1]).

Pod wpływem racyonalizmu i krytycyzmu reformatorskiego, cechującego światlejsze umysły z czasów Stanisława Augusta, uczucie i wyobraźnia uległy zacieśnieniu i przytłumieniu. Po dworkach szlacheckich czytują Argenidę, Syloreta i Jerozolimę, po dworach pań-

---

[1]) Wybitniejsze miejsca są: Zesłanie anioła Rafała (Pieśń III, 26 strof), obraz poranku (VII, 1 str.), podróż Tobiasza (VII, 2—10), obraz rumieniącéj się Sary (VII, 30—36) i inne.

skich i w stolicy francuscy pisarze i Krasicki dostarczają pokarmu i rozrywki umysłowéj. Trwałą sympatyą dla „Jerozolimy“ spotykamy tylko na dworze Czartoryskich. Posągi Tankreda i Kloryndy, stojące przed pałacem puławskim, i „Myśli o pismach polskich“ stwierdzają to upodobanie, oparte zresztą na górującéj w téj rodzinie uczuciowości, którą się odznacza zarówno księżna Izabella, jak jéj dzieci.

Jednakże gdy poeci z czasów Stanisława Augusta zechcą przedstawiać rycerskie czyny przeszłości, wypowiadać uczucia narodowe, wywołane wspomnieniami przeszłości, szukać oni będą w „Jerozolimie“ wzoru i formy.

Krasicki w „Wojnie Chocimskiéj“ jest wiernym naśladowcą Tassa, za którym postępuje krok w krok, jak niewidomy za swym widzącym przewodnikiem. Na nieszęście porozumienie między nimi jest prawie niemożebne, dla braku choćby słabéj łączności duchowéj. Nie mając tego rycersko-szlacheckiego zacięcia, którym pokrywa wielkie braki swego przekładu Kochanowski, daleki od marzycielskiego platonizmu, którym, jak błękitem włoskiéj atmosfery, Tasso przysłania i teatralną mechaniczność postaci świata nadziemskiego i jaskrawość namiętności ludzkich, nie mógł naturalnie twórca „Myszejdy“ podołać wymaganiom epopei rycerskiéj i stworzył bezbarwną kopią, w któréj zamiast rycerzy ukazuje nam figury bez wyrazu, deklamujące podpowiadane im frazesy.

Przedstawiciel wprost przeciwnego Krasickiemu kierunku, „poeta serca“ Karpiński, znalazł w poemacie Tassa zarys pomysłu do najpodnioślejszéj ze swych pieśni — „Żalów Sarmaty“, które w zawiązku mieści w sobie jedna ze strof „Jerozolimy“.

Drugim rezultatem takiego podbudzającego twórczość oddziaływania „Jerozolimy“ na rozczytujących się w niéj poetów polskich, są niewątpliwie „Śpiewy historyczne.“

Jak genealogia rodu książęcego w „Orlandzie“ posłużyła Janowi z Czarnolasu za wzór do znanéj pieśni „Kto mi dał skrzydła“, będącéj treściwą charakterystyką królów z rodu Piastów i Jagiellonów, tak podobnież naśladowana z „Ariosta“, opowieść o czynach książąt Esteńskich (XVII, 65—87), którą wygłasza starzec Rynaldowi („Ujrzysz w nich sławne i bitne twe dziady, ujrzysz ich męstwo z dziełami wielkimi... pobudź się synu, a bierz z nich przykłady“), dała niewątpliwie pochop Niemcewiczowi do upamiętnienia w popularnéj formie pieśni, wspomnień dziejowych. Przypuszczeniu temu nadaje cechę pewności szczegół, że właśnie w jednym z dwu najpierwéj ogłoszonych śpiewów, w „Dumie o Żółkiewskim“, znajdujemy na początku pożyczony od Tassa pomysł owéj zawieszonéj na krzaku „ku miesiącowi“ zbroi, na

któréj były wykute obrazy, przedstawiające dzieje rodu książęcego, opowiadane przez starca [1]). Nawet u Woronicza, tak dalekiego rodzajem talentu i nastrojem ducha od twórcy „Jerozolimy“, spotykamy w „Zjawieniu Emilki“ wpływ zespolony zarówno snu z „Trenów“, jak i ukazania się zmarłéj Kloryndy we śnie Tankredowi.

Sprawa dalszego rozwoju literatury skupiła w Towarzystwie przyjaciół nauk grono wybitniejszych ludzi. W gronie tych mężów, którzy uważali sobie za obywatelski obowiązek zbogacić piśmiennictwo narodowe mozolnie ukutemi przekładami, lub ciężkiemi naśladownictwami klasyków francuskich, znajdowali się, i to wpływowi bardzo mężowie, co zakres wzorowych literatur rozszerzali nieco, dopuszczając włoskich i angielskich nawet poetów. Niemcewicz, Czartoryski, Woronicz, Dmochowski reprezentowali tę lewicę obozu literackiego. Że i samo społeczeństwo sprzyjało więcéj pojęciom lewicy, świadczy wzmagające się znowu zajęcie dla „Jerozolimy“, wychodzącéj 1818 r. w Połocku (X pieśni tylko), 1820 r. we Wrocławiu i 1826 r. w Wilnie. Dotąd bowiem, mimo ponownego rozkwitu literatury w drugiéj połowie XVIII w., nie pojawił się utwór, któryby potrzebom wyobraźni i uczuć czynił zadość w tym stopniu i w tak narodowéj prawie formie, jak spolszczona „Jerozolima.“

I rycersko-narodowe i romantyczno-fantastyczne popędy młodych serc spotykały w „Jerozolimie“ jedyny polski poemat, odźwierciadlający tę stronę duszy. Sama forma oktawy, powabna, nawet w nieudolnym tak często przekładzie Kochanowskiego, język tak barwny, żywy, tak swą rubasznością i szorstkością odbijający sympatycznie od wypolerowanéj, bladéj polszczyzny współczesnych rymotwórców, musiały sympatycznie oddziaływać na młodych czytelników. Rzecz naturalna, że zapoznanie się z literaturą niemiecką i angielską oziębi entuzyazm dla bohatérów i bohatérek, cudowności i romantyczności „Jerozolimy,“ ale mimo to wpływ najwcześniéj na młodą wyobraźnię oddziaływających obrazów, a szczególniéj niczém nie zastąpiony wpływ języka, pozostaną i odbijać się będą w utworach największych mistrzów naszéj poezyi: Mickiewicza i Słowackiego.

U pierwszego wpływ ten najwybitniéj uwydatnia się w „Grażynie.“ Zarówno sama bohatérka, przypominająca wieloma rysami

---

[1]) Duma o Żółkiewskim ogłoszona w 1794 r. wraz z dumą o Stefanie Potockim p. t. „Dumy Polskie,“ rozpoczyna się obrazem księżycowéj nocy, śród któréj „rycerz żalem obciążony po bladym promieniu błyszczącą widzi stal pomiędzy krzaki. Był to hełm; na nim w zbyt drogim kamieniu, herb Żółkiewskiego i krwi drogiéj znaki.“

Kloryndę, jak i otaczające ją postacie, tło krajobrazowe, przemowy i dyalogi, wreszcie ciągle wracająca forma oktawowa i ten rycerski, rubaszny niekiedy język, noszą odbicie wpływu „Jerozolimy" i języka Kochanowskiego. W balladach i drobnych poezyach spotykamy również tak w obrazach, jak i języku liczne ślady tego wpływu [1]).

Słowacki, dzięki nieporównanéj łatwości i obfitości w wysnuwaniu, i malowniczém a oryginalném kombinowaniu obrazów, umiał tak szczęśliwie przyswajać i przekształcać cudze pomysły, że tylko potężne kreacye szekspirowskie opiérały się temu procesowi asymilacyi. Nie zapuszczając się w doszukiwanie śladów niewątpliwego wpływu „Jerozolimy" na twórczość—język zwłaszcza—Słowackiego, poprzestanę na zaznaczeniu pewnego pokrewieństwa, łączącego najpopularniejszy może utwór tego arcy-mistrza wyobraźni, poemat „W Szwajcaryi" z romantycznemi kreacyami Tassa. Miłość, któréj dzieje osłonięte tęczami górskich wodospadów i mgłami tajemniczych ustroni, opowiada osierocony kochanek, ma pewne powinowactwo z uczuciami Tankreda dla Kloryndy.

W obu sercach powstaje ona błyskawicznie, pod wrażeniem piękności dziewiczéj, ukazującéj się niespodzianie i w niezwykłych warunkach, olśniewającéj wyobraźnią jak meteor, po którego zgaśnięciu wszystko się koło nas szarém i bezbarwném wydaje. Ztąd pokrewieństwo w objawach żalu po utracie tego nadziemskiego zjawienia, ta tęsknota raczéj niż rozpacz, tęsknota, połączona z nadzieją spotkania utraconéj.

. . . . jeśliś jest gdziekolwiek na ziemi
Że cię gdzie najdę, jestem téj otuchy

mówi Tankred, który:

Lubo wieczorne lubo wstają ranne
Zorze, jéj woła, jéj płacze, jéj prosi.

Słowackiego kochanek podobnie tęskni i podobnie chce szukać téj co:

„Zniknęła, jak sen jaki złoty".

Są to ostatnie już potrącenia fali słabnącéj, nietyle w miarę przebytéj czasowéj przestrzeni, ile w miarę napotykania zawracających ją nowych prądów. Wobec potęgi uczucia, którém wezbrało serce Adama, czarodziejskich zasobów wyobraźni Juliusza, doniosłości idei nadających nowéj poezyi powagę moralnéj przewodniczki narodu, zbladły postacie i obrazy rycerskiéj idylli śpiewaka włoskiego. Usługi jednak, jakie ona oddała naszemu duchowemu rozwojowi, zastępu-

---

[1]) Szczegółowszé uwydatnienie wpływu „Jerozolimy" na „Grażynę" zawiera pomieszczona w niniejszém piśmie rozprawka („Ateneum," 1885, czerwiec).

jąc narodową epopeję, dostarczając poetom wzorów i podniet do twórczości samoistnéj, czytelnikom pięknych, szlachetnie czujących i działających postaci, obowiązują nas do wdzięczności dla jéj twórcy i dla społeczeństwa włoskiego, któremu winniśmy tyle pod względem umysłowego i obyczajowego rozwoju.

VIII.

Najwłaściwszym wyrazem naszéj wdzięczności będzie przyznanie, przez historyą literatury polskiéj, poematowi Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego, pierwszorzędnego stanowiska w rozwoju poezyi XVII wieku.

Ponieważ żaden z naszych źródłowych badaczów dziejów literatury, nie objął swą pracą wieku XVII, przeto znaczenie spolszczonéj „Jerozolimy“, jasne tak już dla Załuskiego, uszło uwagi późniejszych pokoleń. Podręczniki, wysuwając na pierwszy plan oryginalnych pisarzy, zostawiały w cieniu przekład Kochanowskiego, zbywany ogólnikowemi pochwałami. Przyznanie „Jerozolimie“ w historyi literatury polskiéj stanowiska, jakie ona zajmowała w samém życiu duchowém i twórczości poetyckiéj XVII w., rozstrzyga zarazem kwestyą rozgraniczenia czasowego zjawisk literackich tak zwanego złotego wieku od następującéj rozlicznie nazywanéj i oznaczanéj czasowo epoki. Pozostawiając na boku kwestyę nazwy, gdyż takowa musi być wynikiem zbadania i systematycznego ugrupowania zabytków literackich danéj epoki, zajmiemy się czasową granicą obu okresów.

Oznaczenie momentów zwrotnych w dziejach literatury polskiéj sprawiało i dotąd sprawia niemało kłopotu historykom i autorom podręczników. Posiłkują się oni przeważnie następstwami dynastyi a nawet pojedyńczych panowań, jak gdyby pojęcia i uczucia narodu zmieniały się razem z panującymi.

Ścisły związek między życiem politycznem, a odbijającém je piśmiennictwém, sprowadza w istocie niekiedy współczesność przekształceń polityczno-społecznych i umysłowych, to przecie nie daje podstawy do przenoszenia cech charakterystycznych jednego szeregu zjawisk na drugi i nazwy takie, jak wiek Leona X, Ludwika XIV, czasy Zygmuntowskie, mogą mieć swe uprawnienie, jako dogodne uogólnienia, jeżeli pod niemi rozumieć będziemy cały ogół zjawisk życia narodowego, w odniesieniu zaś do pewnéj grupy zjawisk, mogą być pożyteczne jako tymczasowe uogólnienie, które po naukowym rozbiorze danych pojawów, ustąpić musi nazwie, obejmującéj główne cechy charakterystyczne takowych.

Czasową granicą dwóch okresów literatury może być jedynie zjawisko koncentrujące w sobie cechy obce poprzedniéj grupie, a właściwe następnéj, pojaw, który zostaje w związku z wydatniejszemi zjawiskami danéj grupy, stanowiąc bodziec i wzór dla działalności pisarzów.

Kłótnia jezuitów z akademią krakowską i przewaga jezuickich szkół, są to pojawy, zostające w ścisłym związku z życiem duchowém społeczeństwa, ale nie należące do historyi literatury, tak samo, jak rokosz Zebrzydowskiego, wstąpienie na tron Zygmunta III, lub wojny kozackie, przyjmowane także za granicę Złotego wieku z siedemnastym. Wpływ szkół jezuickich był zapewne ważnym czynnikiem w przekształceniu duchowém narodu i odźwierciadlającém takowe piśmiennictwie, ale zmiany w systemacie nauczania mogą być tylko przedmiotem historyi szkół, któréj rezultatami posługiwać się winien historyk literatury tak samo, jak się posługuje rezultatami historyi politycznéj.

Ścisłego rozgraniczenia między dwoma okresami nie podobna przeprowadzić. Pomiędzy ostatniém wybitniejszém zjawiskiem kończącego się a pierwszym nowego okresu, istnieje peryod mieszanych drugorzędnych pojawów, które bez względu na ścisłość chronologiczną, historyk musi przyłączać do jednéj lub drugiéj grupy zjawisk, opiérając się na powinowactwie wewnętrzném.

Takim przejściowym peryodem pomiędzy XVI a XVII wiekiem są lata 1600 do 1618, od ogłoszenia „Worka judaszowego“, ostatniego wybitnego utworu, natchnionego ideami reformatorskiemi, do pojawienia się przekładu „Jerozolimy“, w któréj społeczeństwo polskie znalazło, obok obrazów, jakby własnego rycerskiego życia, odtworzenie religijnych i romantycznych aspiracyi, zaspokojenie potrzeb młodzieńczéj wyobraźni, a poeci piękny, pożądany wzór i żywą podnietę twórczości.

„*Rex polonorum poematum*“, mówiąc słowami Załuskiego, ma prawo, jako najwcześniejsze, najwydatniejsze i najdonioślejsze zjawisko literackie, zajmować piérwsze, wytyczne stanowisko w dziejach poezyi XVII wieku.

Bronisław Chlebowski.





Wystawa przemysłowo-rzemieślnicza
W WARSZAWIE.

Cudzoziemiec, któryby, znajdując się w Warszawie, zechciał zwiedzić „Muzeum przemysłu i rolnictwa“, zostałby niezmiernie zdziwionym. Nie znajdzie tu bowiem nic z tego, co spodziewał się zobaczyć. Od instytucyi, noszącéj miano „Muzeum“, wszędzie, po za granicami kraju naszego, wymaganém bywa, aby posiadała odpowiednie do swego tytułu zbiory. Nasza instytucya, niestety, posiada dotychczas jedynie gmach bardzo okazały, tytuł i... prawo urządzania wystaw.

Czy winę téj anomalii wrzucić należy całkowicie na barki tych, którzy, odczuwając potrzebę takiéj instytucyi, poświęcili znaczne nawet kapitały na urządzenie bogatych, wspaniałych sal, zamiast na gromadzenie zbiorów, jakie istotnie przyniosłyby znakomite rezultaty? Na pytanie to odpowiedzieć wypada twierdząco, jakkolwiek nieliczne grono obywateli, zajmujących się szczerze ufundowaniem pożytecznéj bezwątpienia rzeczy, może zrobić taką słuszną, do pewnego stopnia, uwagę:

„Myśmy zbudowali siedzibę. My—to jeszcze nie wszyscy. Niechże więc ci inni, których przecież nie mało, dokończą tego, cośmy tylko zaczęli.“

Tłómaczenie takie ma racyą, jeśli jesteśmy przekonani, iż to, co przypuszczamy, posiada wszelkie dane do urzeczywistnienia. W tym wypadku przypuszczenie to, jeżeli, ma się rozumieć, istniało, nie ziściło się ani na jotę. I z góry to przewidzieć można było. Jak było przed ośmiu laty, tak jest i dzisiaj: tytuł istnieje, ale treści ani trochę.

Nie myślimy tutaj dyskredytować téj pożytecznéj instytucyi, pragniemy bowiem, aby żyła całą pełnią życia, pobudzała innych do ru-

chu, była pomocnicą i drogowskazem dla tych, których pod swe opiekuńcze skrzydła wziąć powinna, a którzy często, idąc po omacku, wstępują na bezdroża. Zwracają się tu mimowoli oczy nie na wielki przemysł, który, rozporządzając wielkim kapitałem, sam sobie daje zawsze radę, lecz na drobny i rzemiosła. We wszystkich ucywilizowanych krajach dziś takie instytucye istnieją i działają, a działalność ich jest niezmiernie w skutkach dobroczynna. Nie będziemy przykładów przytaczali, przypomnimy tylko interesowanym muzeum w Stutgarcie, któremu warto się przyjrzéć z powodu rezultatów, do jakich doszło. Mamy nadzieję, jakkolwiek słabą, że poruszenie sprawy téj w prasie, która z takiego punktu nie spoglądała na Muzeum, może miéć tylko dobry skutek: zwróci uwagę na braki instytucyi i nawet... wywoła ochotę ku ich usunięciu. Tego pożądamy.

Tymczasem życie Muzeum płynie nieprawidłowo; — śpi ono zbyt wiele i przebudza się zaledwie kilka razy na rok, kiedy w murach jego odbywają się wystawy. Wtedy grobową ciszę w salach zastępuje gwar ludzkich głosów, a zamiast pająków, snujących po kątach swą delikatną przędzę, spotykamy przemysłowców i rzemieślników, okazujących swoje wyroby, rolników—produkty i t. p.

Niektórzy, pesymiści, widzą i w téj działalności złą stronę; twierdzą oni, iż Muzeum przyczyniło się do rozwoju wystawomanii, gdyż zbytnio hołduje wystawom, które ostatecznie szkody nie przynoszą, ale téż i wiele dobrego zrobić nie mogą. My jednak potępiać tego wcale nie zamierzamy, widzimy bowiem w tém do pewnego stopnia dowód żywotności.

Z odpowiednim hamulcem i wskazówkami wystąpiło już do Muzeum warszawskie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, które zauważyło, iż ogólne wystawy, przeważnie rzemieślnicze, zanadto często się odbywają, a same programy wystaw nie są zbyt rozważnie układane. Istotnie, przemysł nasz i rzemiosła nie rozwijają się tak szybko, ażeby rok jeden lub dwa, trzy nawet lata były dostatecznym okresem, w którym możnaby zauważyć postęp. Wystawy same mogą się odbywać nawet tak często, jak dotychczas, niechże jednak będą więcéj specyalizowane. Wtedy bowiem pomiędzy jedną a drugą specyalną wystawą upłynie więcéj czasu, który pozwoli na lepsze uwydatnienie się postępu w danéj gałęzi, a publiczność będzie więcéj zainteresowana niemi, niż dotychczas. Z publicznością zaś liczyć się trzeba, gdyż od niéj bezpośrednio zależy powodzenie wystawy.

Pod adresem właśnie poważniejszéj części naszéj publiczności ślemy kilka uwag poniższych, które mają na celu uwidocznić dobrą stronę wszelkich wystaw.

Aby można było wskazywać nowe kierunki, ulepszać, wydoskonalać, do czego wszyscy dążyć winniśmy, musimy najprzód poznać, jak sama rzecz dzisiaj wygląda, w jakim znajduje się stanie. Bez takiego poznania, sprawdzenia wszystkie wskazania i projekty posiadać muszą nader wątpliwą wartość, gdyż pozbawione są poważnego punktu wyjścia, nie mają trwałéj, mocnéj podstawy. To poznanie ułatwiają wystawy, gromadzące na jedném miejscu rozliczne produkty i wytwory pracy ludzkiéj.

Następnie, pomiędzy uprawiającymi jakąkolwiek gałąź przemysłu, czy rzemiosła, znajdują się jednostki, które lepiéj od innych zbadały swój fach. Takie jednostki, ma się rozumiéć, korzystają ze zdobytéj wiedzy i wprowadzają rozmaite ulepszenia i udogodnienia, jak w samych wyrobach, tak téż i w sposobach wykonywania. Mniéj uzdolnieni fachowo, nie będąc w stanie, przy pracy na kawałek chleba, szukać gdzieindziéj nauki, napewno skorzystają wiele, ucząc się na wyrobach swoich zdolniejszych i zasobniejszych w wiedzę współtowarzyszów. Nikt ich do fabryki, ani warsztatu jedynie dla oglądania nie wpuści, więc pozostają im tylko wystawy.

Daléj, wiemy o tém dobrze, że zagranica w wielu gałęziach przemysłu stoi istotnie daleko wyżéj od nas; dla zdobycia rynków handlowych przysyła ona, jakkolwiek w ostatnich zwłaszcza czasach bardzo niewiele, swoje wyroby na nasze wystawy. W tym wypadku poznajemy, a przynajmniéj poznać możemy, czego brak naszym przemysłowcom, na co mają oni zwrócić specyalną uwagę. To również ma wielkie znaczenie.

Wreszcie, nauka, praca i zdolności przemysłowca i rzemieślnika, ujawnione w wyrobach i sposobach produkowania, powinny znaleść pewną, że tak powiemy, nagrodę, z jednéj strony w odznaczeniu, dokonaném przez sprawiedliwych sędziów-specyalistów, z drugiéj — w poparciu lepszych wytwórców przez kupujących. Oceny te mogą być zrobione jedynie na wystawach. Nadto, wyróżnienia wielki wpływ mają na zdobywanie rynków handlowych, o które przecież powinno nam chodzić.

Uwagi te, zdaje się, są w stanie przekonać, iż na wystawy należy poważniéj, aniżeli przywykliśmy, patrzéć. W braku innych skuteczniejszych i pożądańszych środków powinniśmy ten spożytkować należycie.

Po tych kilku słowach wstępnych, które dla rozmaitych racyi uważaliśmy za stosowne umieścić, przechodzimy do przejrzenia ostatniéj wystawy w Muzeum przemysłu i rolnictwa, zatytułowanéj „W y s t a w ą w y r o b ó w r z e m i e ś l n i c z y c h, o r a z p r z e d m i o t ó w,

wchodzących w zakres handlu wywozowego, która otwarta została w pierwszéj połowie marca r. b. Zatrzymywać się będziemy jedynie nad wybitniejszymi okazami, gdyż opisywać wszystkie byłoby bezużytecznem.

Przedewszystkiem każdy, zwiedzający wystawę, stara się odpowiedzieć, nawet mimowiednie, na pytanie: jakie też zrobiła ona wrażenie? Otóż, wszyscy, którzy — na podstawie doniesień dzienników, notujących skwapliwie i nieustannie wszystkie podawane deklaracye i zawiadamiających o braku miejsca, o niezwykłém ożywieniu—przedstawiali sobie wystawę, jako coś nadzwyczajnego i dotąd niebywałego, doznali, według wszelkiego prawdopodobieństwa, małego rozczarowania, jak to zdarzało nam się nieraz z ust zwiedzających słyszeć.

Takie powiększanie danego faktu, wywołujące z konieczności pewne niezadowolenie, nie mogło pomyślnie odbić się na wystawie, która, nie bacząc na rozmaite braki, warta była zwiedzenia. Nie należy dla zwabienia publiczności uciekać się do szumnéj reklamy, która w takich wypadkach jedynie zaszkodzić może. Braki, o których wspomnieliśmy, głównie zasadzają się na tém, że niektóre gałęzie przemysłu i rzemiosł bądź bardzo nielicznie, bądź też wcale nie były reprezentowane.

Potwierdzenie tego znajdujemy zaraz w pierwszym dziale, który zawierał wyroby stolarskie, snycerskie i tokarskie, i od którego przegląd swój zaczynamy. Zdawałoby się, że liczebnie stolarstwo zabije te dwie inne gałęzie, a tymczasem stało się wprost przeciwnie; znajdujemy bowiem tylko dwu przedstawicieli tego rzemiosła: jednego z Warszawy, drugiego z Łomży. Dlaczego tak się stało? Przecież sama Warszawa liczy poważną ilość majstrów, a nadto rzemiosło to należy u nas do bardzo rozwiniętych. Fakt, niby dziwny, znajduje tłómaczenie w tém, iż stolarze nasi, pomimo chęci i uzdolnienia fachowego, muszą robić przedmioty skromne i tanie, często nawet z nieuniknionemi usterkami technicznemi. Wyroby takie wywołane zostały konkurencyą z przeróżnymi partaczami i wymaganiem publiczności, która żąda, aby wszystko było tanie, — nie mogą zaś wcale świadczyć o tém, co dany warsztat jest w stanie wykonać. Meble okazowe, które, ze względu na swoje zalety, kwalifikowałyby się na wystawę, kosztują bardzo drogo, gdyż składa się na nie praca nietylko stolarza, lecz i tokarza, rzeźbiarza, tapicera, a nawet ślusarza i kamieniarza, których trzeba opłacić,—a tu kapitału nie ma. Możnaby sobie dać radę, gdyby była pewność, że będą one sprzedane na wystawie; praktyka jednak wskazuje, że powracają one do warsztatu. Jest to jedyna przyczyna, dla któréj stolarze coraz rzadziéj biorą udział w wystawach.

Jedyny na obecnéj wystawie stolarz z Warszawy, p. Kaczorowski, okazał: szafę dębową, łóżko orzechowe, 3 krzesełka, trzymane w stylu francuskim (Ludwik XIV, XVI i renesans). Ta szafa, bardzo pięknie wykonana, jest wymownym dowodem słów powyższych: znajdowała się na poprzednich wystawach, a dotychczas nabywcy nie znalazła. Wszystkie przedmioty, zaprodukowane przez wystawcę, świadczą dobrze o jego znajomości fachu i guście estetycznym, którego brak wielki wogóle czuć się daje pośród naszych rzemieślników.

P. Witkowski z Łomży nadesłał biurko jesionowe, które pod względem wykończenia i kształtu nie pozostawia wiele do życzenia; wybór jednak materyału szczęśliwym nazwać nie można, zwłaszcza wobec upodobań dzisiejszéj publiczności. Do wyrobów stolarskich, fabrycznym sposobem wykonywanych, należą posadzki, nadesłane przez T. Kammerera z Łodzi. Piękne i gustowne desenie, właściwe dobranie gatunków drzewa i dobre wykonanie zalecają te wyroby. Jeżeli dodamy jeszcze do tego meble gięte, wystawione przez p. Lessela ze Zwierzyńca, i właściwie nie należące do stolarszczyzny, jako wyrób fabryczny, będziemy mieli całkowitą listę. Z pośród tokarzów najokazaléj wystąpił p. J. Kessner. Wyroby jego odznaczają się wykończeniem i dokładnością, co stwierdzić można na kulach bilardowych, których wyrabianie stanowi specyalność jego zakładu. Nadto zasługuje na wyróżnienie tém, że przedstawił właściwą produkcyę tokarskiego warsztatu. Nie można tego powiedzieć o p. Jamiołkowskim, który zawiele wystawił przedmiotów, nie mającym nic wspólnego z tokarstwem, a do takich zaliczyć trzeba: ramki, pudełka, kałamarze, tacki i t. d. A przecież możnaby z wielką korzyścią dla siebie i innych zaprodukować galanteryę prawdziwie tokarską, jak również części składowe mebli. Szczególniéj takich rzeczy, jak: nogi do krzeseł, stołów, wazony, filary, gałki, rozety do firanek, wieszadła, gzymsy do portyer i t. p., — napróżno szuka się na wystawie, jakkolwiek należą one do wyrobów tokarskich. Do nich należą również laski i gałki, których bardzo obfitą kolekcyą przedstawił p. Plage.

Do tegoż działu pierwszego zaliczonemi zostały i inne wyroby z drzewa, jak np. bednarstwo, którego jedynym przedstawicielem jest p. Waliszewski, znany już z poprzednich wystaw i nagradzany na nich. Tym razem wystąpił on skromnie, gdyż przedstawił jednę beczułkę, doskonale zbudowaną przez jego syna po 1½-rocznéj praktyce warsztatowéj. Oprócz tego okazał on próby wiórów, wyrabianych przez niego sposobem maszynowym; służą one do filtrowania piwa, octu, wina i t. p. Dotychczas wióry takie (co niezmiernie nas zadziwiło) sprowadzane były z zagranicy, a ceny ich były 4 razy większe od dzisiej-

szych, pobieranych przez wystawcę; wióry wyrabiane na miejscu w niczém nie ustępują zagranicznym. Podobny do tego produkt— wełnę drzewną wystawił hr. Potocki z Jabłonny; wełny téj również dotychczas nikt nie wyrabiał, jakkolwiek bardzo dobrze nadaje się ona do wyścielania sienników, mebli, a jest nieocenionym materyałem do wszelkiego rodzaju opakowań. W tym dziale również znajdujemy korki do butelek, z któremi wystąpiły dwie fabryki warszawskie i jedna z Łodzi. Ta ostatnia, należąca do p. Krolla, przedstawiła nadto płaskorzeźby z korka, które rzeczywiście odznaczają się dokładnością wykonania i nawet pewnym artyzmem. Wyroby takie, naszém zdaniem, żadnéj przyszłości mieć nie mogą, jako rzeczy jedynie amatorskie; nadto cena ich nie jest wcale przystępna.

Po za tém spotykamy przyczepione do tego działu, zupełnie niesłusznie, wyroby szczotkarskie i tapicerskie; drzewo służy w nich za materyał jedynie pomocniczy i może być zastąpione przez inny. Z wyrobami pierwszéj kategoryi wystąpiły firmy prowincyonalne: Erchard z Łomży i Jędrzejewski z Płocka. Wszystkie przedmioty odznaczają się dobrocią materyału i wcale dokładném wykończeniem. Tapicerstwo zaś reprezentuje Wiktor z Warszawy, który wystąpił z meblami własnego pomysłu. W tym razie mniejszą rolę odgrywa samo tapicerstwo, jakkolwiek i ono dobrze świadczy o firmie. Niektóre pomysły zaś uważać można za wcale szczęśliwe; taki np. fotel, który daje się zamienić w kozetę i łóżko, może być bardzo przydatny dla młodego lekarza lub prawnika, którzy w początkach swéj karyery nie mogą utrzymywać większych lokalów. To samo powiedzieć się da o tureckiém krześle, które jednocześnie jest umywalnią. Daleko mniéj chyba znajdzie zastosowania otomana, z któréj można zrobić 2 łóżka razem zestawione. W każdym razie wszystko to dobrze świadczy o wystawcy, który nie trzyma się raz utartéj drogi, lecz poszukuje nowych ścieżek.

Dział drugi, obejmujący wszelkiego rodzaju wyroby z metalów, jest najobficiéj ze wszystkich w okazy godne widzenia zaopatrzony. Oddając tu należyty hołd staraniom znanych ogólnie firm pp. Frageta, Norblina i Wernera, które znakomicie swoje wytwórstwo przedstawiają, musimy zaznaczyć, że oprócz przedmiotów, należących do zbytkownych, o czem mogłaby zaświadczyć sama ich cena, okazały one wyroby, służące do codziennego użytku. Z małemi wyjątkami odznaczają się te wyroby wielkim gustem.

W dziale tym jednak liczebnie pierwsze miejsce zajmuje ślusarstwo. Tak być powinno, gdyż oddawna gałąź ta wytwórstwa naszego jest uprawianą i doszła do świetnego, rzec można, rozwoju. Biorąc na

uwagę sposób wykonywania przedmiotów: maszynowy (fabryczny) i ręczny (warsztatowy), a zarazem pewne specyalne piętno, jakie widzieć się daje na tego rodzaju wyrobach, śmiało palmę pierwszeństwa oddajemy p. Szewczykowskiemu, którego wyroby ślusarskie artystyczne prawdziwym artyzmem się odznaczają. Stosunkowo niewiele przedmiotów, wyrobionych przez siebie, a raczéj w swoim warsztacie, przedstawił on do oceny sędziom i publiczności, lecz wszystkie za to świadczą o świetnych rezultatach, do których przy staraniach, zdolności i pracy dojść może nasz rzemieślnik. Jeden taki ekran w stylu Ludwika XIV, doskonale we wszystkich szczegółach wykończony, znalešćby powinien odpowiednie odznaczenie nawet na wszechświatowéj wystawie. Pewien sędzia wystawy, a zarazem niepospolity znawca tego rodzaju wyrobów, w rozmowie z niżéj podpisanym zauważył, że posiada ten ekran jednę kardynalną wadę: został oceniony i sprzedany za rs. 250, gdy tymczasem wart jest rs. 500. Jakkolwiek istotnie wyroby prawdziwie artystyczno - rzemieślnicze zjawiają się u nas rzadko, ta okoliczność nie może źle mówić o wystawcy. Oprócz tego, tenże wystawca dał zawiasy i zamek w stylu gotyckim, nie pozostawiające nic do życzenia, kufereczek z okuciem, ramę, kraty, lichtarze i t. p., które wcale nie psują wrażenia, wywołanego przez ów ekran. Na pochwałę wystawcy to jeszcze nadmienić wypada, że kształci sam bezpośrednich wykonawców, a nigdy nie ucieka się, nawet w razie potrzeby, do pomocy zagranicy, jak to czynić są zmuszeni inni uprawiający ten odłam ślusarstwa.

Z podobnemi wyrobami wystąpiła również znana z innego względu firma p. Gostyńskiego i sp.. Jéj dwie latarnie, zdobne w bogate motywa roślinne, nie pozostawiają nic do życzenia; najbogatszy jednak i największy jéj wyrób, mianowicie żyrandol kościelny, nie może w żadnym razie zadowolić estetycznych wymagań: najwięcéj razi tutaj połączenie dolnych lichtarzów z główną częścią żyrandola, a nadto liście, umieszczone na wielkiéj obręczy, należycie się nie tłómaczą. Po za tém firma ta cieszy się zasłużoną opinią, gdyż wprowadza po kolei coraz to nowe wyroby, które bywały sprowadzane z zagranicy; do takich należą: wyrób kłódek, łóżek żelaznych, welocypedów i t. p. Ponieważ przemysł nasz, nie bacząc na wszelkiego rodzaju nawoływania, dotąd nie odznacza się w ogóle zbytnią ruchliwością, nie szuka wcale nowych dróg, przeciwnie trzyma się usilnie raz wyżłobionych kolei, więc téż téj firmie powinniśmy oddać należne uznanie, gdyż istotnie ani na chwilę w swych zabiegach nie ustaje.

Mniéj więcéj do tegoż artystycznego działu ślusarstwa należy szkatułka z żelaza kutego, laubzegowéj roboty, wykonana przez pana

Świątkowskiego; jest ona dobrze wypracowana. Szkoda tylko, że wystawca więcéj tego rodzaju swoich wyrobów nie nadesłał, gdyż jeden przedmiot nie może nigdy świadczyć o rzeczywistéj umiejętności.

Ze ślusarstwem prostém, że się tak wyrażę, wystąpiło aż trzech wystawców: jeden z Warszawy (p. Ogórkiewicz) i dwaj z prowincyi (pp. Blekicki z Płocka i Szefer z Łomży. W ogóle wyroby ich są dobrze wykonane, lecz po za przyjęty szablon nie wychodzą—nic więc o postępie tego fachu nie świadczą; a szkoda to wielka, gdyż zagranicą w tym dziale już niejedno ulepszenie zaprowadzono. Jako t. z. ostrogarz wystąpił p. Ługowski, który znów gruszek w popiele nie zasypia, więc téż wszystkie jego wyroby, odnoszące się do sportu i zaprzęgów, przedstawiają się wcale nieźle. Również do sportu, lecz welocypedowego, służą wyroby p. Weikerta z Łodzi, który uważał za stosowne wystąpić jako współzawodnik zagranicy, skąd jeszcze do téj pory sprowadzane bywają dwu- i trzykołowce. Zawiadomienia, umieszczone na niektórych z tych pojazdów, świadczą, iż doskonale wytrzymały one wielkie podróże i nawet wyścigi.

Z wyrobami drucianemi wystąpiły trzy firmy: Edm. Chrzanowskiego, Albrechta i Wasilewskiego. Pierwsza z nich, nagradzana niejednokrotnie u nas, a także i zagranicą (w Brukselli i Paryżu), okazała rzeczywiście wielkie bogactwo swych wyrobów. Mamy tu siatki wszelkiego gatunku, od najdrobniejszych do najgrubszych, maski, ekrany, zasłony, ogrodzenia, wycieraczki do nóg i t. p. Wszystkie przedmioty pod względem wykonania i pomysłu zasługują na istotne odznaczenie, témbardziéj, że wszelkie ulepszenia, zaprowadzone zagranicą, tu się również spotykają. Ta wyjątkowa obfitość i dobroć wyrobów ściągnęła na wystawcę zarzut, jakoby niektóre z nich sprowadzane były przezeń z zagranicy, a nie wyrabiane na miejscu. Specyalni jednak delegaci komitetu wystawy przekonali się na miejscu, w fabryce, iż zarzut ten niema najmniejszéj racyi: wystawca w obecności ich wykonywał wszystko, czego zażądali. W obec tego trzeba przypuścić, że zarzut ten podszepnęła zawiść. Smutne to, lecz niestety, prawdziwe; to tylko dobrze, że p. Chrzanowski nic na tém nie stracił.

Wyroby nożownicze miały dwóch przedstawicieli: pp. Bieńkowskiego i Gerlacha, z których pierwszy bardzo okazale wystąpił. Znajdujemy tu wszystko, czém tylko przemysł nożowniczy pochwalić się może i wszystko, powiédzmy szczerze, wykonane doskonale. Spodziewać się tego należało od firmy, która od tylu lat cieszy się zasłużonėm uznaniem.

Niezmiernie bogato i obficie wystąpił p. Serkowski, fabrykant lamp. Wyroby takie w znacznéj ilości były bądź sprowadzane do nas

z zagranicy, bądź też przez cudzoziemców u nas wykonywane. Za zasługę więc, która znalazła odpowiednią nagrodę, oznaczoną przez sędziów, poczytać należy wystawcy tak znakomite postępy, jakie w dziale tym bezsprzecznie wykazał. Znajdujemy tu nie naśladowanie obcych wzorów, co nie jest zbyt trudném do przeprowadzenia, zwłaszcza przy posiadaniu odpowiednio wielkiego kapitału, lecz pewne samoistne rzuty, które na całéj produkcyi odbiły się dodatnio, tembardziéj, że pod względem estetycznym już zdołały wyrobić sobie należne uznanie. Szczególniéj w tym wypadku zwraca na siebie uwagę piękny odlew składowych części lamp, jak również ta okoliczność, że wystawca nadesłał nietylko drogie, lecz i tanie lampy.

Z innego powodu na zaznaczenie zasługuje działalność p. Sulistrowskiego, który wystawił: wyroby galanteryjne metalowe, elektrotechniczne, jak dzwonki, przyciski i t. p., korki, gilzy do nabojów i zabawki dziecinne. Jakkolwiek z jednéj strony tyle rozmaitych wyrobów obudziéby mogło pewne powątpiewanie, ażali wszystkie są raczéj po dyletancku traktowane, jednak z drugiéj strony słuszność powiedziéć każe, iż tak nie jest. Odpowiednio dobrani pracownicy nadają wyrobom wszelkie cechy należytego wykończenia.

Na zamknięcie tego działu pozostawiłem umyślnie dwa wynalazki: jeden z nich może być zaliczony do pomysłów, które nigdy szerszego znaczenia mieć nie będą—jestto więc sztuka dla sztuki; drugi zaś, niewątpliwie, prędzéj czy późniéj doczekać się musi tego, iż należycie oceniony zostanie. Pierwszy z nich, chociażby dla swego oryginalnego pomysłu, wart jest bliższego rozpatrzenia. Wystawił go zakład pana Woronieckiego, zegarmistrza. Jestto zegar sztuczny, a raczéj połączenie dwu zegarów: kieszonkowego i stołowego, które wspólnie działają zgodnie i dokładnie. Zegar stołowy mieści w sobie tylko połowę zwykłego zegara, t. j. mechanizm bijący, i bez umieszczenia zegarka kieszonkowego w odpowiedniém łożysku ani bije, ani téż wskazuje godzin. Zegarek kieszonkowy, po za zwykłemi częściami, posiada specyalną, ukrytą mechanikę pobudzającą, która w odpowiednich chwilach porusza zegar stołowy. Takie połączenie wymagało niezwykłéj dokładności wykonania, a zarazem świadczy dobrze o pomysłowości twórcy, którym jest p. Kwaśniewski, współpracownik zakładu.

Bez porównania większe znaczenie miéć musi wynalazek p. A. Nawrockiego, wystawiony i wyrobiony przez p. St. Żerańskiego, który ostrzega o wszelkich niebezpiecznych zmianach w kotle parowym. Szczególniej w ostatnich czasach mieliśmy bardzo wiele wypadków wybuchu kotłów parowych, które pociągnęły za sobą śmierć lub kalectwo znacznéj liczby osób, znajdujących się w pobliżu. Tego rodzaju

wybuchy były przeważnie skutkiem bądź niedozoru, bądź téż nieprawidłowego działania klapy bezpieczeństwa. W takich wypadkach dotychczas znane przyrządy niewiele pomagały; zapobiega zaś im stanowczo wynalazek p. Nawrockiego, gdyż nietylko że daje znać o zbliżającém się niebezpieczeństwie bezpośrednim dozorcom kotłów, lecz nadto czyni to samo w kantorze fabryki, lub téż w miejscu, gdzie tego sobie życzymy. Nie możemy szczegółowo opisywać tego cennego wynalazku, zaznaczymy tylko, że alarmuje on, kiedy ciśnienie przechodzi oznaczoną granicę w jednym lub drugim kierunku, a również kiedy w kotle jest wody zawiele, lub zamało. Mamy niepłonną nadzieję, że przemysłowcy nasi napewno z niego skorzystają, a tém samém zmniejszą niebezpieczeństwo utraty życia lub kalectwa, na które dotychczas tylu ludzi było narażonych.

Przechodząc do rozpatrzenia się w dziale trzecim, który zawiera rymarstwo, szewctwo, siodlarstwo, rękawicznictwo i galanteryę ze skóry, zaczniemy od najbardziéj upośledzonego z pośród nich rzemiosła—szewctwa. Zaczniemy od niego dlatego, że znajdujemy tu wyroby p. Hiszpańskiego, które są prawdziwemi cackami. Zdawałoby się co najmniéj dziwnem nazywanie cackami butów, kamaszów, trzewików i t. p. obuwia—ten jednak tylko może w to nie uwierzyć, kto nie widział i nie brał do ręki wyrobów Hiszpańskiego, który wystawił aż 37 gatunków okrycia nogi. Wyrobów tych nawet nie można porównywać z wyrobami jego współtowarzyszów, jak to słusznie zaznaczyli sędziowie, udzielający nagrody. Zakład ten należy bez wątpienia do pierwszorzędnych nietylko u nas, a nadto wszystko, co potrzeba z dodatków, wykonywa u siebie. Ta firma może reprezentować nasze szewctwo, które bądź co bądź zyskało sobie na rynkach zbytu należne uznanie. Szkoda tylko, że inni wystawcy daleko stoją po za tą przodującą firmą i nie starają się dorównać jéj dobrocią wykonania i materyału, że już nie wspomnimy o elegancyi. Nie mówimy tu o prowincyi, która w ogóle niezłe obuwie nadesłała i która znajduje się w innych warunkach, niż Warszawa. Jakkolwiek p. H., jak powiedzieliśmy wyżéj, wszystko u siebie, w zakładzie, wykonywa, jednak w ogóle szewctwo podzieliło się na kilka specyalności; a jedną z nich jest t. z. kamasznictwo, t. j. przygotowywanie wierzchów, bez podeszew. W téj specyalności wybitne stanowisko na wystawie zajęła p. Raczkowska, któréj wyroby oprócz dobrego wykonania, odznaczają się wielkim smakiem i przystępną ceną.

Rymarstwo i siodlarstwo znalazło licznych na wystawie przedstawicieli, z których pierwszeństwo należy się p. Blumenbergowi za niezmiernie dokładne wykończenie wszystkich przedstawionych wyro-

bów, które należą do trudniejszych w tém rzemiośle, jak szory i uprząż na konia, kilka siodeł, kuferki i woreczki ręczne. Dobór materyału idzie w parze z wykończeniem; a wszystko razem świadczy, iż firma nie spoczęła na zdobytych poprzednio laurach, lecz wciąż się rozwija. Również zaszczytna wzmianka należy się pp. Ziemskiemu i Wódarskiemu. Gałąź ta wogóle jest doskonale u nas rozwinięta i dziwić się jedynie należy tym, którzy jeszcze sprowadzają takie wyroby z zagranicy. Trudno tu, co prawda, kogokolwiek ograniczać, w każdym jednak razie szkoda wielka grosza, który od nas zupełnie niepotrzebnie wychodzi.

Rękawicznictwo znalazło godnego reprezentanta w p. Michalskim, który wystawił wszelkiego rodzaju wyroby, w zakres jego specyalności wchodzące. Wyroby te świadczą o zamiłowaniu do swego fachu, a zarazem o pomyślnych rezultatach pracy i zabiegów. Oprócz niego wystąpiło jeszcze dwu fachowców z Warszawy (pp. Kunicki i Malinowski) i jeden z Łomży (p. Jarnuszkiewicz), których wyroby dają dobre świadectwo o postępie tego rzemiosła u nas.

W kilku pismach, zwłaszcza w ostatnich czasach, zwracano słuszną uwagę na zbyt słaby rozwój galanteryi skórzanéj, która sprowadzana jest z zagranicy, a jednak mogłaby śmiało liczyć na wywóz, szczególniéj na rynki wschodnie, które wiele jéj potrzebują. Z wyrobami tego rodzaju, nawet odznaczonymi dosyć wysokiemi nagrodami, spotykamy się na wystawie obecnéj. Czy świadczyć one mogą o tém, że nawoływania nie były bezskuteczne? czy istotnie ta gałąź wytwórstwa już zaaklimatyzowała się u nas? Na pytania te odpowiedzieć trzeba przecząco, niestety! Dla usprawiedliwienia tego sądu powiedzieć musimy, iż zakłady te sprowadzają z zagranicy: w znacznéj ilości materyał surowy, prawie w całości okucia, robotników-specyalistów i modele. Wobec tego, czyż honorowanie kapitalistów, którzy jedynie dla dobrych odsetek w taki sposób zużytkowywują swe pieniądze, nie należy nazwać bezcelowém? Zasługą jedynie nazywać możemy, oprócz osobistéj pracy, wykształcenie rzemieślnika-wykonawcy, pomysłowość w wytwarzaniu modelów, korzystanie z miejscowéj produkcyi i pomoc ku jéj rozwinięciu; jako taką należy ją nagradzać. Nagradzanie zaś za to, że kapitał dobrze procentuje, jest co najmniéj naiwném. Po za tém, z pośród wystawców trzeba oddać pierwszeństwo p. Grossglückowi, którego wyroby rzeczywiście odznaczają się dobrém wykończeniem.

Białoskórnictwo ma u nas dobrą, że tak powiem, markę, rozwijało się pomału, ale pomyślnie. Nie więc dziwnego, że p. Piskorski zwrócił na swoje wyroby powszechną uwagę; cała jego produkcya od-

znacza się wielkiemi zaletami, a jest dosyć obszerna. Również słuszność nakazuje wspomnieć o p. Niemyskim, p. Soleckim (wyroby surowcowe) i p. Wegnerze, który produkuje dobre pasy transmisyjne.

Na tych trzech działach nieco dłużéj zatrzymaliśmy uwagę czytelnika, gdyż przypisujemy im większe, niż innym znaczenie, a także i dla tego, że najobficiéj były zaopatrzone. W dziale czwartym odznaczamy wyroby terakotowe p. Floryanowicza, które rzeczywiście zasługują na to, gdyż celują wykończeniem i gustem. Tu również spotykamy: piecyk kaflowy przenośny p. Lasockiego, zastępujący żelazny, który tém się odznacza, że zużywa bardzo mało paliwa, w praktyczném więc zastosowaniu powinien oddać znaczne usługi — a również dobrze wykonane wyroby z marmurów kieleckich, które oddawna znajdują uznanie.

W dziale piątym spotykamy najprzód przepyszne i doskonałe wyroby introligatorskie p. Majbauma, gustowne pudełka do bizuteryi i szkatułki p. Droździckiego, wreszcie albumy, portfele p. Chodowieckiego, które śmiało rywalizować mogą z zagranicznemi.

Dział szósty—to perfumerya i wyroby mydlarskie. Znajdujemy więc tutaj „Warszawskie laboratoryum chemiczne", które już oddawna zyskało sobie sławę i rynki zbytu; jak spodziéwać się należało, przedstawiło ono najbogatszą kolekcyę wszelkiego rodzaju pachnideł i mydła. Daléj mamy pp. Sommera, Stuermera, Ejchlera i Gessnera.

W dziale siódmym przedewszystkiém wymienić wypada fortepian koncertowy p. Hildta, który wyróżnia się wielką równością i dźwięcznością tonu, doskonałém wykończeniem i zastosowaniem wszelkich ulepszeń. Na drugiém miejscu postawić trzeba p. Fibigera z Kalisza, który wystawił fortepian gabinetowy i pianino. P. Kruszewski zaś wystawił doskonałe instrumenty rznięte, a p. Blomberg fisharmonią.

Dział ósmy przedstawia wielką rozmaitość, gdyż zawiéra wyroby krawieckie, gumowe, pasmanteryjne i t. p. Na pierwszém miejscu wymienimy dwie znane i zasłużone szkoły krawiecczyzny: p. Głodzińskiego (dla kobiét) i p. Rauera (męska). Wystawcy ci nie mogli, ma się rozumiéć, dać doraźnego dowodu swéj usilnéj pracy, która była obfitą w owoce, lecz za to okazali podręczniki, cieszące się uznaniem pośród specyalistów. P. Kuśmierski wystawił frak i kamizelkę (czarne), uszyte białym jedwabiem, co uważane być powinno za majstersztyk. Daléj, p. Kozikowski okazał sztuczne cerowanie sukna, a zarazem garnitur, w którym trudno odnaleść szwy. Inni zaś przedstawili rozmaitego rodzaju t. z. sztuczki krawieckie; do nich zaliczyć trzeba frak, który może być przemienionym na tużurek; palto, które może być

noszone na obiedwie strony i t. p. P. Paszkowski dał trzy żakiety damskie, odznaczające się dokładném wykończeniem. Oprócz tego znajdują się inne wyroby, jak np. szelki taśmowe i gumowe, podwiązki, taśmy p. Pokrojskiego z Łomży, wyroby trykotowe wszelkiego rodzaju p. Rudzińskiéj, wreszcie kapelusze słomkowe p. Wildena.

Dział dziewiąty objąć miał dziwną mieszaninę takich wyrobów, jak galenterya, zabawki, wyroby kuśnierskie, powroźnicze.., piernikarskie i cukiernicze. Na szczęście spotykamy jedynie tylko niezłe wyroby konopne p. Milińskiego z Kielc, dobre cukiernicze p. Semadeniego i piernikarskie p. Wróblewskiego. Przedstawicieli pierwszych trzech poddziałów nie znajdujemy wcale, ale za to mamy miody, wyroby bursztynowe Br. Bernstein i... tytoń. Trudno, przecież i katalogi mogą być humorystyczne.

Ostatni dział dziesiąty został błędnie nazwany pedagogicznym, gdyż zawiéra wyroby szkolne uczniów. Przedewszystkiém wyroby uczniów szkoły rzemiósł, znajdującéj się pod kierownictwem p. Kühna, doskonale przedstawiają cały system nauki; spotykamy tu najprzód wielką systematyczność w przechodzeniu od robót łatwiejszych do trudniejszych, a następnie dokładne wykończenie, które powinno być koniecznie wymagane od każdego rzemieślnika, a do czego musi on być od początku przyzwyczajany. Szkoła ta cieszy się już oddawna należném uznaniem, rozwija się bowiem bezustannie. Z innego względu zasługuje również na uwagę szkoła parobczana w Podzamczu, która kształci rzemieślników wiejskich; uczą w niéj ślusarstwa, stolarstwa, ciesielstwa, kołodziejstwa i koszykarstwa. Wyroby, nadesłane na wystawę, jakkolwiek tu i ówdzie posiadają pewne braki, świadczą o dobrém kierownictwie i równie dobrych rezultatach. Inne szkoły, biorące udział na wystawie, nie dorównywają powyższym.

* * *

Po treściwém przedstawieniu wszystkiego, co ostatnia wystawa zawiérała w sobie, słuszném będzie odpowiedzieć na pytania: jakie téż pozostawiła ona trwalsze, nie doraźne wrażenie i jakiemi były jéj rezultaty? Co do pierwszego, najprzód zauważyć należy, że pomimo niezmiernie szerokiego programu, stosunkowo zgromadziła ona bardzo niewielu wystawców. Niektóre gałęzie produkcyi, rzemiosła, które bezwarunkowo liczyć powinny na sprzedaż zamiejscową i rzeczywiście w znacznéj części z niego żyjące, nie były wcale reprezentowane. Inne znalazły zaledwie po jednym, po dwu przedstawicieli; a już do wyjątkowych zaliczyć trzeba te gałęzie, które miały ich po 5-ciu—6-ciu. Dane, zaczerpnięte z innych źródeł, wskazują, że obecni stanowią jeno bardzo

małe odsetki faktycznéj liczby producentów i nawet w wielu wypadkach nie mogą dać pojęcia o rozwoju, jaki panuje w obranéj przez nich specyalności.

Niechęć brania udziału w wystawach nie da się wytłómaczyć brakiem funduszów odpowiednich, boć wystawa sama zbyt drogo nie kosztuje. W niektórych tylko wypadkach takie wyjaśnienia spotkać można. Po większéj części podają producenci dwa powody swéj nieobecności: jedni utrzymują, iż wystawy, tak urządzane, chybiają celu i nie przynoszą najmniejszéj korzyści. Drudzy zaś twierdzą, iż na wystawie narażeni są na ogromne straty z powodu manii naśladownictwa, która pośród nas znakomicie się rozrosła. Prawie zawsze pchamy się całą masą na ścieżkę, która zaledwie kilku pomieścić może, a nie staramy się odnaleść nowych dróg, dotychczas wcale nie wyzyskanych. Praca więc, starania, zabiegi i zdolności śmielszych i więcéj przedsiębiorczych jednostek, nie trzymających się szablonu, idą niezadługo na marne, gdyż zawsze znajdujemy takich, co to „ani sieją, ani orzą“, lecz chcieliby zbiérać. Każda wystawa właśnie jest dla nich polem do żerowania. Niestety, i jedni i drudzy mają wiele racyi, z tą tylko różnicą, że przyczyny wskazane przez pierwszych, bezwarunkowo dałyby się usunąć.

Co do rezultatów, te nazwać można co najmniéj skromnemi. Kilka tranzakcyi, dokonanych przez zamiejscowych kupców, oto cały rezultat; a przecież w tym celu wystawa urządzoną była. Ma się rozumiéć, że miejscowa publiczność kupująca nie pozostała w tyle, a nawet, nie bacząc na nazwę wystawy, więcéj zakupów uczyniła. I to wszakże jest kroplą w morzu, gdyż publiczność ta również okazuje wielkie zniechęcenie do wystaw. Muzyka, która dawniéj była przynętą dla niéj, straciła swój urok i... wystawa świéciła pustkami. Kilkakrotne łudzenie téj publiczności (jak już wspominaliśmy) głośnemi reklamami, jakoby wystawa była czémś kolosalném, niebywałém, musiało wywołać z konieczności taki skutek. Kto poszedł obejrzéć ją tak przygotowany, musiał się rozczarować. Nic dziwnego więc, że słyszéć się dały głosy: Po co mam płacić 2 złote, kiedy to samo darmo widzę w oknach sklepowych? Czy to samo, to bardzo wątpliwe, gdyż z drugiéj strony byli i tacy, którzy twierdzili, że wyroby na wystawie nie są podobne do zwykłych wyrobów, znajdujących się w handlu: pierwsze są wyśmienite, doskonałe, gdy drugie niekiedy nie wytrzymują najsłabszéj krytyki.

Aby uniknąć tych i innych zarzutów, które bezwarunkowo wiele racyi zawierają, zarząd Muzeum, naszém zdaniem, powinien:

przedewszystkiém raz na zawsze wyrzec się wszelkiego rodzaju reklam, które nie licują najzupełniéj z tak poważną sprawą, a zawsze wyrządzają niedźwiedzią przysługę;

następnie, wymagać od wystawców, o ile to jest możliwém, t. j. o ile godzi się to z rodzajem produkcyi, — aby przedstawiali dwa rodzaje wyrobów; jedne z nich mogłyby świadczyć, jakie roboty jest w stanie dany zakład wykonywać, do jakiego stopnia rozwoju już doszedł, drugie zaś okazałyby jego zwykłą, codzienną produkcyę;

wreszcie systematycznie urządzać samą wystawę, a więc grupować okazy całemi działami; dziś bowiem niepodobna porównywać ich ze sobą dokładnie, ani nawet dobrze oryentować się na wystawie.

Zdaje się, że nie byłoby to nietylko niemożliwém, ale nawet trudném do przeprowadzenia, a skutki dobre napewno długo nie dałyby na siebie czekać. Oprócz tego muszę wspomniéć tu o życzeniach dzisiejszych wystawców, które mają być przesłane do zarządu, a które mniéj więcéj brzmią, jak następuje:

1. Wszyscy, powołani do piastowania urzędu sędziów na wystawie, nie mogą być wystawcami, lub téż w razie przeciwnym wyroby ich powinny być „po za konkursem.“

2. Nikt z zajmujących jakąkolwiek posadę przy Muzeum w żadnym razie nie może należéć do grona sędziów wystawy.

3. Wystawcy powinni posiadać jakie takie wygody, gdyż dotychczas nie mogą ani napić się wody, ani wypalić papierosa i t. p., a tymczasem z konieczności przez dłuższy czas muszą się znajdować na wystawie.

Wszystkie te żądania i życzenia są chyba zupełnie zrozumiałe i niepodobna odmówić im słuszności. Wywołane zaś zostały dotychczasową praktykę.

W roku zeszłym podczas rozpraw w Tow. popierania przemysłu i handlu nad zreformowaniem wystaw muzealnych, jeden z członków zarządu Muzeum rzucił uwagę, iż debaty takie nie mogą doprowadzić do pożądanych rezultatów, gdyż budżetowe dochody Muzeum nie mogą pokryć wydatków, — musi więc ono, dla usunięcia niedoborów, często urządzać wystawy. Tłómaczenie to przypomina mocno przysłowie o tabakierze i nosie.

Jesteśmy jednak przekonani, że wszystko dałoby się doskonale ułożyć, a niesnaski załagodzić. Jakkolwiek podstawa bytu samego Muzeum i pobudka do jego założenia znajdowały się w sprzeczności z późniejszą praktyką, jak to powyżéj wykazaliśmy,—jednak przy odrobinie

dobréj woli i szczypcie energii możnaby te naprężone stosunki doprowadzić do stanu normalnego. Da się to zrobić na gruncie wspólnych interesów, które w zasadzie nie mogą i nie powinny się różnić. Jak interesem Muzeum jest dbałość o przemysł i rzemiosła, tak téż interesem tych ostatnich — piecza o Muzeum. Na prostéj drodze uwzględniania rzeczywistych potrzeb i wyświadczania wzajemnych, lecz prawdziwych usług—znajdzie się napewno to, o czém marzą, ale tylko marzą obiedwie strony.

Pragniemy szczerze téj poprawy stosunków i mamy nadzieję, że niezadługo nastąpi.

Józef Keppe.





WIELKA BRYTANIA

I JÉJ POTĘGA KOLONIALNA.

(Dokończenie) [1]).

V.

Jeżeli w Australii, a nawet w Kanadzie, pomimo półtora milionowéj ludności francuskiego szczepu, zwierzchnictwo państwowe Wielkiéj Brytanii nie napotyka starć rasowych i płynących stąd trudności, to inaczéj ma się rzecz w Afryce. Rasa anglo-saksońska, oprócz wszystkich innych problematów politycznych i ekonomicznych, ma tam do zwalczenia jeszcze i szczepowy. Anglicy, w afrykańskich swych koloniach, znajdują się w liczebnéj mniejszości. Oprócz Kafrów, Hottentotów, Zulusów i t. d., stanowiących ludność miejscową, znajdują się tam spadkobiercy pierwszych kolonizatorów, Holendrów,—Boersowie, którzy tworzą obecnie jeszcze rdzeń europejskich osadników w południowéj Afryce. Przedewszystkiém jest to żywioł rolniczy, osiadły po wsiach, wtedy gdy Anglicy zajęli i ufundowali miasta. Boersowie uciemiężali i srogo się obchodzili z murzynami, szczególniéj w dawnych czasach, ale dotąd tradycya tych prześladowań nie zaginęła i stanowi ciągle nieprzepartą zaporę pomiędzy nimi, a autochtonami. Gdy Anglicy w 1834 r. znieśli niewolnictwo, stali się w oczach niewolników oswobodzicielami, w wojnach zaś, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich lat dwudziestu, pomiędzy Anglikami a Boersami zamieszkującymi osobne państwo Oranie i Transvaal, autochtoni zawsze stawali po stronie angielskiéj.

---

1) Patrz Ateneum z Maja r. b.

Ta taktyka jest fundamentem polityki brytańskiéj w Afryce południowéj. Nie mogąc się narzucić, czując swą liczebną mniejszość przy cywilizacyjnéj przewadze, nie drażnią narodowości podbitych, ale zostają z niemi w najlepszych stosunkach. Zlanie tych różnych żywiołów w jeden aglomerat, będzie dziełem wielu pokoleń, lecz Anglicy nie tracą go z oka. Propagandą w tym kierunku zajmuje się potężne stowarzyszenie *The Afrikander Bund:* chce ono wytworzyć narodowość odrębną, do któréj Kafrowie i Holendrzy przydadzą swe pierwiastki, ale które stopniowo będą się oczyszczać i wznosić do anglo-saksońskiego typu. Już obecnie język, zwyczaje i cały tryb życia angielski dominują i z dobrze i silnie uorganizowanego Caplandu promienieją do sąsiednich krajów i osad. Staje się to tém łatwiejszém, że napływ emigracyi anglo-saksońskiéj, długi czas opieszały i zacofany, przybrał w ostatnich dziesięciu latach wielkie rozmiary. Przyczyniły się do tego prądu emigracyjnego odkrycia kopalni złota i dyamentów, i coraz silniejsze przeświadczenie, że na polu hodowli owiec i w uprawie innych gałęzi wytwórczości rolniczéj, południowo wschodnia Afryka ma przed sobą ogromną przyszłość ekonomiczną. W ciągu dziesięciu lat, pomiędzy 1870 a 1880 r. handel pomiędzy Caplandem a Wielką Brytanią wzniósł się z 5 do 12 milionów funtów a w epoce pomiędzy 1880 a 1890 r., chociaż jeszcze cyfr ostatecznych nie znamy, obliczony być może na 40 milionów funtów szt. Wywóz dyamentów nie wchodzi do tego wykazu statystycznego, i dodałby sam przez się niezmierne cyfry do poprzednich.

Dzięki napływowi emigracyi i dobrobytowi ekonomicznemu, jaki się krzewi w dwóch głównych koloniach angielskich południowéj Afryki, Capie i Natalu, kwestya rasy drzémie obecnie, i żadném niebezpieczeństwem nie grozi. Czy tak będzie na przyszłość i raz na zawsze? nikt zapewne odpowiedzieć stanowczo nie zechce. Dość sobie będzie przypomnieć zaciętą walkę, jaką Zulusi pod dowództwem swego króla Cettiwayo, prowadzili w 1879 r. z Anglikami, aby być ostrożnym w stawianiu horoskopu.

Nie da się zaprzeczyć, że potęga angielska ma do walczenia w Afryce z olbrzymiemi trudnościami. Naprzód widzieliśmy trudności rasowe; następnie idą polityczne. Pomiędzy, dwoma głównymi krajami samodzielnymi, Capem i Natalem, istnieją rywalizacye, a utworzenie nowych niezależnych krajów, jak Bosutolandu i Bachunalandu nie zmniejszy, ale powiększy tylko te zatargi konstytucyjne. Wszyscy politycy, którzy badali zagadnienia afrykańskie, byli zdania — a sir Charles Dilke także je dzieli — że nie należy zostawiać czasu do rozkrzewiania się i ustalania tych rywalizacyi i zatargów sąsiedzkich,

lecz przeciwnie, co prędzéj połączyć je w jedno dominium, jedną federacyą o silnéj administracyi centralnéj. Idea ta uzmysłowiała się w wielkim mężu stanu, który przez lat dziewięć ostatnich był generalnym gubernatorem Capu, w sir Herkulesie Robinson. Dążył on energicznie do pozyskania dla południowéj Afryki szerokich przywilejów, zawarł traktaty handlowe z Transvaalem, starał się wcielić Svasiland do krajów korony brytańskiéj, był przedsiębiorczym, czynnym, zuchwałym. Być może, że przeszedł miarę, albo poprostu, że szedł za szybko, rząd téż angielski usunął go z urzędu. Pogłoski, jakie krążyły w świecie politycznym londyńskim, że rząd się obawiał, ażeby przez utworzenie się wielkiéj federacyi południowo-afrykańskiéj nie zrodziły się wśród jéj mieszkańców dążenia do emancypacyi, nie wszczęła na jéj rzecz propaganda, nie mają żadnéj podstawy racyonalnéj. Po prostu rząd angielski nie czuje się jeszcze na siłach do energicznéj i natychmiastowéj akcyi w tych strefach: woli czekać, pośredniczyć, negocyować. Ustępstwo, jakie świeżo zrobił ze Svasilandu na rzecz Transvaalu, pokazuje, że woli on rozplątywać, aniżeli rozcinać węzły gordyjskie. Sir Karol skarży się na tę chwiejność i brak decyzyi; nie dopatruje się linii wytycznéj w polityce metropolii. W jego oczach nie ma kolonii ważniejszych, jak właśnie południowo-afrykańskie; w nich jest klucz, jest spójnia pomiędzy posiadłościami, rozproszonemi na powierzchni kuli ziemskiéj. W razie wojny europejskiéj i zamknięcia kanału Suezkiego, trzeba będzie dla dostania się do Indyi okrążać Afrykę; olbrzymie, nietylko niewyczerpane, ale nawet nietknięte pokłady węgła w Natalu są dla marynarki brytańskiéj warunkiem bytu. Nie ma wysiłku, nie ma poświęcenia, któregoby nie należało uczynić do utrzymania i wzmocnienia tych kolonii. Jeżeli federacya południowo-afrykańska ma być odroczona jeszcze na lata albo na lat dziesiątki, a wskutek tego i środki wojenne do obrony całości brytańskiego imperyum na tym afrykańskim zrębie, to nie pozostaje, zdaniem jego, nic innego, jak natychmiastowe wzmocnienie Afryki południowéj pod względem wojskowym, kosztem skarbu metropolii. Ogrom ściganego celu tak jasno jest zarysowany w jego umyśle, że nie waha się przed ofiarami i poświęceniami, których wymagać będzie.

Ale nie wyczerpaliśmy jeszcze litanii trudności afrykańskich. Obok szczepowych, obok politycznych, obok militarnych, są jeszcze *the last but not the least* — są jeszcze kwestye międzynarodowe. Nieszczęściem dla Wielkiéj Brytanii, nie jest ona sama na afrykańskim kontynencie i musi się tam liczyć nietylko z Hottentotami i Zulusami, nietylko z drzémiącemi Boersami, których pochłonąć ma zamiar prędzéj czy późniéj, albo zmusić przynajmniéj do traktatów, że tak powiemy

lenniczych, ale ma tam jeszcze obok siebie inne, niezależne państwa europejskie. Przy gorączkowym ruchu kolonizacyjnym, który ostatnich lat kilkanaście cechował, ze wszech stron wciskać się zaczęto do wnętrza czarnego kontynentu. Nawet kraje co już dawno ducha inicyatywy postradały i z posiadanych w Afryce kolonii żadnych nie ciągnęły korzyści — albo bardzo małe, jak Portugalia — zamanifestowały chęć utrzymania się na swych stanowiskach i zabezpieczenia swych posiadłości. Inne mocarstwa, jak Francya, przez utworzenie państwa Congo i przez przedostawanie się do wnętrza Afryki z północy i z zachodu, jak Włochy, które szamotają się o utworzenie w Abisynii i Etyopii, kolonii, jakich nie potrafiły zdobyć na wybrzeżach afrykańskich morza Śródziemnego, jak Niemcy nakoniec, które już przedarły się do zwrotnikowych stref przez Zanzibar i które mogą pokiereszować brytańskie posiadłości i pozbawić je ciągłości terytoryalnéj: oto przeciwnicy, a jeżeli nie przeciwnicy to przynajmniéj współzawodnicy, z jakimi Wielka Brytania będzie miała prędzéj czy późniéj do czynienia w téj części świata. Oględność i przezorność są tutaj niezbędne. Przed niedawnym czasem byliśmy świadkami, z jak nieubłaganą srogością Wielka Brytania poskromiła Portugalią i zmusiła ją do cofnięcia swoich, nawet najbardziéj usprawiedliwionych pretensyi. Z Niemcami, jako z pierwszorzędną potęgą europejską, będzie naturalnie zmuszoną postępować daleko ostrożniéj, i pojawienie się ich na afrykańskich wybrzeżach oceanu Indyjskiego, było już samo przez się zwiastunem, że owo ambitne marzenie Anglików o utworzenie jednego państwa afrykańskiego od Capu, wzdłuż Mozambiku, Zanzibaru, aż do Nubii i Egiptu, z wciągnięciem doń o ile można największéj części Sudanu, że owo marzenie nie będzie się już dało urzeczywistnić. Jest to najsilniejszy cios, jaki dotąd spotkał rozwój potęgi brytańskiéj nie takiéj, jaka istniała, ale jaka mogła istniéć kiedyś. Można być pewnym, że wszyscy imperyaliści, a i sir Charles Dilke jak inni i więcéj niż inni, boléć nad tą klęską muszą. Znoszą ją jednak ze stoickim spokojem i z niezachwianą pewnością, że lew brytański nie da sobie obciąć pazurów.

Nie dotyka on bynajmniéj problematów środkowéj i wschodniéj Afryki. Jak wiadomo nie istnieją one dla Anglii urzędowéj. Towarzystwa prywatne, o celach handlowych, otrzymują od rządu przywileje i korzystne monopole, zbogacają się i torują dla rządu drogi szerokie i wygodne do ostatecznéj i państwowéj okupacyi. Takich uprzywilejowanych towarzystw jest dotąd trzy i ich liczba wzrość będzie mogła. O tych agentach mowy nie ma, aż do chwili, gdy się z patryotyczną gotowością usuwają przed organizacyą przedsiębraną

w imieniu państwa. Sir Karol, tak samo jak cała Anglia, przysłuchuje się obecnie sprawozdaniom Stanleya z jego odkryć i podróży afrykańskich, ale można przypuszczać, że nie zatrzymuje się zbyt długo nad romantyczną stroną jego przygód i że widzi już w oddali nowe państwa, nowe kolonie grupujące się około Nyanz środkowo-afrykańskich i wzmagające potęgę Większéj Brytanii. Jesteśmy przygotowani, że w dalszych wydaniach dzieła tutaj streszczanego przybędzie rozdział, którego ostrożność i takt dyplomatyczny autora obecnie jeszcze dotknąć mu nie pozwolił.

Przez kilka dziesiątków lat najbliższych, największy wysiłek polityki kolonialnéj brytańskiéj skierowany i ześrodkowany będzie w Afryce.

VI.

Drugi tom Zagadnień Większéj Brytanii przeważnie poświęcony jest Indyom. Spotkaliby się jednak z zawodem czytelnicy, którzyby spodziewali się, że znajdą w sążnistym dziale im poświęconym teoretyczne, syntetyczne, *ex professo* traktowanie kwestyi dotyczących Indyi. Nie wystarczyłyby na to i daleko większe rozmiary, nie wchodziło téż w zakres pracy sir Karola, nie zgadzało się z jego empiryczną metodą, aby się nad niemi rozszerzał. Wszystkie, najważniejsze strony życia i organizacyi narodowéj i społecznéj w Indyach stracą dla Anglików bezpośredni i natychmiastowy interes, jeżeli wyłamią się one ze związku państwowego z Wielką Brytanią i albo przejdą pod zwierzchnictwo innego mocarstwa, albo zdobędą dla siebie całkowitą niezawisłość. Ponieważ wypadek ten jest nietylko prawdopodobnym, ale nieledwie nieuniknioną koniecznością historyczną, zatém pierwszym obowiązkiem pisarza, stojącego na podstawie imperyalizmu, było rozejrzéć się w środkach, jakiemi rozporządza Wielka Brytania, aby Indye przy sobie zatrzymać. Zostawia on paradoksalnym pisarzom jak Goldwin Smith, rozkoszowanie się w hypotezie o stracie Indyj, nie staje nawet na wysoce obiektywném stanowisku profesora Seeley, który tę katastrofę nieuniknioną przewiduje i mimo niéj, nie traci ufności w hegemonię świata anglo-saksońskiego. Sir Karola przejmuje dreszcz patryotyczny na samą myśl, że klejnot nad klejnotami cesarskiego wieńca, owo państwo o 250 milionach mieszkańców, miałoby przestać być składową częścią Wielkiéj Brytanii. Wolno nieprzyjaciołom Anglii rachować na pewno na taki obrót rzeczy, przewidywać jego datę i wyciągać zeń pesymistyczne wnioski. On o jedném tylko mówi,

o jedno się troszczy, jak Indye najdłużéj zależnemi od korony brytańskiéj uczynić.

Dwa niebezpieczeństwa grożą zwierzchnictwu angielskiemu w Indyach: bunt Indyan i wojna z Rosyą. Pierwsza ewentualność mniéj zaprząta umysł Anglików, aniżeli druga, i nie trudno domyśléć się przyczyny tego zapatrywania. Wprawdzie Indye z 250 milionami mieszkańców mogłyby z łatwością zdusić owych 80 tysięcy Anglików cywilnych i wojskowych, którzy u nich gospodarują, ale ten nadzwyczajny brak proporcyi pomiędzy dwoma czynnikami nie jest straszny, gdy się weźmie na uwagę stan niemowlęcego barbarzyństwa jednych a cywilizacyi drugich, różnic rasowych, religijnych, językowych, ekonomicznych, istniejących wśród mieszkańców Indostanu, a organicznéj jedności, posiadanéj przez Anglików. *Divide ut imperes* jest i będzie godłem polityki brytańskiéj przez długie lata i lat dziesiątki w Indyach. Geograficznie Indostan jest jednym krajem, etnograficznie przedstawia pstrokatą szachownicę, gdzie łatwo jest władzom angielskim opierać się na jednych żywiołach przeciwko drugim. Wielcy książęta lenni, rajowie, są obecnie w najściślejszych stosunkach z rządem brytańskim, który umiał ich postawić po swojéj stronie, i można być przekonanym, że w razie wybuchu rewolucyjnego znalazłby w nich gorliwych i nieoszacowanych sprzymierzeńców. Mimo całego ruchu, emancypacyjnego, który się w Indyach już spostrzegać daje, mimo kongresów narodowych w Allahabad i Bombay, mimo wzrostu oświaty i agitacyi prasy miejscowéj, nie można przypuszczać, ażeby wielka rewolucya, jak ta, co zakrwawiła Indye w 1857 roku, groziła nowym wybuchem, a nawet gdyby wybuchła, znajdzie się zawsze lord Clyde do poskromienia jéj i to nawet łatwiéj i szybciéj, niż wówczas.

Od trzydziestu dwóch lat, gdy nazajutrz po stłumieniu buntu Indye przeszły z rąk Kompanii Wschodniéj pod bezpośrednie zwierzchnictwo rządu angielskiego, organizacyę wojskową przeprowadzono i udoskonalono w sposób usprawiedliwiający ufność, z jaką Anglicy na nią spoglądają obecnie. Organizacya ta da sobie radę z powstaniem mieszkańców indyjskich, zostawionych sobie samym. Inaczéj jednak stałyby rzeczy, gdyby narodowości te opierały się i podały rękę wielkiéj nieprzyjacielskiéj armii, co przekroczywszy Himalaje, zalałaby półwysep nadgangesowy. Wojna z Rosyą—oto czarna zmora, dławiąca polityków angielskich, gdy mowa o Indyach. Roztrząsaniem téj kwestyi sir Karol zajmuje się szczegółowo.

W obec nieprzerwanych postępów, jakie Rosya czyni w Azyi, przewiduje on już jako bliską epokę, w któréj te dwie potęgi, ruska i angielska, spotkają się jedna z drugą. Przeszłość jest wskazówką

przyszłości. W ciągu ostatnich lat dwudziestu, które upłynęły od czasu jak sir Karol był ogłosił swoją pierwszą pracę o Większéj Brytanii, Rosya zbliżyła się ku granicom indyjskim o 1,100 mil, uczyniwszy 900 ku Afganistanowi, ku któremu Anglicy ze swéj strony zbliżyli się o mil 200. Obecnie już tylko 500-milowa przestrzeń je rozdziela. Zajęcie Heratu przez Rosyę jest jedynie kwestyą czasu i zależy od dobréj woli tego mocarstwa. Afganistan po zgonie obecnego emira, pensyonowanego przez rząd angielski, przejdzie w ręce jego brata, którego sympatye i interesa są po stronie rosyjskiéj. Myśl podziału Afganistanu pomiędzy obu mocarstwami nie byłaby rękojmią trwałego pokoju, lecz zażegnałaby tylko chwilowo niebezpieczeństwa wojny. Angielscy politycy uważają jako pewnik nie potrzebujący dowodzenia, że Rosya załatwiwszy się z Turkiestanem, ubezwładniwszy Persyę, wkroczy późniéj do Indyi. Dlatego téż staraniem pierwszorzędném władz angielskich powinno być uorganizowanie obrony, fortyfikacye, załogi i t. d. na całéj północnéj granicy indyjskiéj. Autor zajmuje się podwójną linią obronną Quetty i Peshaweru, Khyberu, wchodzi w drobiazgi organizacyi wojskowéj, jak rezerwy mułów, jak budowy fortec,ześrodkowania komendy wojskowéj, powiększenia załóg, budowy strategicznych dróg żelaznych podług tego przedziwnego wzoru, jaki dała sama Rosya w swéj drodze żelaznéj od morza Kaspijskiego do Samarkandy etc. Prasa i organy wojskowe zajmują się obecnie żywo rozbiorem tych rozmaitych planów i propozycyi sir Karola, w których widzą oddźwięk jeżeli nie opinii sir Fryderyka Roberts, generalissimusa armii angielskiéj w Indyach, to przynajmniéj innéj wojskowéj znakomitości—sir Roberta Sandemanna, głównodowodzącego właśnie w tym kraju Penjab, który w razie starcia się dwóch potęg, będzie teatrem wojny. Mimo namiętnego interesu, jaki ten ogólny zarys sir Karola wywołał, nie można utaić, że opinia jest przerażona ogromem tego, co jest tam nietylko użytecznego, ale niezbędnego do zdziałania, a przedewszystkiém ogromem kosztów wymagalnych. Idzie poprostu o utworzenie dwóch armii, jednéj o służbie trzechletniéj dla służby krajowéj, drugiéj dla siedmioletniéj w Indyach. Chociaż wskutek agitacyi, jaka przed trzema laty, w roku jubileuszowym, rozpoczęła się w sferach rządowych angielskich o obronę Indyi, zebrano w tym celu wielkie fundusze, chociaż różni monarchowie indyjscy z istotnie oryentalną szczodrobliwością otwarli dla tego narodowego dzieła swoje skarby fantastyczne, to łatwo wyczytać z pomiędzy wierszy sir Karola, że uważa on nawet ten wysiłek za niewystarczający i że nie pokłada bezwarunkowéj ufności w środkach obronnych przeciwko możliwéj inwazyi armii ruskiéj. Gdy w końcowych rozdziałach powraca do tego przed-

miotu, od którego oderwać mu się trudno i gdy szuka sprzymierzeńców, nie znajduje innych jak Chiny, a zanadto jest oględny, ażeby się chętnie chciał posługiwać takim obosiecznym nożem. Czém głębiéj wnika się w naturę kwestyi indyjskiéj, czém więcéj się czyta o przygotowaniach i olbrzymich środkach obronnych, przedsiębranych przez Anglików, tém jaśniejszego nabiera się przekonania, że nawet ich energia, ich działalność niestrudzona, ich doświadczenie kolonialne, ich liberalizm elastyczny, ich nagromadzone i rozporządzalne bogactwa, nie podołają temu kolosalnemu przedsięwzięciu i że Indye, wskutek mniéj lub więcéj czynnéj interwencyi Rosyi, zerwą w przyszłości, w przyszłości, któréj chronologicznie oznaczyć niepodobna, ale która nie przekroczy XX stulecia, swoją państwową spójnię z Wielką Brytanią.

Powierzchownie i nadto pośrednio tylko autor nasz dotyka najrozmaitszych zagadnień wewnętrznéj organizacyi Indyi. Nie zdaje się on obawiać wzrostu dążeń do wyswobodzenia się z brytańskiego związku państwowego. Przyznaje, że rząd angielski jest despotyzmem, ale despotyzmem ojcowskim, patryarchalnym. O zaprowadzeniu systematu parlamentarno-reprezentacyjnego mowy jeszcze obecnie być nie może przy niskim stopniu oświaty i przemagającém barbarzyństwie. Najlepszym sposobem zaspokojenia wymagań inteligencyi miejscowéj i zakreślenia im użytecznéj sfery działania, będzie rozszerzenie instytucyi municypalnych. Samorząd gminny utoruje drogę do prowincyonalnego, a z czasem do federacyjnego, którego pierwsze podstawy rzucone już zostały w 1870 roku. Wielką korzyścią, jaka wypłynie ze swobód i z decentralizacyi gminnéj będzie załatwienie trudności finansowych. A są one wielkie. Popularna opinia uważa Indye za kraj fantastycznych bogactw, ekonomiści wiedzą że przeciwnie, jestto kraj dotąd ubogi, nadzwyczaj ubogi, zagrożony epidemiami głodowemi i że trzeba będzie niestrudzonéj pracy, olbrzymich nakładów, aby gospodarstwo narodowe postawić tam w warunkach normalnych— i dopiéro w oddalonéj przyszłości przewidywać można podniesienie poziomu powszechnego dobrobytu. Dotąd kapitały angielskie płyną tam w oczekiwaniu zysków. W same drogi żelazne włożono już kapitał 350 milionów funtów, a 16,000 mil dróg żelaznych dotąd otwartych, znikają w tym kraju niezmiernym i potrzebaby było sum tysiąc razy większych, ażeby uzdolnić Indye do wyciągania korzyści ze swoich surowców i płodów rolniczych. Opium, bawełna, ryż, zboże, herbata, kawa, tytoń etc., stanowią główne artykuły wywozowe i produkcya ich jest obecnie zaledwie w niemowlęctwie, w stosunku do téj, jakąby być mogła przy otwarciu środków komunikacyjnych i obfitości

kapitałów nakładowych. Mimo tego ubóstwa Indyi, Wielka Brytania otrzymuje z nich bezpośredniego dochodu już obecnie od 60 do 70 milionów funtów rocznie, a jeżeli monopol tytuniowy zaprowadzony będzie, jak jest o tém coraz głośniéj mowa, to odrazu dochód ten podskoczyłby o jakie 5 milionów rocznie.

W obec naglących potrzeb wojskowych, w obec organizacyi politycznéj, wymagającéj reform, choćby dla zadośćuczynienia coraz żywszym aspiracyom ludności miejscowej, w obec coraz większych wydatków na roboty publiczne i chaotycznego stanu finansów, sir Karol zdaje sobie sprawę z potrzeby bezzwłocznego rozpoczęcia reorganizacyjnego dzieła w Indyach. Zwyczajem angielskim, poprzedzić je musi wszechstronna, wyczerpująca ankieta, zarządzona i dokonana pod dyrekcyą parlamentu. Niedawno żądał jéj lord Randolph Churchiłł; słyszeliśmy późniéj ostatniego wicekróla indyjskiego, margrabiego Dufferin i Awa, wyrażającego to samo życzenie. Niema wątpienia, skoro obecnie i sir Karol do tego samego dochodzi wniosku, że niebawem zarządzoną ona zostanie. Zdają sobie sprawę Anglicy, że jeżeli ów tytuł cesarzowéj Indyi, który lord Beaconsfield złożył u stóp królowéj Wiktoryi, ma być rzeczywistością i to nietylko na dzień dzisiejszy, ale i na przyszłe pokolenia, to należy bez straty czasu wziąć się do pracy organizacyjnéj. Epoka przygotowawcza, trwająca już od lat trzydziestu z górą, uważaną być powinna jako przedsłowie tylko. Czém większe są trudności utrzymania raz na zawsze Indyi, jako składowéj części Większéj Brytanii, tém gorliwszych dokładać będą starań, aby wycisnąć na nich piętno brytańskie, wprząść je w sferę interesów brytańskich i przygotować w ten sposób grunt dla zobopólnéj działalności cywilizacyjnéj w przyszłości.

VII.

Ostatnia część dzieła sir Karola Dilke nosi tytuł: Z a g a d n i e n i a k o l o n i a l n e i dzieli się na sześć rozdziałów, poświęconych demokracyi w koloniach, kwestyom pracy i stowarzyszeń, protekcyi nad przemysłem miejscowym, wychowaniu i oświacie publicznéj, religii i prawodawstwu co do używania trunków gorących. Wszystkie kwestye społeczne najważniejsze, cała osnowa cywilizacyi brytańskiéj stają tutaj przed oczami czytelnika. Autor powraca tu nieraz do przedmiotów, których już był dotknął w monograficznych rozdziałach poprzednich, a ponieważ przechodzi od jednych kolonii do drugich, gdzie stosunki są całkiem odmienne, a poziom rozwoju niejednakowy, trudno sobie wytworzyć jakieś ogólne syntetyczne wnioski. Autor, jako

nieodrodny syn Wielkiéj Brytanii jest analitykiem i nie kusi się nawet o kreślenie żadnych poglądów historyozoficznych. Cytuje Tocquevilla z szacunkiem, ale trzyma się zdala od jego nieśmiertelnego wzoru.

Nie ulega jednak wątpliwości, że metoda pisarska, jakiéj autor jest adeptem, nie potrafi bezwarunkowo zadowolnić czytelników nienależących do jego narodowości. Czujemy nieprzezwyciężony popęd do zoryentowania się wpośród téj chaotycznie nagromadzonéj masy faktów i spostrzeżeń, pragniemy sprowadzić do kilku zasadniczych punktów idee, jakie przewodniczą kolonizacyi brytańskiéj i ocenić ich dodatność i ujemność, potrzebujemy zdać sobie sprawę, azali z téj olbrzymiéj kuźni, gdzie Wulkan brytański bez chwili odpoczynku wybija swoje piętno na plemionach i narodach, wychodzą typy indywidualne i gatunkowo wyższe, dodatnie, czy, jedném słowem, leży w interesie ludzkości sprzyjanie lub przeciwdziałanie zagarnianiu, braniu w posiadanie świata przez rasę anglo-saksońską. Nie kusimy się bynajmniéj o wyciągnięcie z encyklopedycznego dzieła sir Karola Dilke tych dalekonośnych wniosków, ale na kilku przynajmniéj punktach daje ono sposobność, do zaznaczenia kierunku, w jakim ludzkość postępuje.

Imperium et libertas: oto godło, jakie nadała sobie Większa Brytania, oto duch, jaki ją ożywia. Byłoby właściwiéj jeszcze zmienić je i określić jako wszechwładzę przez wszechwolność. Ta szeroka, szczera, niczém nie krępowana, nie tamowana wolność jedynie stworzyła i utrzymała to imperyum Brytańskie, wobec którego największy z organizmów państwowych historycznych, imperyum Rzymskie, ze swemi 420 milionami hektarów rozległości i 120 milionami mieszkańców, schodzi do rzędu drugostopniowego. Ażeby utrzymać w karbach te żywioły różnych narodowości, religii, języka, stopnia cywilizacyjnego, należy pozostawić im taką swobodę ruchów i działalności, ażeby nie uczuwały ciężarów związku państwowego, lecz cenili tylko jego korzyści. Raz tylko sprzeniewierzyła się polityka brytańska téj polityce liberalnéj, raz tylko chciała dla egoistycznego interesu zdławić interesa kolonialne i opłaciła błąd ten stratą najznakomitszéj ze swoich posiadłości zamorskich — Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj. Nauka w las nie poszła i od téj pory nie zboczyła nigdy Wielka Brytania z wytkniętéj sobie drogi. Niepodobna dać szerszego samorządu krajom, należącym do jednego organizmu, jak ten, który posiada np. Kanada, albo państwa australskie. Są to rzeczypospolite, rozwijające się podług własnych tendencyi społecznych, w myśl swych własnych potrzeb i interesów, a wice-król albo generalny gubernator, mianowany przez koronę i reprezentujący władzę zwierzchniczą Wielkiéj Brytanii, ma nieraz stanowisko i charakter ministra, upełnomocnionego

przy obcém państwie i zawiązującego negocyacye dyplomatyczne. Szanując swobody miejscowe, ograniczając swą rolę do misyi opiekuna, przewodnika, doradcy, inicyatora postępu, nie jest rząd brytański obarczony klątwą uciśnionych narodów, nie potrzebuje drżéć przed spiskami i buntownikami, lecz przeciwnie, spogląda na rozwijające się kolonie, jako na wieniec cór dorodnych, co około królującéj rozsiadają się macierzy. Nieraz stawiano pytanie, czy liberalizm Wielkiéj Brytanii będzie konsekwentnie przeprowadzony i czy nie zatrzyma się on nagle wobec jasno sformułowanego żądania téj lub owéj kolonii, do całkiem niezależnego bytu, czy nie będzie gotową Brytania do wojny z Kanadą albo Australią, jeśli się te ogłoszą jako niepodległe. Niedopuścić do tragicznych ostateczności przez rozumną i liberalną politykę, a gdyby mimo tego okazały się nieuniknione, związać się z wyemancypowaném państwem wszelkiemi możliwymi węzłami—oto jaką jest linia wytyczna Wielkiéj Brytanii.

Liberalizm instytucyi jest ściśle połączony z uszanowaniem narodowości. Mówiliśmy już szczegółowo o polityce, jakiéj się trzyma względem żywiołu francuskiego w Kanadzie. Trudności, jakie napotykane są w Afryce południowéj, nie doprowadzają do żadnego gwałtownego starcia i doprowadzić doń nie mogą. Rząd angielski, opiérając się na rasie anglo-saksońskiéj, jest przeświadczony, że ta ostatnia zatryumfuje ostatecznie. Nie chce on ani przyśpieszać téj ewolucyi nadużyciami, ani zagradzać jéj drogi gwałtami. Zostawiając wszelką swobodę językowi, piśmiennictwu, szkole, obyczajom i zwyczajom, przewiduje rząd mimo tego moment dziejowy, w którym wszystkie wyłączności osłabną, zbledną i gdzie narodowości odrębne wejdą do szerokięgo potoku anglo-saksońskiego i znikną w nim, jak strumienie w wielkiéj rzece. Rezultat ten osiągnięty będzie w ten sam sposób, jak się to dzieje w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj. Już w drugiéj generacyi ślady pierwotnego pochodzenia słabną, a w trzeciém zaciérają się zupełnie. Pomieszanie pierwiastków różno-narodowych dodaje rasie dominującéj wszechstronności i potęguje jéj żywotność.

To, co się rzekło o swobodach politycznych i o uszanowaniu narodowości, można także powtórzyć o religii. Tolerancya religijna jest niewzruszoną zasadą kolonialnéj organizacyi Większéj Brytanii. Często słychać skargi na nadużycia popełniane przez misyonarzy rozmaitych sekt angielskich: dzieje się to przedewszystkiém w krajach nienależących jeszcze do państwa brytańskiego i gdzie misyonarze agitują, szarpią się, aby pozyskać największą liczkę owieczek. Są to dobrowolni agenci, a często nawet bardzo kompromitujący, władzy angiel-

skiéj. Ale tak samo, jak nie ma się prawa czynić Wielkiéj Brytanii odpowiedzialną za ich przesadzoną gorliwość, tak trzeba przyznać, że posuwa ona szacunek dla opinii i przekonań religijnych swoich obywateli, aż do ostatecznych granic. Azaliż nie wyszydzono i nie wydrwiono tych agentów biblijnych Towarzystw, co rozdają z niestrudzoną gorliwością egzemplarze Pisma Ś-go, a jednocześnie sprzedają posążki i relikwie bałwochwalcze! Karykatura jest dowcipna i nie można wstrzymać się wobec niéj od uśmiechu. Ale jednocześnie sprawiedliwość przyznać nakazuje, że skoro o wojnach religijnych, o nawracaniu do ewangelii ogniem i mieczem mowy już być nie może, nie pozostaje, jak oczekiwać od umysłowego i moralnego rozwoju mas, wyznających nie-chrześciańskie religie, ich przejścia na łono chrześciaństwa: tymczasem, zaspokojenie ich potrzeb religijnych, ułatwianie ich obrzędów jest wskazane przez szacunek dla wiary, jako wiary.

W krajach czysto angielskiego szczepu ważna kwestya stosunku kościoła do państwa, rozwiązana została w myśl postępowéj doktryny wzajemnéj ich od siebie niezależności. Wszyscy członkowie tego lub owego kościoła utrzymują go z własnych funduszów, drogą corocznych składek, oraz z nieruchomego majątku w tym celu wytworzonego. Rezultat téj polityki religijnéj jest nader pożądany. Z jednéj strony kościół jest bogaty, szanowany, a duchowieństwo trzyma się zdala od agitacyi politycznéj, z drugiéj zaś życie religijne masy jest daleko silniejsze, daleko głębsze, aniżeli w krajach religijnego ucisku i urzędowych kościołów. Epoka sporów teologicznych coraz głębiéj zapada w przeszłość, ale moralność, opiérająca się na związku z religią, stała się nieledwie plemienną cechą świata anglo-saksońskiego. Jedynie ciasny, anti-religijny fanatyzm z taką polityką religijną pogodzić się nie potrafi.

Gdy się wykazuje niezmierne, nieocenione zasługi, oddawane ludzkości przez akcyę świata anglo-saksońskiego w dziedzinie instytucyi politycznych i religijnych, opiérających się na szerokiéj podstawie swobody, tolerancyi, uszanowania indywidualizmu mniejszości i ras dotąd zacofanych, nie ma się prawie już do walczenia z opozycyą poważną: są to prawdy powszechnie uznane. Pewne zastrzeżenia czynione były natomiast przez zapalczywych zwolenników pewnych form ustroju społecznego, mianowicie republikanów, demokratów i socyalistów. Ponieważ organizm Wielkiéj Brytanii jest monarchiczny, oligarchiczny i arystokratyczny, a zatém w sprzeczności z kierunkiem, w jakim się organizują społeczeństwa postępowe, obawiano się czy wpływ metropolii nie będzie dość stanowczym, aby powstrzymać nowe światy wstępujące w arenę cywilizacyjną, na progu do niéj, czy Wiel-

ka Brytania nie kładzie na nie reakcyjnych okó w. I te jednak obawy i zarzuty, po bliższém zbadaniu stanu rzeczy nie wytrzymają krytyki. Jakóbińska nienawiść przeciwko instytucyom monarchicznym stępiała zresztą wielce w epoce naszéj, gdzie z jednéj strony metoda historyczno-krytyczna, a z drugiéj materyalny utylitaryzm stanęły jako czynniki rozkładowe. Żaden rozsądny umysł nie wymaga już obecnie wytrzebienia monarchicznéj formy, skoro zadowalnia ona pewne organizmy społeczne, skoro jest najodpowiedniejszą dla nich w danéj epoce rozwoju. Wyższość monarchii brytańskiéj nad tą lub ową rzeczpospolitą, wyższość teoretyczna i praktyczna, nie ulega już wątpliwości; nie ma tedy powodu uważać jéj za czynnik wsteczny sam w sobie. Hegemonia téj monarchii nad rzeczpospolitemi, jakiemi są najznaczniejsze z kolonii brytańskich, jest czystą formalnością, która rozwojowi tych ostatnich żadnego nie gotuje niebezpieczeństwa. Instytucye republikańskie rozwijają się tam swobodnie, bez żadnych zapór i godzą się z parlamentaryzmem takim, jaki się zrodził na klasycznym gruncie angielskim. Nie ma najmniejszéj oznaki, ażeby zasada monarchiczna puszczała tam korzenie, i z chwilą, gdy się państwa te ogłoszą jako niezależne, jako samodzielne, nie konstytucyjne monarchie, ale republikańską formę u siebie zatrzymają.

Obawa zaszczepienia na gruncie kolonialnym zasad arystokratycznych jest równie pozbawiona wszelkiéj podstawy. Wykwitły one na gruncie angielskim, ściśle spojone z własnością gruntową, nie posiadają natomiast wśród świata nowego żadnéj racyi bytu. Magnaci angielscy, którzy albo się sami osiedlają w koloniach, albo wysyłają tam swych młodszych synów dla zrobienia fortuny, przekonali się już oddawna, że nie mogą tam marzyć o pozyskaniu uprzywilejowanego stanowiska; przciwnie, były przykłady, że pochodzenie ich utrudniło im pozyskanie sobie jakiéjś wyłączności. Ci osadnicy, którzy karczują lasy, uprawiają grunta, hodują trzody, wyzyskują kopalnie, ci *homines novi* pełni energii, walczący z trudnościami materyalnego bytu, nie mają najmniejszego popędu do poddania się pod ster jednostek, lub klasy uprzywilejowanéj. Ustrój demokratyczny jest tam wskazany przez naturę i na inny nie ma miejsca. Demokracya przybiera, jak w Australii, charakter socyalizmu państwowego, z powodu przeważnéj liczby mieszkańców miejskich, tymczasem w Kanadzie jest przeważnie rolniczą, wiejska, oparta na drobnéj własności, ale jest to wszędzie demokracya, opiérająca się na apryorycznéj równości osobników państwowych. Demokracya w koloniach brytańskich nie jest bynajmniéj nieodrodną siostrą téj, do któréj przyzwyczajać się zaczynamy w Europie, i różni się nawet wielce od téj, któréj wady Tocqueville wykazał w Stanach

Zjednoczonych. Nie ma tam ani zawiści do tych, co już sobie wywalczyli stanowisko, ani ostracyzmu na jaki skazują zasłużonych obywateli, ani tyranii klas, ani ich walki, ani zgubnéj obojętności bogaczy dla sprawy publicznéj. Przy prostocie i patryarchalności obyczajów, panuje tam dobrobyt, o jakim trudno mieć u nas wyobrażenie. Robotnicy, którzy mają zabezpieczone sobie w umowach z chlebodawcami owych ośm godzin pracy, o które europejscy robotnicy walczą obecnie zapamiętale, pobierają zarobek o 100% większy za pracę o 20% krótszą, aniżeli w Anglii. Średnio zarobek robotnika w Australii wynosi 48 szylingów tygodniowo, a że może on zaspokoić wybornie swoje materyalne potrzeby za 15 do 18, zatém co tydzień kapitalizować zdoła 30 szylingów. Przy wielkich odsetkach, jakie dają kapitały włożone w przedsięwzięcia rolnicze lub fabryczne, nie dziwota, że klasa robotnicza nie czuje się bynajmniéj wyzyskiwaną, uciemiężoną i że wyrabia się wśród niéj dumne poczucie swéj własnéj siły i potęgi.

Państwo i instytucye państwowe uważane są w tych krajach młodych, ale przedewszystkiém w Australii, jako własność publiczna i każdy z obywateli czuje się w prawie wymagania i otrzymywania od nich wszelkich usług możliwych. Jeżeli socyalizm rewolucyjny jest słaby, to państwowy za to płynie pełném korytem. Podatki postępowe 10%, a nawet 13%, od większéj własności ustanowione, są w jawnie wypowiedzianym celu ukrócenia téj własności. Deputowani płatni, jak to nakazują zasady demokratyczne, nie wahają się stawiać projektów krańcowych: dość będzie wspomnieć o upaństwowieniu ziemi w myśl doktryn Henryka George, który to projekt przedłożony został w parlamencie Australii południowéj i prawdopodobnie przeprowadzony będzie.

Gdy się do tych rozmaitych rysów demokratycznych społeczeństw doda prawodawstwo dotyczące szkolnictwa, do najwyższego stopnia postępowe, tu i owdzie przymusowe, prawie wszędzie bezpłatne, a w niektórych stanach Kanady, jak w Ontario, dające oświatę bezpłatną wszystkim mieszkańcom od 5 do 21-go roku życia, odznaczające się szczodrobliwością w wydatkach szkolnych; gdy się daléj weźmie na uwagę najrozmaitsze fundacye dobroczynności i użyteczności publicznéj, głównie sprzyjające interesom warstw mniéj zamożnych społeczeństwa; gdy się nakoniec uwzględni drakońskiéj surowości przepisy w handlu gorącymi trunkami i otwiérania szynków, etc., to niepodobna zaprzeczyć, że demokracya w koloniach brytańskich nie jest bynajmniéj traktowana po macoszemu i że znajduje się ona w har-

monii z wyżéj wymienionemi zasadami postępowemi, na których organizm Wielkiéj Brytanii spoczywa.

Na zakończenie tego przeglądu wymienić jeszcze należy zasadę wolnego handlu. Chociaż chwilowo w praktyce doktryny wolno-handlowe nie używają faworu i chociaż państwa wszystkie na wyścigi wznoszą przeciwko swym sąsiadom mury chińskie ceł ochronnych, to nie mniéj przeto na myśl nikomu nie przyszło scharakteryzować protekcyi handlowéj, jako absolutnie dobry, idealny stan ekonomiczny społeczeństw, bo przeciwnie, przedstawiano ją tylko jako nieuniknione złe, jako przejściowy, wychowawczy stan gospodarstw zacofanych. Wielka Brytania jedna jedyna oparła się temu prądowi reakcyjnemu i utrzymała u siebie w czynie zasadę ekonomiczną, którą inne narody wysławiają teoretycznie, ale do któréj nie dojrzały jeszcze podług swego przekonania. Jeżeliby się udało Wielkiéj Brytanii wciągnąć cały swój świat kolonialny do polityki wolno-handlowéj, to nie ma wątpliwości, że oddałaby ludzkości olbrzymią, nieocenioną usługę. Zmierza ona wprawdzie do tego celu i nigdy go z oczu nie traci, ale nietylko dotąd jest jeszcze od niego daleka, ale ma do zwalczenia wprost przeciwne prądy. Wszystkie jéj kolonie, z wyjątkiem jednéj, New-South-Wales w Australii, są za protekcyą i za wysokiemi cłami ochronnemi. Nie może być inaczéj w krajach młodych, budzących się dopiéro do ekonomicznéj wytwórczości i które są przeświadczone, że nie wytrzymają współzawodnictwa ze społeczeństwami europejskiemi, dobrze i oddawna zagospodarowanemi. Głównie pcha do protekcyi owo demokratyczno-syalistyczne społeczeństwo, o któróm mówiliśmy wyżéj. Robotnik w Kanadzie, a szczególniéj w Australii, dobrze płatny i pracujący krótko, nie chce być przez współzawodnictwo z europejskimi artykułami wytwórczości rękodzielniczéj zepchnięty ze swego obecnego stanowiska. Niepodobna przewidzieć ani kolei, jakie ta kwestya przejdzie, ani zaznaczyć jéj kresu, widocznie nader jeszcze oddalonego. Ale dość będzie nie tracić z uwagi, że Wielka Brytania będzie zawsze usiłowała przeprowadzić obniżanie ceł wchodowych, zanim do ich zniesienia całkowitego i do wolnéj wymiany przyjdzie, aby nabrać przekonania, że i na tém polu pracuje ona dla dobra powszechnego, że jest orędowniczką postępu i że świat zaciągnął względem niéj obowiązek wdzięczności.

VIII.

Dążenie wszystkich mocarstw europejskich do zdobyczy kolonialnych, dążenie, które stanowi jedną z cech charakterystycznych

epoki współczesnéj, utwierdziło w Wielkiéj Brytanii chęć do zatrzymania tych kolonialnych posiadłości, które już posiada i do rozszerzenia ich nawet o tyle, o ile to jest jeszcze możliwém. Nigdy nie było więcéj manifestacyi i energiczniejszéj agitacyi za powiązaniem Większéj Brytanii z Wielką, w organiczną jedność. Dość będzie przypomnieć urządzenie w Londynie Wystawy kolonialnéj, założenie Instytutu i Muzeum kolonialnego, utworzenie ligi federacyjnéj, na czele któréj stoi lord Roseberry, dawniéj minister spraw zagranicznych w gabinecie Gladstona, i nakoniec zwołanie przez prezesa obecnego ministeryum, lorda Salisbury, wszystkich gubernatorów kolonialnych, dla utworzenia rady federalnéj.

Zadanie jest ogromne i nie można się spodziéwać, ażeby się dało przeprowadzić w ciągu lat kilku. Całe pokolenia zaprządz się będą musiały do tego dzieła utworzenia federacyi pomiędzy wszechkrajami korony brytańskiéj. Ale jeżeli rozsądni i praktyczni Anglicy nie marzą jeszcze o parlamencie wspólnym dla monarchii i o ujednostajnieniu prawodawstwa, to starać się będą przynajmniéj, stopniowo, wyrobić pomiędzy różnemi częściami imperyum jaknajwiększą liczbę ustaw jednolitych. Już obecnie związek federacyjny objąćby mógł poczty, telegrafy, kable, patenty wynalazcze, jedność monety obiegowéj, jedność miar, wag, statystyki, ekstradycyi, naturalizacyi, egzekucyi wyroków sądowych, a zdążać powinien do ujednostajnienia długu publicznego wszystkich kolonii, nakoniec zaś do utworzenia związku celnego. Samo już to wyszczególnienie, mimo swéj niedokładności, wskazuje, że jest tu obszerne, niezmierzone pole do przebieżenia. Gdy reformy te będą urzeczywistnione, nie ma wątpienia, że zbliżenie się, zsolidaryzowanie różnych części państwowych będzie takiém, iż wspólny parlament i wspólna władza, wykonawcza, zwierzchnicza, przestałaby być marzeniem nieuchwytném, czém są dziś bez zaprzeczenia.

Lecz mężowie stanu jak sir Karol Dilke nie poprzestają na zakreśleniu takiego obszernego programatu; im chodzi o coś pilniejszego, o coś ważniejszego, o konieczność chwili bieżącéj, a mianowicie o zabezpieczenie kolonii przed napaścią zewnętrzną, o utworzenie sił zbrojnych dla całego imperyum. Już obecnie Wielka Brytania zmuszona jest poświęcać na swoją obronę rocznie sumę od 50 do 60,000,000 funtów szterl., podczas gdy dwa wielkie mocarstwa kontynentalne, Francya i Niemcy, nie potrzebują więcéj, aniżeli 37,000,000 funtów szterlingów, na ten cel obronny. Mimo tego, nietylko nakład ten nie wystarcza, ale Wielka Brytania jest zabezpieczona niedostatecznie a Większa jest po prostu oddana na łup tego wroga, któremuby się tę lub ową jéj część zagarnąć podobało. Armia Australii wynosi

30,000, Nowéj Zelandyi 40,000, Kanady 36,000 żołnierzy, a razem z Afryką te trzy grupy nie mają nawet 100,000 siły zbrojnéj prawdziwie do wojny przygotowanéj.

Dla tego sir Karol uderza w dzwon na alarm. Chce on, ażeby każda z grup kolonialnych co prędzéj zawiązała pomiędzy swemi składowemi częściami związek federacyjny i ujawniła wspólność narodową przez instytucye wspólnéj obrony, przez milicyę, armię, marynarkę, fortece, stacye węglowe, i t. d. Jednocześnie z utworzeniem tych miejscowych środków obronnych, pragnie on utworzenia siły zbrojnéj wspólnéj dla całego imperyum i którаby dążyła w razie niebezpieczeństwa na każdy punkt zagrożony. Jest to plan olbrzymi, wymagający miliardów i lat do wprowadzenia w czyn. Ale po za nim nie ma zbawienia, gdyż nie ma rękojmi bezpieczeństwa dla całości. Jedna tylko rzecz, powiada dosłownie sir Karol, jest bardziéj zdumiewająca, aniżeli ogrom państwa brytańskiego, a jest to niedbałość o zabezpieczenie jego granic.

Plan całéj działalności postawiony został w swych szczegółach i w swych celach końcowych. Anglicy wiedzą, co im czynić należy, świat postronny, czego się od nich spodziéwać będzie można. Pojedynek pomiędzy Francyą a Anglią co do hegemonii w świecie rozegrany został na korzyść Anglii. Obecnie rysuje się już nowa faza téj walki, gdzie rasa anglo-saksońska, rasa zwycięska zabiéra się do ostatecznéj likwidacyi. Gdyby tryumf zależny był jedynie od energii i zalet jednego z działaczy, toby go już z góry można było zapowiedziéć Wielkiéj Brytanii. Oprócz wielkiéj niewiadoméj, spowitéj w chmurach przyszłości, są tu jednak w grze rozmaite siły i żywioły już znane i wiadome, które o rezultacie nowéj ewolucyi żadnego stanowczego prognostyku wypowiadać nie pozwalają.

Dr. M. E. Trepka.





MIRABEAU.

Rocznica wielkiéj rewolucyi francuzkiéj spowodowała znaczne ożywienie się ruchu naukowego, mającego za cel zbadanie tego najwydatniejszego zdarzenia nowszych czasów. Równolegle z obszernymi opisami całości ruchu, który przeobraził Francyą pod koniec ubiegłego wieku, ukazywały się od dawna pamiętniki i wspomnienia rozmaitego zakroju i wartości, pojawiały się skąpiéj stosunkowo publikacye dyplomatycznych aktów, objaśniały pojedyncze wypadki i osoby wybitne w rewolucyi zajmujące stanowisko, szerokiém a często miałkiém łożyskiem płynące monografie. Uznania godnym pozostaną objawem, że w pracach około wyświecenia rewolucyi francuzkiéj, otoczonéj tradycyjną aureolą, nauka niemiecka nie ostatnie zajmuje miejsce.

Uczonym, który dziś po śmierci wielkiego Ranke'go, najzasłużeńszy ma rozgłos i najwięcéj wagi wśród historyków niemieckich jest Henryk Sybel, naczelnik archiwów pruskich. Z jego pięciotomowéj historyi epoki rewolucyjnéj, czerpie inteligencya niemiecka wiadomości swe o owych wypadkach. A na pierwszém miejscu cenić się uczy pamięć i znaczenie hrabiego Mirabeau, którego postać w dziele Sybla z wielką uwydatnia się siłą. Pod koniec ubiegłego roku, ukazał się napisany przez profesora Alfreda Sterna, dwutomowy opis życia wielkiego trybuna, budzący żywe zajęcie wśród niemieckiéj publiczności, mocno zainteresowanéj osobą hrabiego-rewolucyonisty.

Droga, po któréj Stern stąpa, w znacznéj części utorowana już była dziełem członka Akademii paryskiéj, Ludwika de Loménie, zatytułowaném „Les Mirabeau", a wychodzącém po śmierci autora, zmarłego w roku 1878, staraniem jego syna Karola. Z ukazaniem się pierwszych dwóch tomów dzieła Ludwika Loménie, nowa zaczyna się epoka w zbadaniu roli, jaką członkowie rodziny Mirabeau w dziejach Francyi

odegrali. Okazało się bowiem, że obszerne pamiętniki: [1]) „*Mémoires biographiques, littéraires et politiques de Mirabeau*", najważniejsze przez długie czasy źródło, są w wielu miejscach niekompletne i często niewiarogodne. Spadkobiercy hrabiego, nie noszący jego nazwiska, oddali pozostałe po nim papiery Ludwikowi de Loménie, pozwalając mu zrobić z nich, jak najswobodniejszy w celach naukowych, użytek; a ze śmiercią ojca odziedziczył je Karol de Loménie wraz z przygotowanym częściowo do druku manuskryptem dzieła. Zaznaczyć przytem trzeba, co ze względów naukowych jest najważniejszém, że syn sławnego autora obszernego studyum o Beaumarchais, wszelkie zdaje się mieć kwalifikacye, aby godnie dzieła ojca dokonać i dać nam prawdziwy, niezamącony żadnym stronniczym względem rys biograficzny.

Na tém dziele francuskiém, niedokończoném jeszcze, głównie się też opiera Stern w swéj pracy, a gdzie się ta nić przewodnia urywa, z chwilą wybucha 1789 r. — za pomocą osobistych stosunków nawiązanych z Karolem Loménie, który mu z wielką uprzejmością wyjaśnieniami służył, choć w części zaznajamia nas z rezultatami prac młodego uczonego francuskiego. Prócz tego, robił Stern dla pracy swéj rozległe studya w nieprzejrzanéj liczbie druków odnoszących się do jego tematu, pilnie bardzo śledził za źródłami rękopiśmiennemi w archiwach francuskich, austryackich, pruskich, a wszędzie widzimy w autorze badacza krytycznego, zdobywającego sobie nieraz mozolnie ziarnka prawdy, walczącego ciągle z pożałowania godnym faktem, że mimo tak wielkiego zajęcia się rewolucyą i jéj wybitnym wodzem, brak dotąd wydawnictwa, obejmującego pisma hrabiego Mirabeau, któreby choć skromnym wymaganiom odpowiadało. Tém się też pewno tłumaczy, że autor, cały zaabsorbowany mozolną pracą około drobnych cegiełek składających budowę, o wielkiéj całości mniéj mógł pamiętać.

I.

Jestto zwykłém zjawiskiem, że rody, które dojdą do większego znaczenia, wykazać się starają dawność swéj sławy świetnym szeregiem słynnych antenatów. Podobnie też znalazła rodzina Mirabeau sposób uświetnienia swego pochodzenia, wywodząc się od szlacheckiéj rodziny Arrighettich, wygnanéj z Florencyi w wieku XIII w czasie walk Gibellinów i Gwelfów. Gorącą i burzliwą krew, która wrzała w żyłach członków familii Mirabeau w wieku XVIII, z pewną łatwością tłumaczono sobie owém włoskiém pochodzeniem. I odtąd baśń

---

[1]) Wydał je w ośmiu tomach 1834 r. Lucas Montigny, syn naturalny adoptowany, hr. Mirabeau.

ta pokutowała we wszystkich prawie opisach rewolucyjnych i szkicach biograficznych. A ileż to rozgłosu zyskał złośliwy frazes powtarzany przez hrabiego Mirabeau, że w rodzinie jego żadnego nie było mezaliansu z wyjątkiem jednego — z Medyceuszami: *„Il n'ya jamais eu qu'une mésalliance dans notre famille c'est celle des Médicis"*. Zwrot podobny bardzo się mógł podobać w kołach rewolucyjnych, jako wyraz pogardy, a co najmniéj lekceważenia dla panującéj dynastyi, w któréj żyłach płynęła krew nienawistnych narodowi Medyceuszów. Lecz uprawnienia żadnego Mirabeau do słów tych nie miał, bo wiadomość o koligacyi z Medyceuszami, opiera się na fałszerstwach genealogicznych, do których i trybun rewolucyjny miał upodobanie. Źródło owego fałszerstwa przytacza nam Loménie w swém dziele (tom I, str. 50). Dowiadujemy się tam, że r. 1197, Averardo Medici, pojął żonę ze starożytnego fiezolańskiego domu Arriguccich. Trudnego skoku geograficznego i fonetycznego od włoskiéj rodziny Arriguccio do prowensalskiéj Riqueti, jak się przodkowie hrabiego dawniéj nazywali, dokonali przekupni fabrykanci ksiąg rodowodowych szlachty.

Po wyjściu dzieła Loménie'go, nie będą już mogli zwolennicy naturalistycznéj teoryi dowodzić ognistéj burzliwości charakteru członków rodziny Mirabeau w wieku XVII i XVIII, pochodzeniem włoskiem [1]), a goniący za mocnym kontrastem barw, nie znajdą w rewolucyoniście potomka rodziny, która w wieku XII mezalians zrobiła z Medyceuszami, która w wieku następnym rzekomo zawarła związek krwi z książęcym domem hrabiów prowensalskich, opiewanym przez trubadurów. Jeżeli Loménie nie bez słusznéj racyi bardzo obszernie poświęca wywody wyjaśnieniu początków rodziny Mirabeau i z rozległym aparatem krytycznym do walki staje przeciwko bezmyślnie powtarzanym legendom, jeżeli daje wyraz zapatrywaniu swemu, że nie jest to rzeczą obojętną, czy mąż, którego imię na zawsze połączone jest z jedném z największych zdarzeń dziejowych Francyi, był z pochodzenia Włochem czy Francuzem, to zdaje nam się że uczony recenzent w *Revue des Deux Mondes*, (zeszyt z 1-go listopada 1889, str. 112), nie oddaje wiernie tendencyi i myśli Loménie'go, gdy nawiasowo mówi, że rodzina Mirabeau pochodzi z Włoch lub z Marsylii [2]). Weźmy też pod

---

[1]) Dla ilustracyi, jak wielką passywną siłę mają podobne baśni, przytoczę fakt, że w najnowszém wydaniu encyklopedyi niemieckiéj Meyera (1888, tom XI, str. 669/70), w zawierającym kilka wierszy artykuliku o Wiktorze Mirabeau, znajduje się wieść o Arrighettich i Gibellinach i równocześnie wzmianka o dziele Loménie'go.

[2]) Artykuł: „Mirabeau, d'après un livre récent". Cytujemy słowa następne: *„cette race... qui vient peut-être d'Italie, peut-être simplement de Marseille"*.

uwagę, co to za gratka piękna dla wybujałych kombinacyi mistycznych lub skrajno naturalistycznych umysłów, gdy się zestawi włoskie pochodzenie rodziny Mirabeau i Bonaparte z losami rewolucyi.

Loménie (I, 58) przytacza nam dokument z r. 1515 o ślubie Honorata Riqueti, nauczyciela elementarnego z miasteczka Digne, z córką krawca marsylskiego Tellière. Fabryka genealogiczna wymienia nam Honorata Riqueti jako pana rozległych włości, a żonę jego, jako córkę możnego dygnitarza Le Tellier. Syn Honorata, zbogaconego z biegiem czasu na spekulacyach kupieckich, imieniem Jan, pierwszy używać zaczął dźwięcznego nazwiska Mirabeau od kupionéj w r. 1570 majętności. położonéj w górzystéj okolicy nad brzegami rzeki Durance. W czasie wojen religijnych, wtrząsających naówczas Francyą, stał wiernie przy królu i ołtarzu; pojął za żonę damę ze staréj szlachty, zgromadził znaczną fortunę, a r. 1584 po wielu zachodach, doczekał się przyznania sobie tytułu szlacheckiego. Wnuk Jana, Tomasz, najwięcéj się przyczynił do podniesienia towarzyskiego znaczenia rodu. Ożenił się w r. 1620 z panną de Pontevès pochodzącą ze znacznéj familii, a w dziewiętnaście lat potem uzyskał zapisanie syna swego do zakonu maltańskiego. Tym aktem stanął od razu ród Mirabeau w rzędzie uznanéj staréj szlachty (Lom. I, 45). W czasie zaburzeń Frondy staje Tomasz otwarcie po stronie rojalistów, w r. 1660 ma zaszczyt podejmowania młodego Ludwika XIV w domu swym w Marsylii, a syn jego Honorat uzyskał od tegoż króla tytuł markizatu dla majętności rodzinnéj.

Zajęci polityką familijną, mniéj występują na dziejowej widowni wymienieni dopiéro co przodkowie wielkiego trybuna. Teraz, po uzyskaniu wstępu do zakonu maltańskiego i tytułu markizatu, przychodzi era, w któréj imię rodzinne rozbrzmiewać poczyna dzielnością wojenną we Francyi, by wnet zajaśnieć sławą pióra w dziełach słynnego fizyokraty, a uwagę kraju i Europy całéj skupić na siebie w występach politycznych rewolucyjnego mówcy. Dziad ostatniego, Jan Antoni, (ur. 1666, zm. 1737) pokazuje nam w charakterze swym wiele znamiennych rysów, powtarzających się w synu-ekonomiście i wnuku-mówcy. Odznaczała go wielka siła żywotna, niezłomna wytrwałość i odwaga, niepohamowana ambicya i zręczność niezrównana w szermierce słów. Najpamiętniejszą przygodę w życiu tego wojaka opisuje nam Loménie, podług rysu biograficznego, skreślonego przez ojca trybuna. Było to w czasie bitwy pod Cassano r. 1705, gdy mu bronić zlecono przejścia przez most przeciw armii Eugeniusza sabaudzkiego. Żołnierzom swoim kazał się położyć pokotem, by ich ochronić przed strzałami wojsk cesarskich, a sam stanął na początku mostu. Najpierw kula przeszyła mu ramię prawe, przewiązał sobie je chustą, lewą ręką topór uchwy-

cił i odpiera pierwsze natarcie nieprzyjaciół; druga kula rozrywa mu przednią część szyi, tak, że upadł na most—zdawało się bez ducha. Pułk jego, przerażony stratą wodza, ucieka, a „cała armia księcia Eugeniusza, konnica i piechota, po jego ciele przeszła“. (Lom. I, 92). Późniéj poznany wśród poległych po pięknym ubiorze przez pojmanego w niewolę francuza, daje znaki życia. Książę Eugeniusz odsyła go księciu Vendôme, gdzie go biegły chirurg opatruje. Ciało jego całe jedną było raną, a „głowa na wpół oddzielona była od ramion“. Widać z opisów późniejszych, że pułkownik Mirabeau rzeczywiście ciężko był wówczas ranny w ramię i szyję, resztę zaś opowiadania, śmiało między bajki włożyć można. Dla nas pozostanie pouczający fakt, jak wielka panowała przesada u potomków wojaka, gdy im szło o uświetnienie własnego przodka. Przyszedłszy do zdrowia, ożenił się w r. 1708 z panną rzadkiéj piękności z domu de Castellane, blizko o lat dwadzieścia od siebie młodszą i doczekał się z niéj siedmiorga dzieci, z których trzech przeżyło go synów.

Liczne też obiegają anegdoty o złośliwym języku pułkownika. Raz, wracając ranny z bitwy, spotkał marszałka polnego Chamillarda, którego brat, człowiek ograniczonego umysłu, był ministrem wojny; Chamillard go przywitał obietnicą, że doniesie bratu o chlubnéj walce, pułkownik na to odparł: „brat pański szczęśliwy, że ma pana, bo bez tego byłby najgłupszym człowiekiem królestwa“. Ciekawszą jeszcze była odpowiedź, którą miał podobno dać Ludwikowi XIV. Gdy go ks. Vendôme na dworze przedstawił, sławiąc, że wciągu całéj wyprawy włoskiéj nie zdejmował zbroi, odezwał się w te słowa do króla: „tak, N. panie, gdybym był, opuściwszy wojenne znaki, na dwór królewski się udał i opłacał jaką metresę, uzyskałbym awans i mniéj odniósłbym blizn“. Loménie słusznie odrzuca wiarogodność téj wiadomości, albowiem, pominąwszy inne względy, Wiktor Mirabeau, który nam te wszystkie szczegóły podaje, potwierdza na innéin miejscu, że pułkownik, mianowany z chwilą dymisyi brygadyerem, wielki miał szacunek dla Ludwika XIV. Cechowała go obok rycerskości religijność, coraz rzadsza w owych czasach w towarzystwie francuskiém, corocznie w dzień bitwy pod Cassano do komunii przystępował, a ostatnie chwile życia spędzał na pobożnych rozmyślaniach. Jestto ciekawy szczegół, że wnuk jego, trybun, który w celach pieniężnego zysku na manuskrypcie ojca dotyczącym życia pułkownika, plagiatu (Lom. I. 21) się dopuścił, pominął milczeniem ustęp, cechujący stanowisko religijne dziada (Lom. I, 98/9). Tém samém zaznaczył swoje w obec religii stanowisko.

Pozostała po Janie Antonim wdowa, przebywała aż do swéj śmierci, w r. 1769, w domu ojca trybuna. Mimo wielu zalet rozumu

i serca, wpływu na sławnego wnuka swego nie wywarła. Owszem, niechęć miała dla niego z powodu podobieństwa do znienawidzonéj synowéj i przelała to usposobienie na syna. Oddana pod koniec życia przesadnéj dewocyi, mało była zdatną do pracy wychowawczéj, a lat trzy ostatnie przechorowała, cierpiąc na umyśle.

Najmłodszy z synów téj pobożnéj matrony i pobożnego ojca, Ludwik Aleksander, ożeniwszy się z metresą marszałka Saskiego, unikać musiał stosunków z rodziną. Późniéj, po śmierci pierwszéj żony, pojął niemkę szlacheckiego rodu, co mu znowu otworzyło wstęp do familii. Umarł jednak rychło, a wdowa jego pozostała w domu Wiktora Mirabeau i oddawała się z abnegacyą pielęgnowaniu nieszczęśliwéj matki męża. Ojciec trybuna aniołem ją nazywa w porównaniu ze swą żoną, którą zwie szatanem.

Najwięcéj lubianym przez matkę był drugi z rzędu syn, który występuje w opisach z tytułem „bailli", noszonym przez komturów zakonu maltańskiego. Dzielny marynarz i w praktyce i w teoryi, został r. 1753 gubernatorem Guadelupy i wówczas wypowiadał śmiało humanitarne zdania przeciw niewolnictwu. Karcąc bez ogródki nadużycia administracyi rządowéj, występując z prejektami reform, stał się urzędnikiem dla starego systemu bardzo niewygodnym. Z patryotycznym bólem patrzał na przewagę morską Anglików, a nie znalazłszy w sferach rządzących, gdzie réj wodziła Pompadour, zrozumienia sytuacyi i potrzeby reform, usunął się do swego zakonu. „W dziejach życia bratanka swego wielką odegrał rolę, był dobrym duchem rodziny, któréj członkowie przewagę jego moralną uznawali, i najlepsze pod każdym względem strony charakteru ojca i matki odziedziczył". Jedną tylko miał dziedziczną wadę familijną, otwartego piętnowania błędów i win w otaczającém go społeczeństwie. W kilka lat po wstąpieniu do zakonu został komturem i dwie posiadł komandorye z dochodem rocznym 50,000 franków. Dbały wskutek dziedzicznego instynktu o świetność familii, wszystko, co miał, na jéj oddawał usługi, a gdy na początku r. 1767 brat jego starszy, a ojciec trybuna, zapragnął go mieć u siebie, natychmiast go usłuchał i niebawem opuścił matkę. „Uważam się wyłącznie, pisał bratu, za cząstkę rodziny i uważam sobie za obowiązek usłuchać słów jéj głowy". W dziesięć lat potém na krótszy czas na wyspę zakonną wrócił, a gdy się podniosła burza rewolucyi, stale na niéj osiadł i umarł tamże r. 1794, nie doczekawszy się zdobycia wyspy przez Napoleona.

Więcéj bez porównania rozgłosu i znaczenia zyskał najstarszy z trzech synów dzielnego bohatera z pod Cassano, imieniem Wiktor; lecz ze sławy dobréj w obec potomności obdarły go wymowne oskarże-

nia własnego syna, który z nieprzepartą siłą zręcznéj argumentacyi dał początek i treść mniemaniu tradycyjnemu, jakoby Wiktor Mirabeau był wcieleniem obłudnego tyrana. A opinia ta tak silnie opanowała współczesnych i potomnych, że na długie czasy w zapomnienie poszło, co ojciec trybuna zdziałał jako myśliciel i pisarz. Później, pod koniec swego życia, starał się trybun „wprawdzie z pobudek bardzo egoistycznych“ (Stern I, 10) podtrzymać sławę literacką ojca, lecz zapóźno już było. Opinia publiczna inny już sobie sąd upodobała. Wiktor Mirabeau posłany w młodości dla nauki do Paryża, zaczął zaglądać za kulisy i oko jego padło na piękną artystkę. Odpokutował potém ciężką chorobą swe upodobanie, a rozgniewany ojciec odebrał dziewiętnastoletniego młodzieńca ze stolicy i wysłał go na pole wojny r. 1734. Po jéj ukończeniu napróżno pukał Wiktor w Wersalu o awans, a nie mając siły do porzucenia lekkiego życia stołecznego, w coraz większe popadał długi. Śmierć ojca nareszcie zrobiła go dziedzicem markizatu Mirabeau i pozwoliła rozporządzać, po potrąceniu zobowiązań w obec rodziny, dochodem rocznym 16 tysięcy franków. Puścił się na spekulacye, kupił za znaczną sumę zaniedbaną majętność Bignon pod Nemours, nabył dom w Paryżu i zaczął na majętności rodzinnéj budować kanał—przedsiębiorstwo, jak się okazało późniéj, chybione zupełnie. Przytem opanowało go gorące pragnienie zyskania sławy w rzeczypospolitéj literackiéj. Pisze bez przerwy prozą i mową wiązaną, poznaje, stojąc załogą w Bordeaux, Monteskiusza i pod wrażeniem tego spotkania, dostojniejszym mu się jeszcze wydaje wieniec literackiéj sławy. Zamiłowanie wyrabia się w nim z czasem do kwestyi agrarnych, przyjacielowi swemu Vauvenargues, subtelnemu i zacnemu autorowi „Wstępu do poznania ducha ludzkiego“, z dumą mówi o swych zajęciach, a wstyd mu i żal dawniejszego trybu życia; oskarża się przed nim, że „całém zajęciem młodości jego nierozsądnéj były kobiety“, że „nieumiarkowanie drugą mu się stało naturą“. Wielki moralista zwracał mu natomiast uwagę na to, w jak niebezpiecznéj kombinacyi znajdują się w nim ujemne rysy z dodatniemi, wytykał mu głównie jego burzliwość i niestałość, gonienie za zabawami, wiadomościami i zaszczytami.

Za radą innego dobrego przyjaciela, wybrał sobie markiz żonę w r. 1743 nie podług serca, lecz dla zrobienia „dobrego interesu“. Pragnął majątkiem familii de Vassan powiększyć kiedyś swe mienie rodzinne i uczynić ród własny, jak się do brata komtura wyraził, z prowensalskiego francuskim. W téj gorączkowéj gonitwie za podniesieniem materyalnego bytu rodu, nietylko że celu nie osiągnął, lecz nadwątlił nawet własną fortunę. Nie był to lekkomyślny rozrzutnik,

przeciwnie, mało na swoję osobę wydawał, oszczędny był w wydatkach na utrzymanie domu, płacił regularnie długi, lecz w tym celu nowe zaciągać musiał, ztąd też z książek, jak najdokładniéj regestrujących wydatki, przekonywał się ze zgrozą o wzrastającym deficycie. Był, według Sterna „niepoprawnym twórcą projektów"; z jednéj spekulacyi nieudanéj w drugą wpadał, ale, co prawda, ducha nie tracił. Najgorzéj przeliczył się w spekulacyi małżeńskiéj. Zamiast dochodów miał tylko straty i kłopoty. Na domiar, kupuje 1752 r. od księcia de Rohan księstwo Roquelaure, położone w Gaskonii za 450,000 liwrów. Niewidziawszy Roquelaure na oczy, podpisuje kontrakt kupna wbrew radzie rozsądnéj swéj matki. Pobawił się tytułem księcia de Roquelaure i ucieszył się w końcu, gdy mógł księstwo swe rządowi sprzedać. Oszczędny w domu, starał się w obec świata o pozory wielkiego pana, miał znaczne wydatki na brata maltańczyka, który jednak po uzyskaniu stanowiska sowicie mu się za pomoc daną odwdzięczył. Córce swéj drugiéj z rzędu dał znaczny posag, by mogła zrobić świetną partyę. Jakby jeszcze za mało miał kłopotów, utworzył za pośrednictwem swego sekretarza, bo sam, jako szlachcic, otwarcie udziału brać nie mógł, akcyjne towarzystwo w celu wyzyskania kopalni ołowiu, w prowincyi Limousin położonych. Po trzynastu latach na tém stanęło, że markiz mógł się eufemistycznie odezwać, iż kopalnie piękne obiecują nadzieje. Najpewniejszém źródłem dochodów była ofiarność komtura, który, prócz zwrotu łożonych na swą karyerę nakładów, zapewnił mu 15,000 liwrów renty rocznéj ze swych komandoryi. Komtur w ten sposób ocenia głowę rodu: „stworzonemu do kierowania wielką machiną, przypadło tobie troszczyć się o małą, którą prowadzisz w ten sposób, jakby wielką była... Król może swego pierwszego ministra zmienić, lecz mąż żonę swą zatrzymać musi, a kto wybrał sobie niegospodarną, nigdy gospodarstwa w ładzie mieć nie będzie, choćby był jak najsprytniejszym. A w dodatku od stworzenia świata nikt dotąd nie widział takiéj kobiety i takich dzieci, jakiemi ciebie Bóg obdarzył." Uczony spekulant przeliczył się w swych rachubach finansowych przy ożenku, a gorzéj jeszcze zawiódł się na charakterze żony. Niegospodarna w wysokim stopniu, zaniedbana w ubraniu i tualecie, bez wykwintnych form, nie mogła stworzyć z mężem, mającym gusta wyższe, dobranego stadła.

Około połowy XVIII wieku zmienił się smak w wykształconém towarzystwie francuskiém. W salonach stolicy znikało zajęcie się sprawami estetycznemi i dziełami sztuki, a zaczęto z ożywieniem rozprawiać o reformie podatków i cłach ochronnych. Voltaire na szczycie swéj sławy stojąc, w r. 1769 wyraził się pogardliwie o tych dyskusyach, które kraju nie zbogacą „ani o jeden talar, ani o jednego czło-

wieka". Do wzmocnienia tego kierunku zajmowania się położeniem ekonomicznėm kraju, przyczynił w znacznéj mierze markiz Mirabeau. „Choćby ręka moja z bronzu była, dawno byłbym ją zużył na pisanie", odezwał się w późniejszym wieku. Pisał bardzo wiele, na długo przedtém, nim się odważył publicznie przedstawić krajowi jako literat. Zaczął od spisywania projektów wywyższenia rodu. *Idée fixe* markiza była, że familia jego majątkiem i wpływami pierwsze powinna zająć miejsce we Francyi. Pisze o tém dla swych dzieci w swym szumnie tak nazwanym „testamencie politycznym", stawia im rodzinę Gwizyuszów za przykład. Więcéj nas zajmują zapatrywania polityczne markiza. Cechuje go wielka nienawiść do centralizacyjnych dążeń w państwie. Z tego téż względu jest za przewagą polityczną arystokracyi, za jéj wolnością od płacenia podatków i władzą nad chłopstwem; bo z chwilą ustania różnic socyalnych w społeczeństwie, rząd uważać będzie zrównany naród za jednę wielką trzodę, wzmoże się potęga urzędników państwowych, których markiz głęboko nienawidzi, przestanie pulsować życie samodzielne prowincyi, a „krew państwa napłynie do stołecznego miasta, jako do głowy" (*Mémoire sur les États provinciaux).* Jednėm słowem, pragnie ojciec trybuna, zaprowadzenia sejmów stanowych dla pojedynczych prowincyi. Szlachta, przytrzymana udziałem w sejmach, pozostanie w swych stronach rodzinych i nabierze zrozrozumienia praktycznego dla ich potrzeb. Obok niéj zasiędzie duchowieństwo „nauczające codziennie posłuszeństwa". Stan zaś trzeci na to jest „przeznaczony", by ponosił główną część ciężarów publicznych. Gdy Wiktor Mirabeau z temi zapatrywaniami wystąpił, cztery tylko miała Francya prowincye, w których przechowały się jeszcze stany prowincyalne, aczkolwiek zagrożone w swym bycie przez centralizującą biurokracyą. Idee, głoszone przez „przyjaciela ludzi", nowe nie były. Znała już je Francya z dzieł Vaubana, Boisguilleberta, Fénélona, lecz nikt dotąd z równą siłą nie przemawiał za decentralizacyą administracyi. A zaszczyt był nielada dla bezimiennego autora, gdy książkę jego przypisała opinia Monteskiuszowi, który był w wyszłym swym w dwa lata wprzódy „Duchu praw" przedmiotu tego lekko dotknął.

Najlepszą część wiedzy swéj zawdzięczał trybun ojcu, więc nie bez interesu jest dla nas przyjrzeć się, o ile syn szedł za wzorem ojca, a w czém od niego odstąpił. Sławę swoją ugruntował markiz wydaném w r. 1756 dziełem: „*Ami des hommes*". Znajdujemy w niém ogólny pogląd, że rolnictwo pierwsze powinno zajmować miejsce w państwie. „Państwo, mówi Wiktor Mirabeau, jest drzewem, którego korzenie tworzy rolnictwo, pień—ludność, gałęzie—przemysł, liście—handel i sztuki; z korzeni bierze drzewo swe pożywienie". Korzenie państwa zdają

mu się być niezdrowe. Domaga się podtrzymania stanu średniego, rolnego, a niebezpieczeństwo widzi w latyfundyalnéj własności, bo „jako wielkie szczupaki przerzedzają stawy, tak wielcy właściciele przytłumiają małych“. Dla ułatwienia zbytu produktów rolnych, żąda założenia dróg dobrych, zniesienia krępujących ceł wewnętrznych, utrudniających zamianę swobodną. Ostro krytykując panujący system merkantylny; twierdzi, że nie podnosi się bynajmniéj dobrobytu kraju, gdy się zewsząd gromadzi i ściąga masy złotego kruszcu, domaga się zniesienia niezliczonych edyktów, deklaracyi, regulaminów i usunięcia inspektorów ubezwładniających handel, a cła ochronne mieni być rezultatem „niedorzecznéj, haniebnéj nauki“. Tylko zupełna wolność handlowa może kraje zabezpieczyć od okrucieństwa wiecznych wojen. Jest to mowa agitatora oburzonego smutném położeniem swéj ojczyzny. W ten sposób wygłosił markiz już przed Quesnay'em zapatrywania, których pierwszeństwo uprzedzona do niego potomność nadwornemu lekarzowi pięknéj grzesznicy wersalskiéj przypisywała. „Przyjaciel ludzi“ był arystokratą, lecz prądy wieku nie przeszły mimo niego bez śladu. Podnosił w szlachetnym zapale znaczenie drobnych i maluczkich, poświęcających się pracy rolnéj; nie podzielając zapatrywań religijnych „silnych duchów“, kształconych na wzorach Voltaire'a i Diderot'a, stawał w obronie życia klasztornego, równocześnie jednak napominał sługi kościoła do naśladowania „miłosiernego boskiego założyciela“; ogłaszając tolerancyą za „największe zło“, gdy się aż do indyferencyi w obec religii posunie, nie uznawał w religii nic, coby nie było owiane „duchem łagodności i miłości“.

Jakby zapowiedzią roli przyszłéj syna, jest ostre i bezogródkowe zwrócenie się otwartego rojalisty z napomnieniami do dzierżyciela tronu. Zbawienia dla Francyi wyglądał od despotyzmu, lecz nie od despotyzmu swawoli, tylko od „despotyzmu prawnego“ (Stern, I, 41).

Miodowe miesiące świeżéj sławy autorskiéj sprowadziły znajomość markiza z Quesnay'em. Lekarz pani de Pompadour zwrócił autorowi „Przyjaciela ludu“ uwagę na słabą stronę jego wywodów. Podejmując raz markiza u siebie w zamku wersalskim, oświadczył mu, że w dziele owém zaprzągł niejako pług przed woły, ogłaszając za miarę dobrobytu liczbę ludności, kiedy według własnego sądu uważał dobrobyt za podstawę pomnażania się ludności. Ugiął się Mirabeau przed powagą Quesnay'a i słuszność mu przyznał. Za jego to namową napisał w r. 1760 swą teoryę podatku (*Théorie de l'impôt*), skierowaną przeciw zwykłemu we Francyi wydzierżawianiu podatków. W książce téj nazwał króla „pierwszym urzędnikiem państwa“ i dowodził, że z 600 milionów franków podatków, 250 milionów tylko do kas

państwowych wpływa. Podniósł się krzyk wśród dzierżawców ceł i podatków, na mocy wydanéj przez króla *lettre de cachet* uwięziono markiza na zamku w Vincennes, zkąd uwolniony staraniem Quesnay'a i jego pacyentki, w majętności swéj Bignon internowany został. Po kilku tygodniach skończyło się i to wygnanie markiza, które według złośliwéj uwagi syna „w rocznikach sekty ekonomicznéj" było tém, czém hedżra proroka dla muzułmanów. Poglądy nowéj szkoły ekonomicznéj zajmowały wszystkie światłe umysły, a gdy do ministeryum powołano Turgota, uczestnika w eksploatacyi kopalni ołowiu, zorganizowanéj przez Wiktora Mirabeau, choć w części urzeczywistniony został program fizyokratyczny. Przedewszystkiém zwolniono handel zboża i mąki od krępujących więzów. W ciągłéj pracy duchowéj zmieniały się i powoli dojrzewały, co za mało bywa uwzględnione, zapatrywania markiza. Gdy mu w lat dwadzieścia pięć po wydaniu pamiętnika o stanach prowincyalnych, przyszło na ten sam temat wypowiedzieć swe zdanie, nie stawia już żądania rozdziału trzech stanów, a za podstawę reprezentacyi, przyjętą także przez Turgot'a, bierze własność gruntu w ogóle. Niestety, z wczesnym upadkiem ministra-fizyokraty, upadło także to, co tenże zdziałał i zamierzał dla dobra kraju.

Do tego publicznego żalu wskutek dotkliwéj porażki nowego systemu ekonomicznego, przyłączyły się u markiza kłopoty familijne.

W tradycyi pozostała pamięć markiza jako tyrana żony swéj i dzieci. Badania Loménie'go, potwierdzone powtórzeniem rezultatów przez prof. Sterna, pokazują nam dobitnie, że markiz, w zatargu z żoną zachował się jako człowiek cierpliwie znoszący nieodmienną sytuacyą. Brat jego komtur, znany z oględności i łagodności, zarzuca mu, że nie ma odwagi zająć we własnym domu stanowiska przynależnego. Maltańczyk nie czuł sympatyi dla kobiety, która według jego słów: „łącząc w sobie wszystkie niecnoty obu płci, nie ma żadnego uroku własnéj". W portrecie z jéj młodości razi w twarzy wyraz grubo zmysłowy. Nikt jéj markizowi nie zazdrościł, przyjaciele markiza nazywali ją „najgłupszém na świecie stworzeniem", a poważna i surowych obyczajów matka męża na wojennéj z nią stała stopie. Jedynie mąż jéj przez długi bardzo czas zdawał się być ślepym na jéj ułomności, własnemu nawet bratu co najwyżej żartobliwie donosił o „niesnaskach przytrafiających się w domu każdym". „Już trzynaście lat był z nią zaślubiony, gdy tego upiększającego zwrotu użył i wielkim jest dla niego zaszczytem, że przez lat tyle bronił żony swéj od zaczepek otoczenia" (Stern). Duma jego nie pozwalała mu się przyznać jak okropnie się przerachował ze swym ożenkiem. Później pisał mu komtur: „komu

utaiłeś według swego mniemania błędy i niecnoty téj kobiety? Mnie ani tygodnia, tak samo matce naszéj“. Gdy po ostatecznêm rozejściu się małżonków, markiz zapragnął córkę swoję markizę du Saillant żyjącą u niego z mężem i dziećmi przestrzedz przed wadami krwi rodzinnéj, następny jéj dał obraz żony swéj. Było to najmniejszém, że jéj zarzucił „obmierzłe i najbezwstydniejsze wychowanie“, gdyż nie jéj to było winą, za to ostrzegał córkę swą przed wybrykami niepohamownéj wściekłości rodu matki. „Żadnego śladu wstydu“ odkryć nie było można w młodéj pani; karesy, z któremi się wobec wszystkich mężowi swemu narzucała, raziły ludzi dobrego smaku, a sceny mu robiła, gdy się na dwie mile z domu oddalił. Leżąc w łóżku przyjmowała w swéj sypialni każdego, nawpół tylko ubrana przyjmowała obcych, oficyalistów i kupców; wszystko sprawiało wrażenie jakby u rozpustnicy“. Zastrzega się przytem ojciec wobec córki, że przedstawia jéj na razie tylko zewnętrzne nawyknienia matki, a opis cały streszcza temi słowy, że była ona „potworem dzikości wszelkiego rodzaju“. Wybryki markizy czasem pozwalały wątpić o jéj zdrowym rozsądku, nietylko że była żoną wiarołomną, lecz nie wstydziła się nawet własnoręcznym podpisem kochankom występek swój zaświadczać. Gdy młody jéj syn a przyszły trybun w r. 1771 matkę do zgody z ojcem nakłaniał, tak się têm oburzyła, że porwawszy pistolet strzeliła do niego; szczęściem ocalał. Później w listach z Vincennes, chociaż wtedy miał w matce swéj aliantkę i po jéj stał stronie, opowiada, że rozum jéj nad zboczeniami serca nie panował, że rozgorączkowana jéj fantazya za młodu w zmysłowości się objawiała, na starość rozgoryczała charakter i popychała ją do wybryków (Stern I, 48). Nie można wprawdzie zbytniéj przypisywać wagi zdaniu hrabiego Mirabeau, bo opłacany przez matkę w procesie z ojcem sławił jéj zacność, by ją potem pozyskany przez ojca równie ostro zaczepiać, — charakterystycznêm jednak pozostanie, że na łożu śmierci, nie wpuścił do siebie matki, która go pragnęła odwiedzić (II, 304). Wszystko razem wziąwszy, osądzić łatwo, że niedobrani rodzice trybuna szczęśliwego małżeństwa tworzyć nie mogli. Ambitny markiz ani w układaniu swoich poglądów świadczących o rozległym duchowym horyzoncie, ani w usiłowaniach około podniesienia towarzyskiego i materyalnego rodziny poparcia w żonie znaleźć niemógł.

II.

Gabryel Honorat hr. Mirabeau, urodzony w r. 1749, był synem tego stadła pobłogosławionego jedenaściorgiem potomstwa, z którego sześcioro za młodu umarło. Cieszono się bardzo urodzeniem przyszłéj

głowy rodziny, bo brat jego starszy napił się atramentu, o co nietrudno było w tym pisarskim domu i umarł wskutek tego. Gabryel przyszedł na świat z głową fenomenalnie wielką, z wykrzywioną nóżką i przyrośniętym językiem, brzydki lecz nadspodziewanie silny. Uznano za potrzebne uprzedzić ojca o brzydocie nowonarodzonego, by go pierwszym widokiem nie przerazić. W trzecim roku życia dostaje Gabryel ospy, która go jeszcze więcéj oszpeca. Ojciec pisze o nim w r. 1754 do komtura, że szpetnym jest jak szatan; widzi w nim podobieństwo do znienawidzonego sobie teścia, a zapatrywania jego podziela surowa i pobożna babka, mówiąc że to „cały Vassan“ (Lom. I, 115). Nieszczęściem podobieństwo nie ograniczyło się jedynie fizyczną naturą chłopca.

Markiz, troskliwy o wykształcenie syna, oddaje go w ręce panu Poisson, pedagogowi wybranemu z największą skrupulatnością, pełnemu wiedzy i serca. Bez przerwy napychał nauczyciel i ojciec-fantasta umysł dziecięcy wszelkiemi wiadomościami. Młody Gabryel nad wiek stał się rozwinięty i nabył zasobności i giętkości umysłu, pozwalającéj mu późniéj znosić choćby największe prace. Wrażenia ojca z zachowania i z postępów syna dziwnie nieraz są sprzeczne. Raz chwali w nim dobroć i zacność, drugi raz znowu stanowczo go potępia i komedyantem nazywa. Gdy uznano, że się już wyczerpała skarbnica wiedzy Poissona, oddano Gabryela — nie ufając akademii wojskowéj zpowodu panującéj tam swobody, na pensyą prywatną księdza Choquarta w Paryżu, bardzo naówczas uczęszczaną przez młodzież francuską i zagraniczną. Kolegom swoim wydał się młody hrabia sarkastycznym i uszczypliwym w dyskusyi, brudnym i niedbałym w ubraniu a przemądrzałym nad wyraz wszelki. Opanował jednak wszystkich i do każdéj rzeczy kolegów swych nakłonić zdołał. Zdaje się nawet, że go polubili rówiennicy, raz bowiem, gdy markiz chciał oddać syna swego na ostrzejszą pensyę, wszyscy za jego pozostaniem się wstawili. Pod ręką zasilała sekretnie matka swego pierworodnego przesyłkami pieniężnemi, więc nieźle mu się zapewne spodobało życie na pensyi. Potem oddał go markiz do wojska, do pułku, stojącego w Saintes, pod dowództwo znanego z ostrego rygoru pułkownika. Nie zasmakował w skromném mieściem młody Gabryel, grywał i przegrywał znacznie, starał się ze skutkiem o względy dziewczyny, którą pułkownik jego także sobie upatrzył, w końcu umknął cichaczem do Paryża. Za to osadzono go na wyspie Rhé. Wzburzony tymi wypadkami ojciec, pisze komturowi o zdolności Gabryela do szatańskich intryg, o jego duchu demonicznym. Po kilku miesiącach uwolnił go jednak, by go wysłać jako podporucznika na Korsykę i zdumienie jego było zapewne niemałe,

gdy wkrótce usłyszał słowa podziwu przełożonych o nadzwyczajnych zdolnościach Gabryela do zawodu wojskowego. Z Korsyki udaje się młody hrabia do bawiącego w Mirabeau stryja-komtura. Niebawem zupełnie go opanował ogromem swéj wiedzy i żywością umysłu. „Jeżeli nie jest gorszym od Nerona, lepszym się stanie od Marka Aureliusza, bom nigdy, zdaje mi się, podobnego umysłu nie spotkał; rozumu ma więcéj od szatana... albo jest najzgrabniejszym na świecie przedrwiwaczem, albo też największym będzie człowiekiem Europy, by zająć stanowisko papieża, ministra, wodza lądowéj armii lub floty, kanclerza i t. d.“ Taką opinią wydaje o bratanku zacny maltańczyk, lecz zaraz po jego wyjeździe rozczarowanie częściowe nastąpiło, gdy się dowiedział, że Gabryel nie kontentował się uregulowaniem dawnych długów, lecz nowe pozaciągał, licząc na dobre serce stryja. Po wielu namysłach zdecydował się nareszcie markiz przyjąć syna swego na zamku, Aigueperre w Limousin. Pierwsze wrażenie, jakie na ojcu zrobił było ujemne, lecz wkrótce przeminęło i Gabryel zręcznością pozyskał zaufanie ojca. Staje się jego sekretarzem, pod jego okiem wyrabia swe pojęcia o polityce, zajmuje się praktycznemi sprawami prawnemi poddanych. Markiz podziwia niestrudzoną pilność syna w pracy na polu i przy biurku, podnosi jego zręczność, któraby „dyabła do desperacyi przyprowadzić“ mogła, a zastanawiając się, coby właściwie w świecie począć z tak „wybujałą ilością soków duchowych i fizycznych“, pisze komturowi, że widzi jedną tylko odpowiednią dla Gabryela partyą, „cesarzową północy“. Wprowadzony na dwór wersalski, robi młody hrabia wrażenie swą oryginalnością i imponuje umysłem. Często wzięcie jego raziło, jak wtedy, gdy przedstawiony dopiéro co staremu hrabiemu Maurepas, w rozmowie z nim za guzik u surduta go chwycił.

W niezwykłéj pewności siebie zaczyna starać się o rękę majętnéj jedynaczki prowensalskiéj de Marignane. Familia panny, otoczenie jéj jest mu przeciwne, panna sama sympatyi mu nie okazuje. Wytrawnemu uwodzicielowi udaje się ją skompromitować, ślub nastąpić teraz musiał. Po piętnastu miesiącach pożycia z końcem r. 1773 mimo znacznych dochodów własnych i żony, urosły weksle i długi do pokaźnéj sumy 200,000 franków. Zakłopotani tą lekkomyślnością teść i ojciec, chcąc go zarazem uwolnić od nieustannych nagabywań wierzycieli, wydostają od króla *lettre de cachet*, internującą go w Mirabeau, a następnie w Manosque. Nie zważając na ojca i powagę królewską, opuszcza hrabia Manosque, bawi się i podróżuje, a poróżniony ze słabym fizycznie i starym baronem de Villeneuve napada go z nienacka, zbija go dość niebezpiecznie i spycha ze stroméj góry. Oskarżony wskutek tego, niemiał potrzeby lękać się sądu, bo *lettre de cachet* stawiała go, jak się wy-

rażano, „pod ręką króla“, uwalniając od odpowiedzialności w obec prawa. Wśród urządzeń dawnéj Francyi najcięższa może klątwa ciąży na *lettres de cachet*; przyszły trybun jednak na razie ofiarą dawnego systemu nie był, zwodził jedynie sądy i pokrzywdzonych wierzycieli.

Z wyspy If ożywionéj stosunkami z pobliską Marsylią przeniesiono Gabryela do opuszczonéj i samotnéj twierdzy Joux, w górach Jura położonéj. Uzyskał tu jednak od komendanta pozwolenie wynajęcia sobie mieszkania w pobliskiém mieście Pontarlier. Zawiązywał znajomości z mieszkańcami okolicy, a choć zobowiązany był na noc do twierdzy wracać, nieraz o tém zapominał i w wycieczkach swych aż do Szwajcaryi się zapędzał. O sławnym romansie hrabiego z panią Zofią de Monnier obszernie i gruntownie traktuje Karol Loménie na podstawie niewydanych i nieznanych dokumentów. Dotąd czerpano wiadomość o tym stosunku z niezasługujących na wiarę „Listów z Vincennes“. W opisie Karola de Loménie romans Zofii i Gabryela traci bardzo na uroku. Pani de Monnier nie była wcale wyższą kobietą; z szesnastym rokiem życia wyszła za markiza de Monnier, starca siedmdziesięcioletniego. Para była tak dobrana, że Voltaire przesłał na ręce ojca panny, z którym pozostawał w stosunkach, swe błogosławieństwo i życzenia. Spodziewano się, że młoda pani wnet bogatą stanie się wdową, mogącą zrobić świetną partyą, lecz stary Monnier umierać jakoś nie chciał. Nudzi się też pani Zofia przy starcu, szuka rozrywek, pewien oficer artyleryi oddaje jéj swe serce, a ona wywdzięcza mu się opłacaniem długów. Stosunek właśnie ostygał, gdy się nadarzył zwycięski więzień z Joux. Zapominano w kołach niewieścich o odstręczających manierach, o brzydocie twarzy i nieproporcyonalnéj grubości talii, gdy dowcipne swe usta otworzył i w oczach ogniem zabłysnął, mimo woli ulegano urokowi ujmującéj rozmowy; pani Monnier nie stanowiła wyjątku. Poczciwy pan Monnier powziął dla hrabiego uczucie przyjaźni, wydawał uczty na jego cześć i stawał w jego obronie, gdy komendant twierdzy, chcąc powściągnąć nadużycia więźnia, wrócić mu do twierdzy przykazał. Pani Monnier dzieli w téj mierze zapatrywania męża i ukrywa hrabiego przez dwa dni w pokoiku przytykającym do jéj sypialni. Po wiele razy chronił się Mirabeau potém na noc do swéj opiekunki. Innem okiem, aniżeli państwo de Monnier, patrzała na zachowanie się hrabiego rodzina młodéj mężatki. Otoczyła ją nawet zakonną strażą, lecz miłość, wszelkie przemagająca zapory, zmyliła czujność rodziny. Pan Monnier zapragnął za namową żony zaprzestania dalszéj kontroli i wkrótce małżonkowie znowu pozostali sami. Tę chwilę upatrzyła zakochana para, by razem opuścić Pontarlier. Zofia Monnier brała na siebie całą odpowiedzialność ucieczki i dawała dowody

później, że umie cierpieć dla tego, którego kochała. Hrabiego zaś nie sama tylko miłość skłoniła do tego kroku, lecz w większéj mierze wyrachowanie, bo ogołoconego ze środków czekałaby za granicą nędza, od któréj go tylko pani Monnier wybawić mogła Loménie kładzie słusznie nacisk na to, że w chwilach najkrytyczniejszych bohatera rewolucyi, zawsze na uwadze mieć trzeba jego finansowe położenie. Starał się téż Mirabeau w trudnych okolicznościach o inną drogę wyjścia. Z Pontarlier pisał do żony, prosząc ją, by się zajęła jego dolą i przybyła do niego. „Zimną, jak lód" na to odebrał odpowiedź. W lat kilka potém, uprzytomniając sobie odmowę żony, zawołał: „okryty jestem, co prawda, wielkimi grzechami, lecz Ty, jedyny, wielki Boże, wiész, czybym był tak daleko zabrnął w złém, gdyby list ów inną był wywołał odpowiedź". Opuszczony przez żonę, nie mogącą bynajmniéj ze względu na własne życie kamieniem potępienia rzucić na męża, ochoczo schwycił się Miorabeau lukratywnego stosunku z majętną mężatką. Zofia Monnier w drobnych partyach zabierała pieniądze i kosztowności z domu męża i oddawała wszystko kochankowi. Okradziony starzec obliczał straty swoje na 25,000 franków. Zakochana para po rozmaitych przejściach znalazła się w Holandyi. W kilka miesięcy wyczerpały się zasoby. Gabryel chwycił się literackiéj pracy jako deski ratunku, zajmował się tłumaczeniami i wydał „Odezwę do Hessów i innych narodów Niemiec, sprzedawanych przez swoich książąt do Anglii". Porozumiawszy się z matką, procesującą się z ojcem, zaczął go drażnić pamfletami. W gazetach umieszczał artykuły odejmujące ojcu cześć wszelką, a następnie odbitki matce do rozszerzania przesyłał. Czasem sam o sobie się rozpisywał w anonimowych artykułach, pouczał publiczność o szlachetności hrabiego Mirabeau, nad którym podwójna się pastwi tyrania ojca i króla. Wreszcie napisał panegiryk na cześć swéj „nieszczęśliwéj, czcigodnéj matki" i posłał jéj 600 odbitek. Radośnie oczekiwał Gabryel w obec rozgrywającego się procesu ogłoszenia wyroku, który według jego przypuszczenia, miał stwierdzić ruinę moralną i materyalną ojca. Niecierpliwił się, gdy adwokat matki nie dość zręcznie zwalzwalczał stronę przeciwną i sam pragnął zająć jego miejsce. Ile w tém wszystkiém było liczenia na kieszeń matki, a ile szczeréj prawdy trudno rozsądzić.

Nareszcie 14 maja 1777 przyaresztowano zakochaną parę. Hrabiego zamknięto w wieży Vincennes, a pani Monnier pozwolono chorobę odbyć w domu prywatnym w Paryżu. Na krótką chyilę tylko po latach czterech zobaczyła się romansowa para. Po ostatniém spotkaniu się w klasztorze w Gien coraz rzadszemi i chłodniejszemi się sta-

wały listy Gabryela, aż zupełnie ustały. Opuszczona Zofia nie przestawała do niego pisywać, choć odpowiedzi nie odbierała żadnéj. Po śmierci męża oddała serce swe oficerowi, który ją wnet zraził brutalnością. Właśnie zabierała się do powtórnego małżeństwa z młodym kawalerem, gdy los zawistny go jéj wydarł. Zrozpaczona śmiercią ukochanego, zaczadziła się umyślnie 9 września 1789 r. Mirabeau otrzymał wiadomość o śmierci Zofii na zebraniu konstytuanty, pobladł ze wzruszenia, opuścił salę i przez kilka dni się nie pokazał.

W Vincennes strzeżono hrabiego bardzo ściśle. Komunikacya ze światem nie była mu dozwoloną, książki do czytania odbierał tylko za pośrednictwem komendanta. Od desperacyi obroniło więźnia zaszczepione za młodu zamiłowanie do pracy, a choć zajęcia jego były niesystematyczne, a wybór tematów nieraz świadczył o słabo rozwiniętém uczuciu przyzwoitości, to jednak ilość ich i objętość podziw wzbudzają. Wyszła wtedy z pod jego pióra rozprawa o *lettres de cachet* i więzieniach państwowych. Długi pobyt w Vincennes wpływ wywarł na Gabryela nie mały. „Ponura epoka jego życia się zamknęła. A chociaż nie oczyściła charakteru jego, stała się szkołą dla umysłu. Kto na mocy *lettre de cachet* uwięziony, przez półczwarta roku czas miał do rozmyślania nad stanem państwa i stanem społeczeństwa, stać się musiał z konieczności nieprzejednanym ich wrogiem“ (St. I, 140). Smutek więźnia powiększyła wiadomość o śmierci jedynaka syna, lecz wypadek ten zarazem stał się powodem, że markiz, lękający się o zachowanie rodu, uwolnił hrabiego z więzów. Łudził się bowiem nadzieją, że synowa jego, mimo tak długiéj rozłąki, nakłonić się da do wspólnego pożycia z mężem. Musiał się więc Gabryel Mirabeau starać o względy kobiety, którą pogardzał, podjął się też namawiać panią de Monnier, by do męża wróciła, który jéj obiecywał zupełne przebaczenie. Celu jednak swego ani w jednym, ani w drugim wypadku nie dopiął.

Uwolniony więzień podążył do Pontarlier, by wymódz kasacyą srogiego wyroku skierowanego przeciwko sobie i pani Monnier. Sprawa poszła dość gładko. Niegdyś *in effigie* powieszony, teraz dumny tryumfował z osiągniętego celu, a przyjacielowi swemu pisał: „jeżeli rozważysz, jak jasno dowiedzioną była ucieczka pani de Monnier z domu męża i urodzenie dziecka po 17 miesiącach niebytności, załatwienie sprawy za cud chyba poczytasz“. Piękna to prawdziwie ilustracya ówczesnego sądownictwa francuskiego! Za to wcale się hrabiemu nie powiodło w procesie z żoną. Przywykła od lat dziewięciu do swobodnego życia i odbierania hołdów, byłaby z mężem żyjąc, wyrzec się tego wszystkiego musiała i dzielić niepewne jego losy. Na starania więc

męża odpowiedziała wraz z swym ojcem wnioskiem o rozwód sądowy. W procesie stąd wynikłym Mirabeau sam się bronił, a raz, było to 23 maja 1783 r., przez cztery przeszło z rzędu godziny wygłaszał swoją obronę i nadzwyczajne zrobił wrażenie. Słuszności jednak mu nie przyznano. Pozyskał za to poklask tłumów i popularność. Na niczém spełzły nadzieje ojca i stryja, by młody awanturnik mógł odzyskać stanowisko w towarzystwie i spokój życia. Gdy z rozhukaną falą rewolucyi na wierzch wypłynął i zajaśniał talentem i wymową, zgłaszała się do niego hrabina rozwódka; wtedy on jéj podziękował. W wiele lat po śmierci hrabiego, taką zapałonęła czcią dla niego, że po stracie drugiego męża, jego przybrała nazwisko i żyła w tym samym domu, który trybun niegdyś zamieszkiwał i umarła w tym samym pokoju i na tém samém łożu, na którém on życia dokonał.

Jakby w nagrodę doznanego zawodu spotkał późniéj Mirabeau panią de Nehra, kobietę młodą, piękną i co dziwniejsza, dobréj reputacyi. Ona to z litości nad jego losem w chwili, gdy świat cały go opuścił, przyjaźnią jego nie pogardziła. Trybun pisał jéj kiedyś, że jedyną miał w życiu chwilę czystego szczęcia, a tą był dzień, w którym ją poznał. Jéj przedkładał myśli swe i plany i szczerze się cieszył, gdy widział, że podziela jego zdanie. Skromne swe dochody poświęcała pani Nehra rozrzutnemu przyjacielowi, lecz ze wszystkiém od kłopotów go finansowych ochronić nie mogła. W tym czasie udał się Mirabeau do Anglii do znajomego sobie z pensyi członka parlamentu Elliota. Nie podobał się Anglikom, a na wstępie zaraz tak natarczywie zalecać się począł paniom angielskiem, pragnąc szturmem zdobyć ich serca, tak bardzo raził delikatny instynkt dobrze wychowanych kobiet, że nieomal do przykrych scen nie przyszło. Gdy starania Elliota w celu wyrobienia mu stanowiska w Anglii pozostały bez skutku, wrócił Mirabeau do Francyi, urazę w sercu chowając do Anglików, lecz pełen podziwu dla ich swobód i wolności politycznych. Wysłany późniéj w podrzędnéj misyi dyplomatycznéj do Berlina, osobiście poznał Fryderyka II i nieskończenie go uwielbiał, nazywając „jednym z największych charakterów, jaki kiedykolwiek tron zdobił i jedném z najpiękniejszych dzieł, które kiedykolwiek natura wydała“.

Po powrocie do Francyi zarabia Mirabeau na utrzymanie pisaniem licznych broszur, a jako wirtuoz w opanowaniu opinii publicznéj, wybiera sprawy najświeższe i mówi o nich bez względu na brak kompetencyi z pewnością mistrza. Otwiera całe biuro literackie, składające się z kilku wybitnych współpracowników, poprawia i wygładza styl w ich rozprawach i pod swojém nazwiskiem dziełami ich umysłu, Francyą zarzuca. Zaczepiał ludzi takich jak Calonne'a, Neckera, a choć nie-

zawsze z walki zwycięsko wychodził, jak to miało miejsce w zatargu ze sławnym Beaumarchais, tyle jednak zyskał, że stawał się co raz głośniejszym. W ten sposób przygotowywał zręczny gracz sytuacyą dla swéj czynności w zebraniu stanów generalnych.

Wybrany deputowanym trzeciego stanu w Marsylli i w Aix, zdecydował się Gabryel Mirabeau przyjąć, wybór dokonany w mieście ostatniém, gdzie wyborcy gminy Mirabeau wychwalając „przyjaciela ludzi“, nadali synowi jego miano „przyjaciela ludu“. Od chwili wyboru staje się hrabia mężem publicznego znaczenia. Pełen był świadomości, że usłyszał hasło zbliżającéj się walki starego organizmu Francyi z nowemi dążeniami, wśród któréj talent oratorski świetne mu rokować mógł tryumfy. Przyjrzyjmy się teraz zewętrznéj fizyognomii hrabiego, z jaką się dał poznać członkom zebrania stanów, posługując się w tym celu głównie opisami pani de Staël, Lemerciera i reprodukcyą portretu wykonanego przez sławnego Jana Guérin'a. Postaci był atletycznéj, prawie olbrzymiéj, głowę miał niekształtnie wielką, dumnie w tył cofniętą; pokrytą gęstym, bujnym i długim włosem, w którym pani de Staël zdawała się widzieć wyraz siły jego jak w kędziorach Samsona. Cera twarzy szerokiéj, pełnéj, oszpeconéj ospą, porytéj śladami przebytych cierpień, wybryków i przygód była oliwkowa. Zarostu nie nosił wcale, usta miał nieregularnie wykrojone, jakby stworzone do wiecznego szyderstwa, brwi wielkim łukiem okolały wyraziste oko. Kark miał, według opisów, gruby jak u wołu, pierś szeroką, a talią grubą. Pod ostatnim względem brat jego młodszy Andrzéj, również w stanach generalnych zasiadający, jeszcze go przewyższał, skąd mu się dostało używane w literaturze przezwisko „Beczki“.

Nie oglądając się na cenzurę, zaczął trybun 2 maja 1789 roku przed zagajeniem posiedzeń, wydawać *Journal des états généraux*, a na czele prospektu umieścił prorocze zdanie: „*novus nascitur ordo*“. W drugim numerze swego dziennika zdał sprawę z pierwszego posiedzenia i wystąpił zaraz z ostrą krytyką wygłoszonéj przy otwarciu sejmu mowy Neckera. Do tego wystąpienia spowodowało go spostrzeżenie, dzielone przez wielu, że obraz opłakanych finansów krajowych w ułudnem był przedstawiony świetle przez zajmującego ministeryalny fotel bankiera, że brak było w ogłoszonym programie rządu, wzmianki o prawie sejmu do przyznawania podatków, o przyszłéj konstytucyi kraju i rozstrzygnięcia naglącego pytania, czy stany trzy obradować mają wspólnie, czy też z osobna. Stan trzeci liczący około 600 deputowanych, domagał się wspólnych obrad ze stanem duchownym i szlacheckim, z których każdy liczył po 300 członków. W braku stanowczości i samowiedzy u doradców korony, upatrywał Mirabeau niebezpieczeństwo

największe dla normalnego przeprowadzenia reform. Nie bacząc na króla i ministrów, stan trzeci ogłosił się zebraniem narodowém; król po niewczasie dał swoje przyzwolenie na to, co się już stało, a duchowni i szlachta zaczęli zajmować miejsca w zgromadzeniu narodowém. Za zaczepki umieszczone w „Dzienniku Stanów,“ który wkrótce wskutek zakazu rządowego przestał wychodzić, odpłacili się przyjacielowi ludu zwolennicy Neckera ostremi pamfletami, w których „cnotliwemu, patryotycznemu ministrowi“ przeciwstawiano „nowego Herostrata, pismaka okrytego niesławą, deputowanego piekła,“ który, mieniąc się we wszystkich barwach politycznych i zapatrywaniach, w jedném tylko jest stałym: „w zbrodni.“ Pod zmienionym tytułem w „Listach do swych wyborców“ (*Lettres à ses commettants*) 10 maja znowu krytykował Mirabeau Neckera „cnotliwego“, lecz osobę króla ochraniał stale. Starano się denuncyacyami i rewizyami w drukarni, gdzie „Listy“ drukowane były, przeszkadzać ich pojawianiu się. Ruch jednak publicystyczny z dniem każdym się rozszerzał, nie zważano na przepisy prasowe, więc rząd, widząc się bezsilnym pozwolił na ogłaszanie sprawozdań sejmowych.

Ideałem politycznym autora „Listów do swych wyborców“ była monarchia konstytucyjna. W poufnéj rozmowie z Malouetem, deputowanym, który bliskie utrzymywał stosunki z Neckerem, wyjawił swe obawy co do zgromadzenia. Widział w niém tyle z jednéj strony niedoświadczenia i nieprzezorności, u szlachty zaś i duchowieństwa tyle uporu i niewyrozumiałéj drażliwości, że należało się obawiać gwałtownych wstrząśnień organizmu państwowego, jeżeliby rząd zawczasu nie zdołał skrępować chaotycznych wybryków i nie nadał nurtującym wszystko prądom zbawiennego dla kraju kierunku. Posłuchajmy, co wypowiada jeden z deputowanych stanu szlacheckiego i Morris, poseł Stanów Zjednoczonych Ameryki, o zachowaniu się arystokratycznéj partyi na zebraniach. W bardzo niestosowny sposób zaznaczali swoje lepsze urodzenie impertynencyami wobec posłów stanu trzeciego i publiczności na galeryach. Nie zważali na wygłaszane z trybuny mowy, rozlegającym się po sali śmiechem i głośną rozmową z rozmysłem przeszkadzali obradom. Gdy przewodniczący podnosił jaką kwestyą, opuszczali z hałasem salę, wzywali, krzycząc, stronników, aby to samo uczynili lub przynajmniéj w dyskusyi udziału nie brali (*Revue de la Révolution.* Zeszyt z 5-go grudnia 1889 r., str. 434). W ten sposób wyrzekali się prawa do względności członków stanu trzeciego, a w dodatku i rozumu politycznego, bo bywało, że opuszczeniem sali, niebaczni spowodowali przyjęcie przeciwnego ich poglądom wniosku, który w razie ich obecności byłby mógł upaść.

A daléj, czyż nie było wiadomo bystremu trybunowi, że król i dwór nie stali na wyżynie położenia. Nie pojmował zaślepienia i bezczynności króla. „Czyż nie widzą ci ludzie tam przepaści przed sobą?“—odezwał się raz. Przy innéj sposobności zawołał jakby w rozpaczy: „Wszystko przepadło! Król i królowa będą zabici, a ciała ich po bruku wlec będą.“ Słuchający słów tych, La Marck przeraził się proroczą zapowiedzią. „Tak, tak, powtórzył Mirabeau, po bruku wlec będą ich ciała, nie znane im jest niebezpieczeństwo ich położenia, trzeba ich z niém zapoznać“ [1]).

Konsekwentnie starał się Mirabeau, za jaką bądź cenę, o popularność u zgromadzenia. Gdy go raz przeciwnik pewien z naciskiem panem hrabią tytułował, odpowiedział mu, że tak mało sobie waży tytuł hrabiowski, iż chętnie go każdemu ustąpi. Chociaż uwaga podobna szczerą nie była, ogół deputowanych, pełen nienawiści do dawnéj organizacyi społecznéj nie dostrzegł tego i jeszcze więcéj się zachwycił, gdy trybun wygłosił, że dumnym jest jedynie ze stanowiska pełnomocnika tylu zacnych obywateli. Charakterystyczném jest zachowanie się odmienne hrabiego wobec stanu duchownego i szlacheckiego. Stan, z którego sam pochodził, więcéj mu był nienawistny; wśród deputowanych stanu trzeciego domagał się, by szlachcie żadnych nie robiono ustępstw, natomiast był za tém, by kler, demokratyczniéj nastrojony, zaprosić uroczystą deputacyą do narad wspólnych.

Długo rozprawiano nad nazwą dla zebrania. Mirabeau uczynił wniosek, by się nazwać skromnie reprezentantami ludu Francyi, lecz większość była temu przeciwną. Zgodzono się w końcu na miano zgromadzenia narodowego i tém samém wyrażono wolę zerwania z dawną reprezentacyą interesów stanowych, a postawienia na jéj miejscu interesów całego narodu. Mirabeau ze swéj strony podtrzymywał ciągle jeszcze fikcyą, jakoby król szedł ręka w rękę z narodem a naród z królem, i jakoby tylko opozycya szlachecka była do zwalczania. Może zamierzał fikcyą podobną wskazać tronowi Kapetyngów drogę do utrwalenia dynastyi, na podstawie swobód konstytucyjnych, danych zrównanemu wobec prawa narodowi. Monarchiczne jego przekonania niedwuznacznie się uwydatniają w obradach nad królewskiém „*Veto*,“ mającém tronowi przysługiwać wobec uchwał sejmu. Mirabeau za tém prawém gorąco przemawiał. Według niego, nic nie ma potworniejszego nad wszechwładną arystokracyą deputowanych, którzy—jak

---

[1]) Przytaczam podług wydania Bacourta korespondencyi La Marcka z hr. Mirabeau, uzupełnionego i tłómaczonego przez Staedtlera. Bruksela i Lipsk, 1851, tom I, str. 99.

się wyrażał — jutro się ogłoszą dożywotniémi, pojutrz dziedzicznymi i jak wszystkie arystokracye świata na tém rolę swą ukończą, że pochłoną wszystko.

Zapoznawszy się z hrabią de La Marck, deputowanym stanu szlacheckiego, starał się Mirabeau za jego pośrednictwem nawiązać stosunki z dworem. Po ożywionym obiedzie szepnął zaufanemu dworakowi królowéj Maryi Antoniny: „Daj Pan przecież znać na zamku królewskim, że więcéj jestem dla nich, jak przeciw nim usposobiony“ [1]).

La Marck nabrał z czasem zaufania do rzekomego Herostrata, zaprzyjaźnił się z nim szczerze i przyprowadził w roku następnym do skutku zbliżenie się trybuna do dworu, tyle korzystne dla zakłopotanego o dochody rozrzutnika, a tak znowu charakterystyczne dla rojalisty, który dla utrzymania swéj popularności, publicznie wobec Jakobinów i zgromadzenia grzmiał rewolucyjnemi frazesami. Dnia 20-go czerwca 1789 r. zastało zgromadzenie drzwi do sali posiedzeń zamknięte, zebrano się więc we wsławionéj tém zdarzeniem pustéj sali, zwanéj salą gry w piłkę i zaprzysiężono nie rozejść się póty, aż konstytucya uchwalona będzie. Mirabeau jeden z pierwszych przysięgę tę podpisał. W dwa dni potém zastali deputowani salę gry również zamkniętą, udali się zatém do kościoła św. Ludwika, gdzie także się stawiła większość duchowieństwa i pierwsi przybysze stanu szlacheckiego powitani czule, jako nawróceni bracia. Nazajutrz czekał Mirabeau wspólnie z resztą deputowanych trzeciego stanu, na dworze wśród ulewnego deszczu i sterczących bagnetów, „aż się mistrzowi ceremonii spodobało spoglądających ponuro i zakłopotanych wpuścić, by udział wzięli we wspaniałém królewskiém posiedzeniu“ (Stern). Przy tronie brakło Neckera, który teraz przynajmniéj w celu uchwalenia podatków życzył sobie połączenia trzech stanów w jedno ciało sejmowe. W radzie królewskiéj wniosek jego upadł.

Wobec zgromadzenia proklamował król tradycyonalne obradowanie każdego stanu oddzielnie i uchylenie ważności uchwał trzeciego stanu zapadłych od 17-go czerwca. W końcu kazał się zgromadzonym natychmiast rozejść, a na przypadek niewykonania rozkazu zagroził stanom, że się sam za jedynego reprezentanta ludu uważać będzie. Szlachta i część kleru wyszła razem z królem, reszta posłów pozostała na miejscu. Był to dzień pamiętny dla hr. Mirabeau. Gdy mistrz ceremonii, markiz de Brézé, z nakrytą ukazał się głową, by przypomnieć zebranym rozkaz królewski, nie znalazł uczony Bailly,

---

[1]) Korespondencya La Marcka z hrabią Mirabeau, tom I, str. 82.

powołany na krzesło prezydyalne, wśród ogólnego przerażenia, energicznéj odpowiedzi. Wtedy podniósł się Mirabeau, który już poprzednio raz był dał mistrzowi ceremonii nauczkę i godnie odpowiedział na inwektywę: „Usłyszeliśmy—mówił—zdanie, które królowi w usta *włożono*. Pan jednakże, który nie możesz być organem tronu w obec stanów państwa, który nie masz prawa zasiadania wśród nas, ani głosowania, ani zabierania głosu, nie jesteś uprawniony do przypominania nam mowy królewskiéj. Dla szybkiego załatwienia sprawy oświadczam, że jeżeli nakazano panu nas stąd usunąć, w takim razie wypadnie postarać się o rozkaz użycia gwałtu. Tylko bowiem przemocy bagnetów ustąpimy". Tak przemówił Mirabeau według trzynastego z rzędu „listu do swych wyborców", a zgromadzenie poklask mu dało i ogłosiło zdanie jego za swoje własne. Mistrz ceremonii zastrzegł się przeciw temu, że deputowany z Aix ma być organem zgromadzenia i cofnął się, jak potwierdzają świadkowie naoczni, z twarzą do zebrania zwróconą, w tył stawiając kroki, podług ceremoniału przepisanego tylko w obec majestatu królewskiego [1]). Po wyjściu markiza de Brézé, znaleźli ksiądz Sièyes, Barnave i inni słowa oburzenia w ustach, by dodać otuchy zebranym, a Mirabeau podał wniosek ogłoszenia nietykalności posłów za słowa wypowiedziane z trybuny sejmowéj. Bailly zazdrosny z powodu, że Mirabeau przed chwilą, wobec zebrania całego i mistrza ceremonii, pośrednio brak mu odpowiedniéj przytomności wykazał, przeciwko wnioskowi się oświadczył; na to odparł trybun, że w razie nieprzyjęcia wniosku, spodziewać się można jeszcze téj saméj nocy aresztowania deputowanych z prezydentem na czele. W końcu nieznaczna tylko mniejszość oponowała, wniosek przeszedł i Mirabeau stał się bohaterem dnia i głośnym we Francyi i w Europie.

Wtenczas to król nakazał duchowieństwu i szlachcie połączyć się ze stanem trzecim do wspólnych narad, a świat zdumiony ujrzał widowisko zgromadzenia, w którém jeden książę krwi, jeden kardynał, książąt wielu i prałatów obradowało pod przewodnictwem nieszlachcica.

Równocześnie ściągano wojsko koło Paryża i Wersalu. Ludność tém zaniepokojona, okazywała się do wybuchów skłonną, Mirabeau obawiał się w obec ogólnego naprężenia umysłów, niebezpieczeństwa dla całego kraju, a za jego radą postanowiło zgromadzenie wysłać do

---

1) Mirabeau późniéj śmiał się z niespodziewanego skutku swego wystąpienia. Według niego, byłby rząd mógł garstką żołnierzy rozpędzić „nowych prawodawców" (Biographie Universelle Michauda. T. XXVIII, str. 364).

króla adres z prośbą o cofnięcie wojska i poleciło mu zredagowanie pisma. Gdy w następnym już dniu przedłożył zebraniu projekt adresu, oklaskom i podziwieniu dla tego niedoścignionego wzoru stanowczéj i poważnéj dykcyi nie było końca. Jak w niezliczonych innych wypadkach, tak i w obecnym, przedłożył Mirabeau elaborat cudzy, wydając go za własny. Autorem rzeczywistym był przyjaciel hrabiego, kaznodzieja protestancki Stefan Dumont. Król jednak, mimo piękności dykcyi, nie przychylił się do prośby deputacyi adresowéj. Odpowiedział jéj, że wojska ściągniono, by właśnie spokój zaprowadzić, a zebraniu, jeżeliby się miało lękać o swobodę obrad, pozwolił przedłożyć sobie prośbę o przeniesienie z Wersalu do Soissons lub Noyon. Gdy odczytano w zebraniu 11 lipca odpowiedź króla, odezwał się Mirabeau: „Życzyliśmy sobie cofnięcia wojsk, lecz nie mamy zamiaru przed bagnetami uciekać, nie ze względu na siebie domagaliśmy się tego. Wiadomo, że nie trwoga nami powoduje, lecz wzgląd na dobro ogólne“. Z wielką usilnością starał się Mirabeau zachęcać zgromadzenie, by nie ustawało w prośbach o cofnięcie wojska: jeszcze 14 lipca, gdy wieść o wybuchu nie doszła była do zebrania (Stern II, 39), wniosek o cofnięcie wojsk powtórzył. Naprężenie ogólne wzmogło się wskutek dymisyi Neckera i wyraziło się w pamiętnym szturmie Bastylii.

W wilię tego wypadku, Mirabeau nie był obecny na zebraniu; powodem była śmierć ojca, która nastąpiła w Argenteuil w pobliżu Paryża. W liście pisanym w czerwcu, markiz jakby proroczym natchniony duchem, o synu swym w następny się wyraził sposób: „W końcu zyska to, co ludziom nie mającym podstawy moralnéj w udziale się dostaje... Nigdy mu ufność okazana nie będzie, chociażby na nią zasługiwał; będzie miał zwolenników, może nawet ludzi podziwiających go, lecz nigdy człowieka, który zupełnie mu zaufa“. Jeszcze na trzy dni przed śmiercią wypowiedział drastyczne poglądy o przyszłości zgromadzenia, mającego „na swém czele bankruta“ hrabiego, a za wodza Neckera, oszukującego świat sztucznie zestawionemi cyframi: „Tysiąc dwustu prawodawców, nie mających pojęcia o administracyi i nie rozumiejących spraw własnych, chce nam sfabrykować dziwaczną konstytucyę“. Na pogrzeb przybył, równocześnie z trybunem, brat jego Mirabeau-Tonneau, a tłumy witały ich, chcąc wskazać swego ulubieńca, okrzykiem „niech żyje Mirabeau ospowaty“. Spadkobiercą uniwersalnym zamianował markiz młodszego syna, lecz majątek w takim się znalazł nieładzie, że w pierwszéj chwili żadnych nie można było z niego wyciągnąć funduszów. W listach do swych

wyborców napisał trybun piękne pośmiertne wspomnienie o ojcu, później z trybuny sejmowéj sławił jego pamięć i podnosił zasługi.

Po zdobyciu Bastylii wydał król rozkaz wycofania wojsk z okolicy Paryża i oddał się pod skrzydła opiekuńcze zgromadzenia. W ogólnym z tego powodu powstałym entuzyazmie Mirabeau udziału nie brał, pragnął kuć żelazo póki gorące, utrwalił znaczenie zgromadzenia, zajął w niém stanowisko rozstrzygające i otworzył sobie drogę do największych w państwie zaszczytów. W dwa dni po szturmie Bastylii przedłożył nowy adres do króla, domagający się dymisyi nielubianych ministrów; jeżeli jednak trybun przytém nie uczynił wzmianki o powrocie Neckera, to stało się z tego jedynie powodu, że sam o sobie myślał. Na nieszczęście dla niego, Necker dotąd na popularności nie stracił, wszyscy prawie uznali powrót jego za konieczny.

Nieodżałowaną pozostanie rzeczą, że na zebraniu nocném 4 sierpnia, na którém zgromadzenie zadekretowało koniec staréj Francyi, Mirabeau obecnym nie był. Sprawa spadku po ojcu wymagała wtedy właśnie obecności jego w naradzie familijnéj. W poufnéj rozmowie „orgią“ nazwał ów akt prawodawczego entuzyazmu; „takimi to są nasi Francuzi—mawiał—miesiące całe kłócą się o sylaby, a w jednę noc wywracają utrwalony wiekami stary gmach monarchii“. Oczywiście błędném byłoby przypuszczenie, że Mirabeau był przeciwnikiem zniesienia przywilejów, życzył sobie jednak powolnego i rozważnego rozstrzygnięcia różnych kwestyi prawnych, przedewszystkiém uregulowania praw własności ziemskiéj. *Courrier de Provence*, który teraz hrabia wydawał oględnie w obec panującego entuzyazmu, punkt ten słaby porusza, lecz wynosi równocześnie entuzyastyczny zapał, który „jakoby prąd elektryczny“, wielu porwał deputowanych. Najmniéj zadowolonym był chłodno rozważający trybun z obrad zgromadzenia nad prawami człowieka. Według jego zapatrywania, trzeba było, przed ustanowieniem ogólnego kodeksu praw człowieka, odpowiadających wszystkim strefom geograficznym i wszystkim sferom moralnym, zająć się najprzód realnemi warunkami Francyi i ułożyć konstytucyę, uwzględniającą jéj potrzeby. Mirabeau lekceważył sobie szczególnie bohatera obu półkuli, Lafayette'a, który z zapałem ideologicznym w abstrakcyach ogólno-ludzkich się zagłębiał. *Courrier de Provence* pisał w dniu 27 sierpnia 1789 r. z radością, że nareszcie z zakończeniem obrad nad prawami człowieka, opuściło zgromadzenie „szerokie pole abstrakcyi świata intelektualnego, ażeby wrócić do świata rzeczywistości, to jest poprostu, aby się zająć uregulowaniem konstytucyi Francyi“.

W dyskusyi nad prawami króla i nad listą cywilną, czy na rok

ma być przyznawana, czy też na ciąg życia monarchy, w sprawie dodanych do tytułu króla słów: „z łaski Bożéj“, występował Mirabeau, bezpośrednio po zamachu 5 i 6 października, stanowczo w obronie króla, zwłaszcza co do owego dodatku do tytułu powiedział, że „odpowiada religijnemu uczuciu ludu“, i że żadnych złych następstw wywołać nie może.

W drodze do utworzenia ministeryum parlamentarnego, a tém samém do zajęcia krzesła ministeryalnego, stanęły hrabiemu Mirabeau na przeszkodzie przemożne trudności. Skrajne żywioły zgromadzenia, obawiające się jego dyktatury, skierowały przeciwko niemu wniosek, że deputowanemu nie wolno być ministrem. Mirabeau rozwinął całą siłę swéj wymowy i swego sarkazmu, aby zbić wniosek tak szkodliwy. Mimo to przemogła liczba głosów moc i siłę argumentów. Zgromadzenie zrezygnowawszy w ten sposób z rządzenia krajem, zamieniło się, jak dowcipnie zauważono, w akademią prawodawczą. Było to 7 listopada 1789 r., gdy wniosek ów przeszedł, dzień nader pamiętny dla ministeryalnego kandydata. Ambicya jego dążyła do wysokiego w rządzie stanowiska, praca jego, znajomość rzeczy i wytrwałość uprawniały go do téj nadziei, zajęty zadaniami, odpowiadającemi jego olbrzymiemu duchowi, byłby może zdołał stać się bardzo dodatnią postacią dziejową i zmazać winy przeszłości. Teraz zamiast stanowiska potężnego ministra, pozostała mu rola wielkiego intryganta.

W marcu roku następnego ukazał się znowu w Paryżu po dłuższéj nieobecności hrabia La Marck, który wspólnie z posłem austryackim związek króla z potężnym trybunem za korzystny dla tronu uważał. Ze spotkania poufnego w mieszkaniu La Marcka, odniósł poseł austryacki Mercey, tém pewniejsze wrażenie, że Mirabeau innéj nie ma ambicyi, jak tylko być obrońcą królewskiéj władzy. La Marck na audencyi, udzielonéj mu przez parę królewską w Tuileryach pierwsze przełamał lody, wtajemniczono w sprawę byłego kapelana królowéj, arcybiskupa Tuluzy de Fontanges; nigdy jednak nie zdołała téj kombinacyi zaufać zupełnie podejrzliwa królowa, a ociężały umysł jéj małżonka jeszcze trudniéj pojmował, że Mirabeau otwartym i szczerym może być rojalistą. Na życzenie króla spisał Mirabeau wyznanie swéj wiary politycznéj, datowane 10 maja 1790 roku. Pokazuje się w tém piśmie Mirabeau, jako stanowczy zwolennik silnéj władzy królewskiéj, wyraża obawę przed wzrastającą anarchią, nie zamilcza jednak równocześnie przekonania, że reakcyjna „kontrarewolucya byłaby niebezpieczną, a nawet wprost zbrodniczą“. Przyrzekał starać się w miarę sił o odbudowanie prawnéj władzy króla i oddanie całéj władzy wykonawczej w ręce rządu. Obiecywał od czasu do czasu infor-

mować króla o położeniu a dla dokładnego zbadania opinii w kraju, radził pozakładać po departamentach tajne biura korespondencyjne. W dalszym toku układów z dworem, podał Mirabeau La Marckowi spis długów swych, przenoszących 200,000 franków. Zaspokojenie ich wziął król na siebie i wyznaczył mu prócz tego 6,000 fr. pensyi miesięcznéj. Nadto dał Ludwik XVI cztery przekazy, każdy po 250,000 fr., które miał Mirabeau otrzymać przy zamknięciu zgromadzenia, gdyby przyrzeczenia dane tronowi spełnił. Starano się całą ugodę trzymać w tajemnicy, a mimo to niezadługo zaczęły krążyć pogłoski, że Mirabeau przekupiony. W pierwszéj nocie dla dworu z 1-go czerwca 1780 r. czytamy zdania następne deputowanego z Aix: będę, czém zawsze byłem, szermierzem władzy monarchicznéj, unormowanéj przez prawo i apostołem wolności zagwarantowanéj przez władzę monarchiczną. Nie mógł ścierpiéć, jak wiadomo, Mirabeau Lafayetta, który popularny wyprawą amerykańską i tém, że się dał powodować motłochowi paryskiemu, najmniéj mu się zdawał zasługiwać na zaufanie króla. Wysoki, chudy, rudowłosy generał, goniący według świadectwa La Marcka, za tak zwanym dobrym szykiem i próżnym rozgłosem, gruntownemu trybunowi do smaku nie przypadał. Chciał więc Mirabeau, ażeby stanowisko jego zajął oddany królowi komendant Metzu, de Bouillé. W jednéj z not dla dworu przeznaczonych, proponuje królowéj temi się słowy odezwać wobec króla do dowódzcy gwardyi obywatelskiéj Paryża: „Pan Mirabeau jest jedynym mężem stanu w kraju. Nikt nie ma równie rozległego na sprawy poglądu, nikt jego odwagi, jego charakteru... Wymagam i żądam, ażebyś pan z panem Mirabeau się porozumiewał, lecz to zupełnie, codziennie, otwarcie i we wszystkich sprawach“. W téj saméj nocie użył Mirabeau pamiętnego zwrotu, że „król żadnego męża nie ma na swe zawołanie z wyjątkiem królowéj“. Córkę Maryi Teresy odznaczała wprawdzie odwaga, energia i zrozumienie grozy chwili, lecz cierpliwości jéj brakło, nie chciała w niczém przyjmować uwag, często gmatwała w sprawach natury politycznéj osobiste sympatye i antypatye z wymaganiami rozważnéj polityki.

Trzeciego lipca miał Mirabeau tajemne posłuchanie u królowéj w obecności króla ku obustronnemu zadowoleniu. Posłuchanie odbyło się bez świadków, a mimo to nie brakło głosów w pamfletach o schadzce nocnéj „francuskiego Cromwella“ z królem i o spotkaniach z królową. Wszystkie jednak plany i zamiary hrabiego spełznąć musiały na niczém, bo słabego charakteru króla i nieufnego usposobienia królowéj, nikt nie mógł zmienić. Z drugiéj strony pokazywało się z dniem każdym coraz wyraźniéj, że francuski Cromwell mimo przejściowych try-

umfów, tracił na wpływie u skrajnych żywiołów, wskutek miotanych nań podejrzeń o przekupstwo i zdradę sprawy ludu.

Historycy rewolucyi zwykli zastanawiać się nad doniosłością śmierci Gabryela Mirabeau, która go wyrwała 2 kwietnia 1791 roku, zawcześnie dla monarchii i reorganizacyi państwa, w chwili, gdy proces rozkładu staréj Francyi i tworzenia się nowych warunków bytu w najlepsze się rozegrywał. Profesor Stern nie chce bujać w sferze mglistych przypuszczeń i bawić się horoskopami, jaki byłaby obrót wzięła sprawa rewolucyi, gdyby Mirabeau był pozostał przy życiu; mimo to zaznajamia nas choć w części ze swym na przyszłość poglądem, gdy przypuszcza, że jeżeli się weźmie w rachubę siłę choćby najpotężniejszéj jednostki a z drugiéj strony elementarną, wszystko miażdżącą moc rewolucyi, pewniéj jest ostatniéj przypisać zwycięstwo w zapasach [1]). Można zgodzić się, że Mirabeau nie byłby się stał panem sytuacyi, chociażby król na razie był mu zupełnie zaufał, bo trudno sobie wystawić, aby król podobnie słabego charakteru, jak Ludwik XVI, ulegający co chwila wpływom przemijającym otoczenia, był miał kiedyś zapomnieć o dawnéj pełni władzy monarszéj, a daléj byłby zwycięski ruch rewolucyjny, po zyskanych pierwszych okruchach władzy zwierzchniczéj, ze wzrastającą pożądliwością domagał się dalszych ustępstw, aż do zagarnięcia całéj władzy. Słyszano przecież w zgromadzeniu zdania, że warto raczéj z Francyi jeden wielki cmentarz zrobić, aniżeli jéj nie zreorganizować według nowych i skrajnych widoków. A Mirabeau sam nie lekceważył wcale wybuchowych żywiołów zgromadzenia, jak to uczynił między innemi i wtedy, gdy przepowiedział wielką przyszłość Robespierre'owi: „*il ira loin, car il croit toutce qu'il dit.*“

Nie zapragnąwszy pociech religijnych [2]) skonał Mirabeau. Choroba jego szybki miała przebieg, zapadł ciężko tuż po niedzielném posiedzeniu dnia 27 marca, w którém mu przyszło pięć razy głos zabiérać w sprawie La Marilla, a w następną sobotę rano był trupem. Wszyscy jak najmocniéj interesowani byli przebiegiem choroby, a król za pośrednictwem arcybiskupa Tuluzy ciągłe miał informacye o stanie chorego. Zgromadzenie narodowe *in corpore* szło za trumną, ducho-

---

[1]) Wiktor Hugo w swém pięknem studyum o trybunie (Étude sur Mirabeau. Paris, 1834. str. 53) mówi co do tego punktu: „Le Mirabeau de 91 était impuissant contre le Mirabeau de 89. Son oeuvre était plus forte que lui“.

[2]) Stern o tym rysie, godnym zapewne wzmianki, nie wspomina. Biographie Universelle (Michaud'a) mówi: „Aucune idée religieuse ne se mêla à ses derniers moments.“ Tom XXVIII, str. 368).

wieństwo w uroczystym pochodzie asystowało ciału [1]), pogrzebu równie wspaniałego Paryż dotąd nie widział, króla żadnego nie chowano tak okazale — pisał Desmoulins. Około północy dopiéro przyciągnął olbrzymi pochód do kościoła św. Genowefy, gdzie złożono ciało obok zwłok Kartezyusza. Lecz niedługo się szczątki trybuna tym zaszczytem cieszyły, gdy ustąpić im przyszło — za dekretem konwentu — miejsca godniejszemu... Maratowi.

Francya cała pokryła się żałobą po stracie męża, którego talent w ostatnich czasach tak silny roztaczał urok i tak znaczny wpływ wywierał na losy kraju. Sławnemu biskupowi z Autun, który w dzień przed śmiercią, kilka godzin na rozmowie przy łożu chorego spędził, pozwoliło zgromadzenie, przez cześć dla zmarłego, odczytać na zebraniu rozprawę trybuna o reformie prawa spadkowego, obrobioną przez jednego z współpracowników, a zebrani w uroczystym nastroju, wysłuchali „ostatniego westchnienia“ wielkiego człowieka. Nie brakło jednak w chórze uwielbienia i przekleństw. Marat zaklinał naród do powstrzymania się od czci bałwochwalczéj dla zmarłego bożyszcza i dziękował sprawiedliwości nieba, że jeden zdrajca mniéj na ziemi stąpa.

Podziwiano Gabryela Mirabeau dla zręczności wielkiéj, z jaką rolę swą w życiu odgrywał. Ojciec jego, mąż nastroju poważnego, zrażał się nieraz wzięciem się komedyanckiém syna. Molé, aktor sławny z Théâtre Français, obecny raz na posiedzeniu zgromadzenia, zbliżył się po usłyszanéj świetnéj mowie trybuna, do niego z komplementem: „Na Boga, panie hrabio, jak bardzo pan chybiłeś powołaniu“. Teraz po śmierci jego dowcipną zrobiono uwagę, że zręczny zawsze Mirabeau, jakby umyślnie stosowną sobie chwilę śmierci obrał.

Zeszedł ze świata, otoczony sławą i rozgłosem. Jeżeli się spojrzy na rezultaty tego ruchliwego żywota, przekonywamy się więcéj może, aniżeli przy innym jakim mężu historycznym, że dla polityka podstawy moralne bez wagi nie są. Często Mirabeau z goryczą odzywał się do przyjaciela swego La Marcka: „Och, jak wielką szkodę niemoralność méj młodości wyrządza sprawie publicznéj“, lecz odmienić się nie dała ani zbrukana przeszłość, ani opinia współczesnych. Przyjaciel markiza Mirabeau, baron Gleichen, przytacza w swych pamiętnikach, że kiedyś przestrzegał go, by syna nie pokierował na „wielkiego łajdaka“, gdyż widział w nim materyał na „wielkiego męża“, i kończy swe uwagi ostrém słowem, że młody Mirabeau „stał się i jednym i drugim równocześnie“.

Przy przeglądzie wyników, do których wspominane przez nas

---

[1]) Nouvelle Biographic Universelle, Tom XXXV, str. 640,

nowe badania przychodzą, nasunie się każdemu spostrzeżenie, że punkt ciężkości ich mniéj leży w nowych, nieznanych dotąd poglądach na czynności publiczne Gabryela Mirabeau. Wyświécono nam natomiast dokładnie początki rodziny i stosunki, wśród których się urodził, wzrastał i wyrósł wielki mąż rewolucyi. A daléj, wskazuje nam przypomnienie prac i zasług markiza-fizyokraty w wielu wypadkach, skąd początek brały te lub owe zapatrywania trybuna i wyjaśnia nam często wewnętrzny duchowy związek, któregobyśmy bez tego nigdy nie doszli.

Interesującém jest śledzić, ile téż z tego wszystkiego, co Mirabeau napisał, co grzmiącym swym głosem zdumionym posłom i klubistom głosił, duchową jego było własnością. Profesor Stern bardzo dokładną daje na ten punkt baczność przy każdéj prawie mowie i przy każdém dziele hrabiego. Jest to niepoślednią zasługą odnośnych badań, że często kontrolować możemy i odróżniać własne zapatrywania trybuna od zdań obcych, które sobie przyswajał. Czasem wobec publiczności zakłopotany był Mirabeau, bo zdarzyło mu się, że wygłosił, kilkoma posługując się współpracownikami, zdania ze sobą sprzeczne. Zachowaną jest notatka własnoręczna jego, gdzie jednego ze swych pomocników uprasza, by gładkiém wytłómaczeniem zatarł owe sprzeczności.

Żadną jednak miarą nie można potępiać trybuna, że się posługiwał ręką cudzą do opracowania dyskutowanych tematów i mów sejmowych. W chaosie pojęć, wśród ogólnego braku zmysłu praktycznego przypadała mu praca nadludzka. Nic dziwnego, że nie mogąc sam podołać, dobrał sobie ludzi zdatnych do współpracownictwa. W przeważnéj liczbie wypadków z czasów rewolucyi o plagiatach mówić nie można, tak samo, jak nie przyjdzie w naszych czasach nikomu na myśl, dać w państwach konstytucyjnych mowom ministrów miano plagiatów, choć łatwo przy bliższém rozpatrzeniu rzeczy, poznać, ile tam w tych świetnych często popisach krasomówczych i politycznych jest własności cudzéj, rezultatów znojnéj pracy radców ministeryalnych. Historya za lat sto, może potomkom naszym, z uprzystępnieniem aktów registratur i archiwów, ciekawe pod tym względem przedstawi odkrycia, podobne tym, które obecnie widzimy na przykładzie niestrudzonego bojownika rewolucyi. W każdym razie przyznać mu trzeba zaletę, że giętkim swym umysłem zgrabnie umiał pochwycić cudzą własność i w ujmującéj, a nawet porywającéj formie ją oddać. Już od młodości w pierwszych literackich próbach zręcznie cudze zdania kopiował, przystrajał swe wywody zbieranymi zewsząd cytatami i uzasadniał je naukami moralnemi, czerpanemi z dziejów wszechlu-

dów i czasów. O pracy duchowéj swego bohatéra wogóle robi Stern trafną uwagę, że ogień namiętności, rozlewający się we wszystkich jego utworach, raczéj trawił go, aniżeli ogrzéwał.

Uczony biograf niemiecki, który przypisał dzieło swe Gabryelowi Monod, założycielowi tak cenionéj w świecie naukowym *Revue historique*, chciał nam opisać, jak się to w skromnym tytule uwydatnia, „życie“ trybuna. Można się pisać na zdanie wyrażone w krótkiéj wzmiance bibliograficznéj ostatniego z ubiegłego roku zeszytu *Revue historique*, że jest to najkompletniejszy opis życia, jaki dotąd posiadamy. Profesor Stern przedstawia nam wypadek jeden po drugim skrupulatnie i krytycznie, lecz brak się czuje w dziele jego silnego uchwycenia całości. Charakterystyka trybuna rozsiana jest po dziele na niezliczonych miejscach. Wszystkie te drobne, okolicznościowe, a czasami nader ważne uwagi zdają się być trafne, daremnie się jednak szuka ujęcia licznych cieni i świateł w jeden wykończony obraz, któryby czytelnikowi na zawsze pozostał w pamięci. Brak ten tém więcéj się odczuwa, gdy się widzi, że autor pragnął rezultaty swych badań uprzystępnić szerszym kołom. W opisie bowiem życia trybuna ani jednego prawie się nie spotka w tekście słowa obcego, wszystkie przytoczenia z dzieł nie-niemieckich, są podane w pięknem i gładkiém tłómaczeniu niemieckiém i tylko uwagi u spodu stron, na nieznajomość języka francuskiego u czytelników względu nie mają.

Dr. Józef Winnic.



ŁÓDŹ I MOSKWA. *)

Chciałbym tutaj, w krótkim zarysie, przedstawić wynik badań urzędowych komisyi, wyznaczonéj w r. 1886 przez p. ministra finansów, na skutek Najwyższego zezwolenia; wynik ten został ogłoszony drukiem, jako sprawozdanie pp. Iljina i Łangowego, z udziału o badaniach przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiém, drukowano to sprawozdanie wskutek rozporządzenia departamentu handlu i rękodzieł. Po ukazaniu się téj rzeczy p. W. W. Światłowski, tutejszy inspektor fabryczny, napisał parę artykułów w gazecie „Warszawskij Dniewnik“ p. t. „Przemysł fabryczny Królestwa Polskiego, gdzie ocenia badania wspomnianéj komisyi, a raczéj przepisuje dosłownie niektóre wybitniejsze ustępy ze wzmiankowanego sprawozdania i wyraża swoje niezadowolenie z wniosków, do jakich autorowie doszli. Pomówimy téż i o tym elaboracie. Wreszcie, z temi dwoma głosami łączy się téż artykuł p. A. S., drukowany w połowie roku zeszłego w „Ekonomiczeskim Żurnalu“ p. t. „Walka Moskwy z Łodzią“, a omawiający dość obszernie,—porównawczo — warunki produkcyi w okręgu fabrycznym łódzkim i moskiewskim. Trzy te prace wiążą się ze sobą dlatego, że w badaniu komisyi, którego rezultatem jest sprawozdanie pp. Iljina i Łangowego uwzględniony został przedewszystkiém okręg łódzki; p. Światłowski powtarza część omawianego sprawozdania, a p. A. S. dodaje do tego uzupełnienie porównawcze. Prócz tego elaborat p. Światłowskiego charakteryzuje dobrze jego stanowisko wobec przemysłu tutejszego.

---

*) 1) Sprawozdanie N. P. Iljina i N. P. Łangowego z badań przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiém. Petersb. 1889 r. 2) Przemysł fabryczny Królestwa Polskiego. W. Światłowski. Warsz., 1889. 3) Walka Moskwy z Łodzią. A. S. „Ekonomiczeskij Żurnał,“ lipiec, sierpień 1889 r., Petersburg.

Pp. Iljin i Łangowoj zaznaczają, że przedmiotem ich badań były warunki techniczne produkcyi fabrycznéj, w tym celu postarali się oni o zebranie jaknajdokładniejszych danych o środkach mechanicznych, jakimi rozporządza przemysł badany przez nich i o kosztach produkcyi. Jak mówiliśmy, terenem badań były okręgi łódzki i sosnowicki, z których tutaj tylko o łódzkim mówić będziemy. (Częściowe badania były przeprowadzone téż co do gub. Kaliskiéj). Ze względu na pobudki wyznaczenia komisyi, autorowie sprawozdania musieli zaznaczyć różnice w warunkach produkcyi naszéj i okręgu centralnego. Dane jednak dotyczące tego ostatniego, o ile wiem, były brane z drugiéj ręki, która nie zbierała ich tak sumiennie, jak to zrobili autorowie względem Łodzi i jéj okolic, i to właśnie stanowi słabą stronę ich pracy.

Mówiąc o t. zw. „okręgu“ łódzkim, autorowe zaliczają tutaj: Łódź, wsie: Dąbrowę i Widzew, osady: Aleksandrów i Konstantynów, miasta: Pabianice, Zgierz, Tomaszów i Ozorków. W tych miejscowościach przeważa przemysł bawełniany, na który téż autorowie zwrócili największą uwagę. Według danych starannie przez autorów sprawdzonych, znajdowało się tam w r. 1886-ym 33 fabryki, przerabiające bawełnę na przędzę i wyrabiające tkaniny czysto bawełniane; wartość rocznéj produkcyi wynosiła około 24 milionów rubli. Po zbadaniu téj części produkcyi, autorowie zauważyli dwa charakterystyczne jéj rysy: najprzód brak właściwéj produkcyi perkali drukowanych, w których tak celuje okręg centralny i następnie znaczna ilość bardzo małych przędzalni obok bardzo dużych.

Ze wszystkich rodzajów produkcyi bawełnianéj i wełnianéj zużywa, jak wiadomo, najwięcéj wody, produkcya perkali. Otóż Łódź posiada bardzo mało wody, a to, co posiada, czerpać musi ze studni artyjskich wcale nie zabezpieczających dostatecznéj ilości wody w odpowiednim gatunku. Podstawą jednak produkcyi musi być wyrób tani, dostępny dla szerokich kół ludności. Takim wyrobem w okręgu centralnym są perkale i perkaliki. Łódź musiała szukać takiéj podstawy gdzieindziéj i zaczęła, szczególniéj od r. 1873-go, produkować ciężki towar drukowany, barchany drukowane, bukskin i korciki. Takie barchany zastępują flanele—stosunkowo droższe, bukskin zaś i korty—odnośne wyroby wełniane, ceny których są niedostępne dla niezamożnego nabywcy. Te trzy gatunki towaru Łódź nazywa „bojką.“ Produkcya bojki powołuje do życia, obok dużych, małe przędzalnie, produkujące przędzę z odpadków. Małe również przędzalnie zajęte są produkcyą przędzy wigoniowéj (mieszaniny bawełny farbowanéj z wełną od 2—

10%). Przędzalni pierwszego rodzaju było w Łodzi w 1886 roku—9, drugiego — 6.

Nie będziemy tutaj przytaczali bardzo ciekawych szczegółów technicznych, podanych przez autorów, powtórzymy tylko, że ilość wagi przędzy otrzymywanéj z danéj ilości bawełny surowéj wynosiła 87½—91%, co autorowie zupełnie słusznie uważają, za rezultat umiejętnego wyzyskania materyału surowego, mianowicie przędzenia jednocześnie z numerami średnimi — numerów niskich przędzy. Koszt wyprzędzenia 1 puda przędzy obliczyli oni w jednéj fabryce na 1 rs, 91⅖ kop. (Nr. 26); w innéj znowu 2 rs. 42 kop. (Nr. 17); pud zaś przędzy Nr. 17 z surowym materyałem i wydatkami handlowemi kosztuje fabrykanta (tego samego)—13 rs. 19½ kop. Mowa tu o przędzy z bawełny surowéj; co się zaś tyczy przędzy z odpadków, to wydatki na wyprodukowanie jednego puda wyniosły w innéj fabryce 2 rs. 58 kop. Wogóle, pud przędzy Nr. 8 gatunku 0 kosztuje fabrykanta, po obliczeniu wszelkich wydatków, 9 rs. 89 kop., Nr. 6—1 gat. 8 rs. 45 kop., Nr. 4—2 gat. 6 rs. 31 kop. Na pudzie przędzy z bawełny surowéj fabrykant zyskuje 1 rs. 18 kop. (Nr. 17); na pudzie przędzy odpadkowéj (Nr. 8—gat. 0, Nr. 6—gat. 1, Nr. 4—gat. 2) od 1 rs. 39 kop. do 2 rs. 21 kop. Następnie mamy obliczenie kosztu wyprodukowania jednego puda przędzy wigoniowéj. Z dostawą do Moskwy pud kosztuje fabrykanta 16 rs., 59 kop.; zarobek wynosi na pudzie, w Moskwie 2 rs. 86 kop., gdyż tam ta przędza jest zbywana.

Przechodząc następnie do rozejrzenia się w kosztach produkcyi mechanicznéj tkanin bawełnianych, autorowie zaznaczają, że wielkie fabryki produkują przeważnie towar biały, wykończony i apretowany bez zarzutu; tkalnie mechaniczne małe wyrabiają wyłącznie towar ciężki do drukowania. O ile wiem, teraz stosunek ten znacznie się zmienił dlatego, że i wielkie zakłady produkują dużo towaru farbowanego i drukowanego. Otóż, koszt wyprodukowania jednego arszyna towaru białego wynosił 8⅔ kop. bez kosztów handlowych, ponieważ zaś fabryka, o któréj mowa, sprzedaje przeciętnie swój towar po 11.$_{57}$ kop. za arszyn, zarabia, po odliczeniu 10% na koszta handlowe—1.$_{76}$ kop. bez amortyzacyi ruchomości fabrycznych i bez procentu od kapitału obrotowego, które wynoszą 1.$_{16}$ kop. od arszyna. Fabryka Scheiblera obliczała swój koszt produkcyi 10⅔ kop. na arszyn (w 1885 r.), dlatego zapewne, że tam produkują znacznie ilość tkanin farbowanych i drukowanych, których produkcya wypada znacznie drożéj. Koszt wyprodukowania jednego arszyna barchanu drukowanego wynosił w fabryce Scheiblera rs. 15 kop. 6, a zarobek 2—2½ kop. na arszynie. Tkaniny, przeznaczone do drukowania i farbowania, farbo-

wane są i drukowane na surowo, farbami ciemnemi, w których czystość koloru nie gra roli pierwszorzędnéj, a prawidłowość druku na barchanie np. jest zamaskowana przez to, że drukuje się na szorstkiéj stronie tkaniny. Barchany fabryk łódzkich odróżniają się têm właśnie od barchanów petersburskich i moskiewskich, drukowanych po bléchowaniu, na gładkiéj stronie tkaniny.

Mówiliśmy więc tutaj o trzech rodzajach fabryk: 1) o fabrykach wyrabiających przeważnie przędzę z czystéj bawełny i towar biały; 2) o fabrykach produkujących przędzę odpadkową i ciężki towar drukowany, bojki,—i wreszcie 3) o przędzalniach wigoniu. Jak wiadomo, zużywają one bawełnę amerykańską, indyjską, egipską i środkowo-azyatycką. Ilość sprowadzonéj bawełny dochodziła w 1886 r. 1 miliona pudów. Bawełna środkowo-azyatycka przychodzi w coraz większych ilościach. Zapasy robią się na 2—6 miesięcy. Ceny wahają się od rs. 6 kop. 40 do rs. 13 kop. 50. Ceny odpadków od rs. 2 kop. 16 do rs. 6 kop. 72.

Przemysł wełniany okręgu łódzkiego, aczkolwiek pod względem ilościowym ustępuje bawełnianemu, ze względu jednak na wielką rozmaitość tkanin wełnianych i pół-wełnianych, oraz na jakość takowych, zasługuje na uwagę większą. Łódź zużywa do tych tkanin więcéj przędzy czesankowéj, a ponieważ miejscowa produkcya téj przędzy nie jest wystarczająca, tak ze względu na rozmiar, jakotéż na brak zupełny niektórych gatunków, fabryki łódzkie sprowadzają (1888 r.) około 110 tys. pud. przędzy czesankowéj z Saksonii i Anglii, płacąc za nią od 73½ do 144 rubli za pud. Polskiéj zaś w tym samym roku sprowadzono 58 tys. pud., południowo-ruskiéj 44 tys. pud. i zagranicznéj zwykłéj 119 tys. pud. Z wełny polskiéj, jako niemytéj, odpada 35—40%; zagraniczna przychodzi myta i traci *maximum* 6%. Ceny polskiéj i ruskiéj wahają się od 20—41 rs. za pud. Chociaż fabrykanci łódzcy uznają wysokie zalety wełny polskiéj, to jednak sprowadzają znacznie więcéj z zagranicy z tych mianowicie powodów: że handel wełną polską dotychczas nie posiada prawidłowéj organizacyi; że się znajduje w rękach faktorów i przekupniów, nie zaś kapitalistów, którzy, zakupując większe ilości wełny u producentów i sortując ją należycie, mogliby dostarczać gatunki o jakości dokładnie określonéj i jednostajnéj; prócz tego, przy zakupach wełny na rynkach wewnętrznych potrzeba znacznego kapitału obrotowego, ponieważ zakupy odbywają się na terminy półroczne i na gotówkę, a większość fabrykantów łódzkich pracuje z małym kapitałem i potrzebuje kredytu. Ten kredyt daje przy zakupach wełny zagranica na 6 miesięcy, w ciągu których można wełnę przerobić na wyroby i otrzymawszy za nie pie-

niądze, zapłacić za wełnę. Wszystkich przędzalni, produkujących przędzę zwykłą, było 1886 r. w okręgu łódzkim 56, przeważnie mniejszych rozmiarów. Większość tych przędzalni pracuje na zamówienie i przędzie materyał dostarczony przez zamawiającego. Przędzalnika nic nie obchodzi jakość materyału dostarczanego, a zamawiający stara się kupić takowy jaknajtaniéj. Wskutek tego dostrzegamy takie zjawisko, że wogóle przędza zwykła nie produkuje się z wełny czystéj, lecz z mieszaniny wełny z bawełną lub z wełną sztuczną, gdzie się znajduje nie więcéj nad 10—15% wełny czystéj.

Pud przędzy zwykłéj kosztuje fabrykanta, przerabiającego materyał przez niegoż kupiony, 29 rs. 32 kop., zysk *brutto* wynosi na pudzie 8 rs. 68 kop.

Tylko dwie przędzalnie wyrabiają przędzę czesankową; wyprodukowanie 100 kilogramów przędzy czes. kosztuje 391 rs. 50 kop. Dochód *brutto* na téj ilości 6 rs. 32 kop.

Produkcya wełny sztucznéj jest reprezentowana w Łodzi przez jedną fabrykę, która przerobiła w 1886-ym roku 59 tysięcy pudów gałganów.

O tkactwie wełnianém udało się autorom zebrać dokładniejsze dane tylko co do Łodzi i Pabianic. Dane co do Zgierza, Ozorkowa i Tomaszowa są niepewne. W Łodzi i Pabianicach było 61 fabryk z produkcyą wartości 14,319,600 rubli. Razem zaś w okręgu łódzkim 147 fabryk z produkcyą wartości 20,358,030 rs. Są to fabryki tkanin lekkich z przędzy czesankowéj i tkanin ciężkich z przędzy aparatowéj. Pierwszych mamy dwadzieścia, przeważnie rozmiarów znacznych. Wyrabiają kamloty, croisety, satyny, tybetyny, towary konfekcyjne wszelkiego rodzaju, trykotowe, kaszmiry, damski towar modny, towary meblowe, chustki, kołdry, szewioty, prunele i t. d. Towar ciężki wełniany nie ma takiéj rozmaitości i ogranicza się do chustek wełnianych i półwełnianych, kortów i flaneli wełnianéj i półwełnianéj. Producenci drobni tutaj, przeważnie żydzi; jednak kilkanaście bardzo znacznych fabryk nie znajduje się w rękach żydów. Zgierz produkuje przeważnie korty; Ozorków i Tomaszów towar ciężki wogóle.

Autorowie zwracają uwagę na różnicę ilościową wytwórczości warsztatu tkackiego mechanicznego i ręcznego. Podczas gdy pierwszy produkuje tygodniowo 85 — 140 arszynów tkaniny lekkiéj (100 arsz. waży 15—22 f.), lub 50—85 arszynów tkaniny ciężkiéj, ważącéj w 100 arsz.—50 do 100 funtów; drugi dostarcza zaledwie połowę tkaniny w tym samym czasie. Płaca zarobkowa waha się od 5—10 kop. za arszyn tkaniny lekkiéj i 6—12 kop. za arszyn tkaniny ciężkiéj.

Skupienie znacznéj ilości fabryk jednéj gałęzi produkcyi sprzyja w okręgu łódzkim bardzo szczegółowemu podziałowi pracy, przypadającéj na niezależne od siebie zakłady przemysłowe, tak że dopiéro całość pracy tych zakładów składa się na fabrykat gotowy. Podział ten powoduje taniość fabrykatu i wyższą jego jakość. Znajdujemy więc w okręgu łódzkim specyalne przędzalnie zwykłéj przędzy na potrzeby tkaczy miejscowych. To znowu tkalnie wyrobów wełnianych, półwełnianych i bawełnianych powołały do życia cały szereg samodzielnych farbierni i apretur. Te ostatnie mają wielką wagę w produkcyi łódzkiéj, jako pokrywające rozmaite wady wykończenia taniego towaru. Prócz tego, Łódź posiada niektóre zakłady ślusarskie, odlewnie i warsztaty mechaniczne, które, prócz zaspokojenia potrzeb miejscowych, co jest ich głównym celem, rozszerzają swój zbyt coraz więcéj na Cesarstwo. Wyżéj wyliczone gałęzie produkcyi uzupełniają się wzajemnie i pozwalają, na to, że fabrykat może być wykończony całkowicie, na miejscu, własnemi siłami, a fabryki nie potrzebują się zwracać z robotami i naprawami maszyn gdzieindziéj.

Prócz gałęzi produkcyi, o których mówiliśmy, znajdujemy w Łodzi produkcyę tkanin lnianych w niewielkich rozmiarach (3 fabr. — war. prod. 149 tys. rs.); produkcyę tkanin jedwabnych i półjedwabnych (3 fbr.—wart. pr. 363 tys. rs.); wstążek jedwabnych i półjedwabnych (3 fbr. pr.—247,500 rs.); produkcyę tasiem, sznurków, wstawek, wyszyć, koronek (cztery fabr.). Trzy fabryki wyrabiają towar trykotowy. Trzy—gumę do kamaszy i wreszcie kapelusze filcowe z wełny merynosów.

Po tym przeglądzie produkcyi okręgu łódzkiego pod względem technicznym, ilościowym i jakościowym, przechodzą autorowie do wskazania tych przyczyn, z których wynikają warunki pomyślniejsze dla produkcyi okręgu łódzkiego, w porównaniu z odnośnemi warunkami produkcyi okręgów centralnych.

Przedewszystkiém należy zwrócić uwagę na warunki, wśród których powstał przemysł łódzki. „W drugim dziesiątku lat bieżącego stulecia rząd, dbały o rozwój przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiém, ofiarowywał sprowadzanym przez siebie z zagranicy fabrykantom i majstrom znaczne i liczne ulgi, wskazując im jednak miejsce, w którém osiedlić się mają. Byli to przeważnie producenci sukna. Dalsze pomyślne warunki i długotrwałe udogodnienia sprowadziły wielką liczbę producentów w innych gałęziach przemysłu i obecnie Łódź liczy przeszło 200 fabryk ze stu tysiącami robotników (według autorów). Pochodzenie innych miast przemysłowych tego okręgu jest mniéj więcéj takie samo, powolniejsze tylko. Otóż, do tego sztuczne-

go skupiania przemysłu w jednych miejscowościach przyłączyła się późniéj naturalna dążność urządzania pokrewnych zakładów przemysłowych, w tych samych miejscowościach i Łódź znajduje się w posiadaniu znacznéj ilości ludności stałéj fabrycznéj, z pośród któréj zawsze wybrać można umiejętnego robotnika w dostatecznéj liczbie. Téj dogodności nie mają fabryki okręgu centralnego, rozrzucone po rozmaitych niewielkich wsiach i osadach. Drugim pomyślnym skutkiem skupienia przemysłu jest powstanie w Łodzi licznych zakładów pomocniczych, o których już mówiliśmy, t. j. warsztatów mechanicznych wszelkiego rodzaju, uwalniających fabryki od konieczności utrzymywania warsztatów własnych, do czego są zmuszone fabryki centralne. Istnienie tych zakładów pomocniczych wytwarza, prócz powyższéj dogodności, pewną ilość majstrów-specyalistów, którzy na każde wezwanie mogą wykonać robotę w téj lub owéj fabryce. Jest to wielką dogodnością szczególniéj dla małych fabryk.

Właściwości robotnika łódzkiego i stosunek przyjazny, zachodzący między robotnikami i fabrykantami, wpływają również korzystnie na wytwórczość fabryczną Łodzi. Fabryki łódzkie nie utrzymują całéj armii różnorodnych nadzorców, dozorców, kontrolerów i t. d., do czego są zmuszone fabryki centralne ze względu na niedbalstwo robotników. Dowodzi to, że łódzki fabrykant jest przekonany o sumienności swego robotnika, że mu ufa. Tego samego dowodzą niskie rozmiary kar nakładanych na robotników za psucie towaru i niewypełnienie prawideł fabrycznych. Że fabrykanci są przyjaźnie usposobieni dla swoich robotników, dowodzi fakt taki np. że gdy w r. 1884, podczas upadku fabryk sukna, robotnicy zostali bez zajęcia, fabrykanci dobrowolnie i niezwłocznie zgodzili się na wydawanie robotnikom środków żywności na cały czas bezrobocia. W okręgu łódzkim nie było dotychczas ani jednego poważniejszego zaburzenia, lub starcia robotników z administracyą fabryczną.

Właściwości fabrykanta łódzkiego nie ustępują właściwościom robotnika. Fabrykant jest nietylko właścicielem fabryk, lecz człowiekiem praktycznie, jaknajszczegółowiéj, znającym swój interes; mieszka przy fabryce, sam zarządza produkcyą i zwraca uwagę na wszelkie jéj szczegóły, nawet wówczas gdy przy większych rozmiarach fabryki utrzymuje dyrektora; starannie uważa na wszelkie ulepszenia wprowadzane gdzieindziéj w jego gałęzi przemysłu i nie żałuje kosztów na wprowadzenie u siebie ulepszonych sposobów produkcyi i maszyn. Większość fabrykantów łódzkich — to ludzie zawdzięczający swoją pozycyę obecną własnéj pracy osobistéj. Wielu jest takich, którzy rozpoczęli karyerę jako robotnicy w cudzéj fabryce i potrzebo-

wali olbrzymiéj wytrwałości i oszczędności, żeby zostać właścicielami bardzo znacznych często zakładów. Taki fabrykant pracuje tak samo 12 godzin na dobę, jak pracował dawniéj, przychodzi do fabryki jeden z pierwszych, a odchodzi od roboty jako jeden z ostatnich; spotykając się z nim w fabryce, trudno odróżnić go od prostego robotnika. O stosunku fabrykanta do robotnika i odwrotnie, o wartości, że tak powiem moralnéj (w stosunku do pracy fachowéj) w okręgach centralnych, autorowie zachowują wymowne milczenie.

Rok roboczy w okręgu moskiewskim wynosi 255 — 260 dni; w okręgu łódzkim 290—300. Taka różnica z konieczności musi wywoływać różnicę na korzyść ilościowéj wytwórczości fabryk łódzkich. Tę różnicę wywołuje w znacznym stopniu racyonalniejsze, niż w okręgu centralnym, urządzenie techniczne fabryk łódzkich.

Następnie, korzystniejsze warunki produkcyi łódzkiéj znajdują autorowie w bliskości kopalń węgla i bliskości granicy, przy komunikacyi kolejowéj. Zaznaczają jednak, że ceny węgla, wahające się od 8¾—16 kop. za pud (obecnie od 11¾—19 kop.), nie są wcale niskie i nie pozwalają na zarzucenie w Tomaszowie opału drzewnego, a w Ozorkowie i Pabianicach—torfu. Fabrykantom łódzkim nie grozi wyczerpanie paliwa, a obfitość jego pozwoli w przyszłości również koncentrować przemysł w jedném ognisku, jak dotąd; większy rozwój przemysłu w kraju spowoduje niższe ceny węgla. Ogniska centralne przemysłu używać muszą opału drzewnego, droższego dwa razy od węgla, w przyszłości coraz więcéj drożejącego; zapasy tego paliwa robić trzeba na czas dłuższy, kiedy węgiel można zamawiać na 1 — 4 tygodni.

Co do tych ostatnich uwag pp. Iljina i Łangowego, zwrócę uwagę przedewszystkiém na to, że ogniska centralne nie używają wcale wyłącznie opału drzewnego; węgiel angielski kosztuje w Moskwie 20—22 kop.; z tego trzeba potrącić 20% dla ujednostajnienia jakości z węglem dąbrowieckim, którego używa Łódź; otrzymamy więc 17—17½ kop., co wcale znowu nie stanowi znacznéj różnicy z cenami łódzkiemi. Następnie fabrykanci moskiewscy używają już dość dużo węgla miejscowego, bo jeżeli przywożą np. do Moskwy 5 mil. pud. węgla angielskiego, to z drugiéj strony przychodzi téż 3 mil. pud. węgla miejscowego. W wielu miejscowościach gubernii Włodzimierskiéj i Kostromskiéj i w niektórych powiatach gub. Moskiewskiéj używają opału torfowego, kosztującego od 4 — 5 kop. za pud; dodając do téj ceny 25% dla zrównoważenia ważności z węglem dąbrowieckim, co do zawartości cieplika, cenę porównawczą otrzymamy w każdym razie 5 — 7½ kop. za pud opału torfowego. Prócz tego fabryki centralne spa-

lają coraz więcéj bardzo tanich odpadków naftowych [1]). W ogóle przy dokładném uwzględnieniu różnicy w cenie węgla u nas i w ogniskach centralnych, otrzymujemy odbicie téj różnicy na cenie wyrobu w stosunku 0,225 kop. na arszynie. Obecnie więc różnicy znacznéj nie ma, w przyszłości zaś, o którą autorowie tak się obawiają, jest tak, że przy rozwoju przemysłu kopalnianego w odnośnych miejscowościach, przy coraz większéj łatwości opalania odpadkami naftowemi, z powodu rozwijającéj się ilościowo i jakościowo produkcyi nafty,—okręg centralny jest zupełnie pod względem taniości i ilości paliwa zabezpieczony, bo używane obecnie drzewne zostanie z korzyścią zastąpione przez węgiel i odpadki naftowe.

Owa bliskość granicy, o któréj wspominaliśmy, daje trojaką przewagę fabrykom łódzkim: 1) zakup materyału surowego i materyałów fabrycznych może się odbywać na krótkie terminy; 2) na dostawę do fabryk materyału surowego, materyałów fabrycznych, maszyn i t. d., zużywa się mało czasu i nie wiele kosztów; 3) fabrykanci mają możność łatwiejszego badania postępów odnośnych gałęzi przemysłu zagranicą, mogą tam wyjeżdżać, nie tracąc wiele czasu na to. Ważném to jest szczególniéj dla fabrykantów towarów sezonowych.

Daléj przychodzą korzyści, pochodzące z niemieckości przemysłu łódzkiego. Fabrykant łódzki może sprowadzić z Niemiec dyrektora, majstrów, czeladników—niemców i ci znajdą tu robotnika niemca, którego rodzaj i wartość pracy znają dobrze i język nie staje im na przeszkodzie. Znalazłszy się prócz tego mniéj więcéj w tych samych warunkach co u siebie, nie mają zbytnich wymagań co do wynagrodzenia. Inaczéj jest w ogniskach centralnych, gdzie sprowadzony technik lub majster nie zna języka, warunków miejscowych, właściwości i charakteru robotnika ruskiego, który nie mogąc przynieść należytych korzyści, płacony jest bardzo wysoko. Ale przecież sami autorowie powiadają, że to sprowadzanie jest zupełnie bez potrzeby. Jabym dodał, że nie gra prawie żadnéj roli w kosztach produkcyi.

Co do wydatków na podatki, fabryki okręgu łódzkiego znajdują się znowu niby w uprzywilejowaném położeniu: mianowicie nie płacą t. zw. podatków ziemskich. Dobrze, ale nie posiadają téż ziemi. Jeżeli „Morozowskaja Manufaktura“ w Oriechowie płaci 30,4 tys. rubli podatku, to z téj sumy 25,2 tys. rs. przypada na „ziemskie“, dlatego że fabryka posiada kilka tysięcy diesiatyn ziemi, a w téj liczbie torfowiska; następnie dużo wypada płacić za prawo utrzymywania sklepów, szynków i t. p. zakładów, dających fabryce bardzo znaczne zyski,

[1]) Około 14 milionów pudów.

a nic wspólnego z przemysłem nie mających. Następnie nieznane są w budżecie fabryk centralnych pozycye na kasy dla chorych, pomoc dla robotników, wydatki na utrzymanie szpitali, szkół i t. p. Te wydatki w znacznym stopniu obciążają fabrykanta łódzkiego, a mogą być uważane za podatek dobrowolny.

Dwa ostatnie spostrzeżenia, zrobione przez autorów, dotyczą braku wody w Łodzi i różnicy płacy robotniczéj. Wody w Łodzi brak i to jest czynnikiem nadzwyczaj ujemnym dla tamecznéj produkcyi. Płaca robotnicza jest wyższa, aniżeli w okręgach centralnych o 20—30%. Janżuł obliczył tę różnicę na 32—73,9%, autorowie więc prawdopodobnie odliczyli już w swojéj cyfrze intensywność pracy, o któréj prof. Janżuł wspomina, przypisując tutejszemu robotnikowi większą. Co do braku wody, autorowie uznają całą jego doniosłość i powiadają, że ponieważ przemysł łódzki coraz się więcéj rozwija, ponieważ powstają fabryki nowe,—musi być gdzieś pies pogrzebany, który równoważy ten brak. Jaki to pies i gdzie?—autorowie nie mówią.

Otóż pp. Iljin i Łangowoj znaleźli jedném słowem co następuje:

1) że przemysł łódzki, jako skupiony w jedném miejscu, korzysta z łatwości znalezienia w dostatecznéj liczbie umiejętnego robotnika i ma pod ręką produkcyę pomocniczą, korzystając zarazem z dobrego podziału pracy między fabryki;

2) że robotnik łódzki jest uczciwy i sumienny;

3) że stosunki wzajemne fabrykantów do robotników i odwrotnie są dobre i przyjazne;

4) że fabrykant łódzki zna się na przemyśle przez siebie prowadzonym doskonale, że pracować umié i pracuje;

5) że opał w okręgu łódzkim jest tańszy, aniżeli w centralnych;

6) że bliskość granicy ułatwia z nią stosunki i korzystanie z jéj doświadczenia i materyałów surowych oraz fabrycznych;

7) że niemieckość przemysłu łódzkiego ułatwia korzystanie z umiejętnéj pracy technika, majstra i t. d. zagranicznego;

8) że fabryki łódzkie płacą jakoby mniejsze podatki niż centralne;

9) że brak wody w Łodzi ma bardzo ujemny i szkodliwy wpływ na produkcyę tameczną;

10) że płaca robotnicza w Łodzi jest droższą o 20—30%, aniżeli w okręgach centralnych.

Zważywszy to wszystko, autorowie powiadają, że: *ponieważ przemysł okręgu łódzkiego korzysta ze swego położenia na kresach i z nadzwyczaj pomyślnych* (?) *warunków naturalnych*, ma większe szanse rozwoju dalszego, aniżeli przemysł okręgu centralnego, a więc wszelkie opodatkowanie na niekorzyść fabryk

centralnych jest niesprawiedliwém i wskutek tego fabryki łódzkie winny płacić jakiś podatek równoważący podatek t. zw. „ziemski".

„Prócz tego jest do życzenia, żeby majstrowie i robotnicy, przybywający z zagranicy na zarobek w fabrykach łódzkich i sosnowickich, szczególniéj w tych ostatnich, mieszkali na mocy paszportów osobno opodatkowanych, nie zaś kart legitymacyjnych, jak dotychczas".

Co do osobnego opodatkowania zauważyliśmy już, że byłoby ono niesłuszne ze względu na to, że znaczna część podatków ziemskich, opłacanych przez fabryki centralne, pochodzi stąd, że posiadają one odpowiednie obszary ziemi i że brak odpowiedniéj części reszty opodatkowania równoważy się brakiem sklepów fabrycznych w Łodzi, traktowanych w centrum jako zyskowne przedsiębierstwo, oraz rozmaitemi podatkami dobrowolnemi, których nie opłacają wcale fabrykanci centralni.

Drugie żądanie mogłoby dotyczyć tylko ogniska sosnowickiego; względem Łodzi nie ma ono prawie żadnéj wartości.

Same punkty przewagi pomyślności warunków po stronie produkcyi łódzkiéj są mocno wątpliwe. Pierwszy, drugi, trzeci i czwarty nie mogą chyba być za takie uważane. O piątym już mówiliśmy. Szósty i siódmy nie mają żadnéj wagi. Ostatnie badania dowiodły, że jest zaledwie 5% robotników niemców w Łodzi. Pozostają dziewiąty i dziesiąty, przemawiające bardzo silnie na niekorzyść warunków produkcyi łódzkiéj; w razie więc nawet przyznania pewnéj racyi autorom w punkcie piątym, zrównoważą go one całkowicie na korzyść produkcyi centralnéj i bądź co bądź, przemawiać będą silnie za niekorzystnemi warunkami produkcyi okręgu łódzkiego w stosunku do centralnego.

Jak mówiliśmy, p. Światłowskiemu, tutejszemu inspektorowi fabrycznemu, nie podobały się wywody pp. Iljina i Łangowego, żądające większego opodatkowania fabryk łódzkich i większych formalności paszportowych. Mówimy *nie podobały się* dlatego, że w swojéj broszurce p. Św. zaznaczył tylko swój gust, o dowodach chociażby najmarniejszych zapominając zupełnie. Pp. Iljin i Łangowoj o żadną stronność posądzeni być nie mogą, a rozumiejąc dobrze interes państwowy ogólny, mogli proponować usunięcie tego tylko, co uważali w warunkach produkcyi łódzkiéj za niesprawiedliwie, według nich, korzystniejsze. P. Św. postępuje inaczéj: powiada, że wnioski, do jakich autorowie doszli w swém badaniu, są zupełnie sprzeczne z wywodami *płaczliwéj, lecz nie przekonywającéj* petycyi fabrykantów łódzkich i żałuje, że tak słabe środki proponują. Pan Św. jest za p. Szarapowem; można to tylko podziwiać, ale spytawszy o dowody, posądzić p. Św. co najmniéj o lekkomyślność. Niezgodność wniosków

autorów z wnioskami petycyi łódzkiéj można dopatrzyć jedynie tylko w razie nieznajomości jednych lub drugich. P. Św. zapewne zapomniał co było w petycyi łódzkiéj. Po za tém, broszurka p. Św. jest nawet nie streszczeniem pracy pp. Iljina i Łangowego, lecz przedrukiem dosłownym części bardziéj ogólnikowych téj pracy.

Jakby w odpowiedzi na zarzut p. Światłowskiego, jakoby wnioski Najwyżéj zatwierdzonéj komisyi były niezgodne z wnioskami petycyi łódzkiéj, znajdujemy w artykule drukowanym w zeszłym roku w miesięczniku „Ekonomiczeskij Żurnał", p. t. „Walka Moskwy z Łodzią", ustęp brzmiący jak następuje: „Dane te (t. j. przytoczone w petycyi dane faktyczne o kosztach produkcyi, o wydatkach, o warunkach zbytu i t. d.) po zestawieniu z danemi komisyi, ze wskazówkami różnych badaczy, okazały się zupełnie zgodnemi z rzeczywistością". Pan A. S., podpisany pod powyższym artykułem, powiada o komisyi, że po zwiedzeniu fabryk w Królestwie, po zebraniu odnośnych danych na miejscu, opierając swe wywody na książkach fabrycznych i na oficyalnych dowodach, przyszła ona do następującego przekonania:

1) „Że Łódź nie znajduje się wcale w warunkach lepszych pod względem fabrycznym, aniżeli przemysł centralny".

2) „Że położenie Łodzi w bliskości granicy zachodniéj lądowéj bynajmniéj nie daje tamtejszym fabrykantom warunków lepszych, ponieważ koszt przewozu głównych produktów, t. j. zamorskich, przez porty morza Baltyckiego i Niemieckiego (Liverpool-Londyn-Gdańsk-Łódź) jest większy od kosztu przewozu przez odnośne porty do Moskwy (Liverpool-Londyn-Rewel-Moskwa) i że przeciwnie nawet, fabrykanci łódzcy znajdują się w gorszych warunkach, ze względu na swe położenie na kresach państwa, dlatego, że przewóz towarów gotowych ich wyrobu do wszystkich prawie punktów handlowych Cesarstwa kosztuje bardzo drogo".

3) „Że fabrykanci łódzcy otrzymują rzeczywiście węgiel taniéj, aniżeli niektórzy fabrykanci środka państwa, to jednak oszczędność ta jest stosunkowo nieznaczna w obec braku wody. Wskutek tego braku, fabryki łódzkie nie mogą korzystnie używać motorów kondensacyjnych, mających tak olbrzymie znaczenie, jeśli zaś z nich korzystają, to muszą się zadawalniać wodą ciepłą (wypływającą z maszyn), co w znacznym stopniu zmniejszą korzyści, osiągane z motorów kondensacyjnych".

4) „Że zachowanie się fabrykantów łódzkich w stosunku do wykonywania żądań i rozporządzeń ministeryum finansów i władz rządowych jest bez zarzutu; stosunek zaś ich do robotników zasługuje na zupełne uznanie".

Powtarzam te wnioski za p. A. S. dosłownie, tak jak powtarzałem wnioski pp. Iljina i Łangowego, a to w tym celu, żeby zapoznać czytelników z głosami, o których już co najmniéj bezstronności przekonanym być można.

Pan A. S. omawia bardzo szeroko rozwój historyczny Łodzi i miast przyległych. Nie będziemy tutaj powtarzali tych rzeczy dobrze znanych; poprzestaniemy tylko na przytoczeniu cyfr następujących, które najlepiéj o tym rozwoju mówią:

	Mieszkańcy	Wartość produkcyi
1793 roku	0.2 tys.	— —
1820 „	0.8 „	— —
1827 „	2.8 „	0.2 mil. rs.
1833 „	5.7 „	0.5 „
1840 „	20.0 „	0.9 „
1860 „	32.0 „	2.6 „
1878 „	100.0 „	30.0 „
1888 „	150.0 „	40.0 „

Są to cyfry urzędowe, które znacznie powiększyć trzeba.

Ten szybki rozwój przemysłu łódzkiego z jednéj strony i z drugiéj olbrzymie zapasy produkcyi centralnéj, nagromadzone wskutek bardzo wysokich cen, jakie osiągali fabrykanci centralni po wojnie rusko-tureckiéj, zaniepokoiły fabrykantów wielkoruskich i wywołały cały szereg petycyi, podawanych przeważnie po jarmarku niżegorodzkim. Zniżka cen — zupełnie naturalny skutek powiększenia produkcyi—była uważana za drogę do zguby, témbardziéj że niewiadomo było co zrobić z nagromadzonemi zapasami przez fabrykantów, którzy zbyt wysokie ceny osiągane za swoje wyroby po wojnie, przyzwyczaili się uważać za obowiązujące na przyszłość i produkowali na gwałt. Ponieważ nie zwrócono uwagi na przyczyny głębsze swego niepowodzenia, zaczęto je przypisywać Łodzi, umiejętnie prowadzącéj zbyt swoich towarów coraz daléj wgłąb państwa. Stąd owe, jak p. S. powiada, „żestokija chodatajstwa“ (srogie upraszania) o to, żeby rząd bronił interesów okręgu centralnego wobec nieszczęść, jakie nań spaść miały ze strony „pasożytniczego“ przemysłu kresów zachodnich. Jak już widzieliśmy żądania te, wobec urzędowego sprawdzenia stanu rzeczy, okazały się zupełnie nieuzasadnione, tak jak były nieuzasadnione inne wymagania tych przemysłowców, dotyczące zniesienia instytucyi inspektorów podatkowych i fabrycznych, puszczenia w obieg większéj ilości biletów kredytowych, powstrzymania się rządu od starań wszelkich, mających na celu podwyższenie kursu rubla kredytowego i t. d.

Do powyżéj przytoczonych względów, z powodu których, jak wi-

dzieliśmy przemysł łódzki nie znajduje się wcale w lepszych od centralnego warunkach, z wywodów p. A. S. przytoczymy jeszcze kilka.

Przywóz bawełny z zagranicy do Rosyi wynosi rocznie od 6—8 milionów pudów. Z téj liczby mniéj więcéj jedna szósta przypada na Łódź. Dostawa téj bawełny do Łodzi przeważnie przez Gdańsk-Aleksandrowo kosztuje $37._{10}$ kop. za pud. Do Moskwy zaś przez Rewel albo Rygę—$35._{77}$ kop. Moskwa więc płaci za przewóz bawełny zagranicznéj o $1._{33}$ kop. na pudzie mniéj. Znacznie jednak więcéj wygrywa Moskwa na kosztach przewozu bawełny bucharskiéj, mianowicie około 31 kop. na pudzie. Należy jeszcze zwrócić uwagę, że przy nowém cle od bawełny przychodzącéj przez granicę lądową, Łódź dopłaca na pudzie 15 kop. w złocie. Co się tyczy przywozu różnych materyałów chemicznych, farb, olejów mineralnych i t. d. Moskwa znajduje się w bezwarunkowo lepszém położeniu. Fabrykanci łódzcy przywożą je przeważnie z Moskwy i Petersburga, co zwiększa cenę od 36—86 kop. na pudzie.

Prócz tego, że płaca robotnicza w okręgu łódzkim jest większa o 32—$73._{9}$% aniżeli w centralnych, rozmiar jéj wzrasta stale, a w okręgu szujskim i iwanowo-wozniesieńskim w ciągu ostatnich lat dziesięciu spadła o 50—60%. Dowodzi to zmniejszania się tam płacy robotniczéj sztucznie.

Stosunki kredytowe nie są wcale w Łodzi dogodniejsze, aniżeli w okręgu moskiewskim. Przeciwnie, prowincyonalne instytucye kredytowe biorą zwykle większy procent, aniżeli stołeczne. Z kredytu zaś zagranicznego Łódź nie korzysta wcale.

Pan A. S. stwierdza to, co inni badacze już stwierdzili, t. j. że fabrykant łódzki jest obrotnym, zna swój interes i pracuje dużo osobiście w kantorze fabryki.

Przewóz wyrobów gotowych kosztuje Łódź więcéj, aniżeli Moskwę. Jeżeli jest jakaś różnica korzystna dla Łodzi, to tylko względem południowo-zachodniéj i północno-zachodniéj części państwa. To zaś, co stanowi główny rynek zbytu, jest dla Moskwy dostępniejszém. Taki np. Niższy-Nowogród: z Moskwy dowóz tam kosztuje pełnemi wagonami 18 kop. za pud, z Łodzi 101 kop. za pud, a pełnemi wagonami 72 kop. Nawet do Charkowa dowóz z Łodzi jest tylko o 3 kop. na pudzie tańszy, aniżeli z Moskwy. Nie mówimy tu już o takich miejscowościach, jak Tyflis i o téj całéj przestrzeni, jaka leży na wschód od linii Kazań—Samara—Orenburg—Astrachań—Pietrowsk—Temir-chan-Szura—Baku. Jeżeli towary tutejsze przekroczyły po za te granice, to wcale nie wskutek dogodniejszych warunków przewozowych, lecz wskutek lepszéj techniki sprzedażnéj.

Najlepszym jednak miernikiem korzystniejszego uwarunkowania produkcyi jednych i drugich okręgów są cyfry, wskazujące wysokość czystych zysków. Otóż np. fabryka Wikuły Morozowa dała w 1887 roku (według sprawozdania zamieszczonego w „Wiestniku Finansów“) 16%, Nikolska manufaktura Morozowa—28%, fabryka krenholmska 44.9%, fabryka Rabeneka 25.4%, Towarzystwo wyrobów wełnianych Torntona 45%. W r. 1888 znajdujemy również cyfry przenoszące 40, a należy pamiętać o tém, że przy dokładniejszém obliczeniu okaże się, iż 16% otrzymanych jakoby przez fabrykę Wikuły Morozowa—w rzeczywistości wynosi 28%; 28% wykazanych przez przędzalnię Newską równa się 53%. Łódź nie otrzymuje nigdy więcéj nad 9%. Zakłady żyrardowskie dają 6½%; Zawiercie 9% (w 1888 r.). Wogóle Moskwa nawet w bardzo złym roku, jakim był r. 1886, otrzymała więcéj niż 9%, t. j. więcéj aniżeli Łódź w latach najlepszych.

Daléj zastanawia się p. A. S. nad ogólniejszemi sposobami prowadzenia interesu u nas i w okręgach centralnych i roztrząsa stosunki robotnicze. Bezwątpienia, brak sklepów fabrycznych wyzyskujących robotnika, bardzo umiarkowane kary, pobierane przez tutejszych fabrykantów, wobec kar dochodzących od 30—40% zarobku w okręgu centralnym, trwalsze unormowanie terminu uwolnienia, stale określony czas wypłat, obfite urządzenia filantropijne, nieistnienie robót nocnych, krótszy dzień roboczy, lepsza płaca robotnika, lepsze jego mieszkanie, lepsze odżywianie robotników—są to czynniki, które z konieczności oddziaływają korzystnie na produkcyę łódzką — są to jednak zarazem rzeczy, które w żaden sposób nie mogą być zaliczone do korzystniejszych warunków produkcyi, nadających się do usunięcia.

Nie mogą téż być do takich zaliczone lepsze właściwości fabrykanta łódzkiego i większa umiejętność w prowadzeniu przedsiębiorstwa, tak pod względem technicznym, jak i handlowym.

Po za tego rodzaju przewagami Łodzi nie widzieliśmy jednak nic, coby rzeczywiście mogło tutaj produkcyą ułatwiać. Mówiliśmy już o różnicy w produkcyi łódzkiéj i moskiewskiéj. Różnica ta usuwa nawet obawy jakiéjkowiek poważniejszéj konkurencyi Łodzi z Moskwą. Jeżeli takowa istnieje, to być może jedynie co do wyrobów wełnianych. Wogóle zaś wypadałoby tylko żałować, że nie ma silniejszéj konkurencyi i życzyć jéj powstania dla dobra ogółu, zwracając jednocześnie uwagę fabrykantów moskiewskich na te drogi, które do dobrych rezultatów w konkurencyi prowadzą.

Zarzucają, że przemysł łódzki jest „pasorzytniczy.“ Dobrze, ale całe państwo przecie kolonizowało i kolonizuje swój przemysł. Bez obcego żywiołu przy powstawaniu i rozwoju przemysłu obejść się nie

można. Niech ten żywioł jaknajprędzéj stanie się swojskim: to co innego, ale tymczasem on przynosi społeczeństwu zupełnie taką samą korzyść, jakąby przyniósł odpowiednio uzdolniony swojski, więcéj nawet, bo uczy i kształci swoje otoczenie.

Jest inny jeszcze punkt zapatrywania na sprawę powyżéj przez nas wyłożoną. Z tego punktu wychodzi nieco, choć niezupełnie, p. A. S. Da się to streścić tak: jeżeli widzimy, że w pewnéj miejscowości państwa przemysł rozwija się pomyślniéj, aniżeli w innéj, to dowodzi, że przemysł ten ma tam więcéj przyczyn naturalnych dla pomyślnego rozwoju, ponieważ zaś w interesie państwa leży mieć jak najtaniéj dostarczony wyrób, należy temu przemysłowi dopomódz, a przynajmniéj powiedzieć: niech się rozwija jak chce i umie. Ten jednak pogląd do rzeczy nie należy, bo w Łodzi warunków naturalnych pomyślniejszych nie ma, a powodzenie, mniejsze w każdym razie, aniżeli przemysłu centralnego, przypisać należy lepszemu prowadzeniu interesu, t. j. większemu uzdolnieniu fachowemu do odnośnéj pracy, lepszemu zrozumieniu konieczności dobrych stosunków fabrykanta do robotnika i lepszemu pojmowaniu strony handlowéj przedsiębiorstwa.

Tadeusz Zaleski.





Sprawa magazynów-elewatorów.

Ponieważ, jak słyszeliśmy, w niedalekiéj przyszłości pobudowane zostaną magazyny elewatorowe w Warszawie, nie będzie od rzeczy przypomnieć czytelnikom, czém są takie magazyny w klasycznéj ich ojczyźnie, w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki, a czém się stać mogą w Cesarstwie i u nas.

Dla nie obeznanych z budową tego rodzaju magazynów, niech nam wolno będzie dać parę słów objaśnienia.

Magazyny elewatorowe przedstawiają się jako olbrzymie skrzynie, o licznych przegrodach, idących prostopadle do poziomu przez całą wysokość budowli. Gdy w śpichlerzach o kondygnacyach piętrowych, zboże leży w mniéj, lub więcéj grubych warstwach horyzontalnych, w elewatorach zboże leży w masach, podobnych do czworobocznych słupów, oddzielonych od siebie płaszczyznami prostopadłemi do dna śpichlerza. To téż przesypywanie zboża z jednéj komory do drugiéj, odbywa się w ten sposób, że na pasach bez końca umieszczony rząd czerpaków, podnosi zboże ze spodu komory pod strych magazynu, tam je wysypuje na szerokie pasy gumowe, horyzontalnie przesuwające się, i temi pasami przenosi się zboże do otworu próżnéj komory, choćby na drugim końcu magazynu, i tę komorę napełnia powoli, spadając z góry przez odpowiednie siatki, w postaci deszczu.

Łatwo zrozumieć, że przy téj manipulacyi, każde ziarnko znaleść się musi w zetknięciu z powietrzem, pozbyć się części wilgoci i ciepła, nabytego w powstającym częstokroć procesie zagrzewania, — gdy komory napełniono nie zupełnie suchém ziarnem, czego trudno uniknąć w latach niepomyślnego sprzętu.

Najnowszy typ magazynu-elewatora polega na tém, że czynność czerpaczków na pasach bez końca, i czynność pasów przenośnych, poziomych, spełniają rury-aspiratory.

Podług téj nowéj zasady urządzone magazyny, podobno żwawiéj i taniéj czynność przyjmowania zboża załatwiają.

Przy takiém urządzeniu, daje się wtłaczać do komór suche powietrze lub gazy nie dopuszczające powstawania grzybków pleśni.— Mylném jest zdanie, jakoby zboże suche, nasypane do komór elewatora, wymagało częstego przewietrzania. W suchym klimacie Węgier, zebrana pszenica może całemi miesiącami pozostawać zamkniętą w żelaznych skrzyniach magazynu, bez straty na wartości wewnętrznéj.

Magazyny elewatorowe w Jelcu, Petersburgu, Rydze, zbyt świeżéj są daty i nigdy tak pełne nie były, aby zachodzić mogła konieczność wypróbowania, jak téż długo ziarno bez uszkodzenia się pozostawać może nieruchomie. Nadto, w ostatnich latach nie było szczególnie wilgotnego sprzętu. Jednak prawdopodobnie w Cesarstwie, w ciągu zimy, zboże jesiennéj młóćby, pozostawać może 4 do 5 miesięcy bez potrzeby przewietrzenia.

Wszelkie czynności magazynu dopełniają przyrządy, poruszane siłą pary. Najzbytkowniéj pobudowany magazyn w Peszcie, posiada dwie maszyny parowe, o sile 250 koni każda (z fabryki Skody w Pilznie), z których jedna jest zapasową. Specyaliści utrzymują, że magazyn objętości około 25,000 ton (2,500 ładunków wagonowych), o 290 komorach, ze zdolnością wyładowywania 80,000 kilogramów na godzinę, młynkowania 40,000 kilogr. na godzinę, może być obsługiwany maszyną o sile 150 koni a nawet słabszą.

Ustaliło się również mniemanie, że magazyny elewatorowe są wyłącznie dla zboża klasyfikowanego, to jest pozbawionego odrębności gatunku i pochodzenia. W praktyce dzieje się prawie wręcz przeciwnie, bo np. magazyn w Peszcie nie zna klasyfikacyi wcale, a w Ameryce, tylko ci właściciele, którzy tego wyraźnie pragną, mają swe zboże klasyfikowane, to znaczy, iż kwity depozytowe, wydawane na złożone zboże, opiéwają np. „pszenica biała Nr. 1“, „czerwona Nr. 2“ i t. d., zamiast nazwy właściciela lub folwarku, gdzie wyprodukowana. Gdy z jednéj strony nie ma powodu do zalecania stałego utrzymania odrębności partyi, to z drugiéj nie można się obawiać, że brak gatunkowania, pociągnie jakieś szkodliwe skutki. Rozumiemy, że podział zboża na klasy upowszechni się naturalnym biegiem rzeczy, w miarę asymilowania się nowéj instytucyi do potrzeb miejscowości wytwórczéj jak i do potrzeb rynków zbytu. Natomiast zalecićby wypadało jak najmocniéj, aby urządzenie przysięgłych inspektorów zbożowych, znalazło zastosowanie przy wszystkich powstających magazynach.

Komisya przez zjazd kolejowy II grupy kolei w Rosyi jeszcze w 1887 r. wyznaczona, dla zbadania warunków handlu zbożem w portach, zastała w Rydze inspektora zbożowego, urzędującego oficyalnie kosztem tamtejszéj izby handlowéj. Urzędnik ten, p. Drachenauer,

początkowo pracował prywatnie, pozyskał jednak jako specyalista sumienny i ścisły takie uznanie w Rydze i zagranicą, że wyniki ekspertyzy p. D. są stanowczemi w sporach wynikających między eksporterami i zagranicznymi odbiorcami.

Komisya była obecna przy sprawdzaniu stopnia zanieczyszczenia różnych gatunków zboża i żywe wyraża uznanie dla działalności inspektora, zalecając usilnie zaprowadzenie we wszystkich portach instytucyi przysięgłych inspektorów. Czytelników ciekawych bliższych szczegółów odsyłamy do nader interesującéj książki p. P. Fiedorowa. „Handel zbożowy“ (Moskwa, 1888, str. 455 po ros.). W Cesarstwie, gdzie przemysł naftowy nie mógłby się rozwinąć do obecnych kolosalnych rozmiarów, bez stworzenia szczególnego rodzaju składów-cystern stałych i ruchomych, bez zgodzenia się na jednostajny typ rektyfikowanéj nafty, do bezpośredniéj komunikacyi przeznaczonéj, budzi się myśl, aby te same zasady jak przy nafcie (zasada ciężaru gatunkowego) zastosować do zboża, a wtedy młynarz lub eksporter kupowałby towar bez próby z równym spokojem, jak obecnie kupują naftę bezpośredniéj komunikacyi. Operacya miałaby miejsce w taki sposób, że zboże kupione np. w okolicy Kozłowa z warunkiem uzyskania marki elewatora, płaconoby i odbierano w elewatorze warszawskim lub ryskim, z uwzględnieniem kosztów przewozu i korzystania z magazynów nadzwyczajnie tanio obliczanego. Nie wchodząc w rozbiór wątpliwości, jakie się przy praktyczném stosowaniu powyższéj myśli nastręczyć mogą, zwracamy tylko uwagę, na ten znak czasu, dążącego do zacierania wszelkich odrębności.

Pierwszym powodem do budowania elewatorów była chęć pomieszczenia na małéj przestrzeni wielkich zapasów, a jednocześnie oszczędzenia na kosztach wyładowania i naładowania. Na szerszą skalę rozpoczęły budowy koleje żelazne, pobudzone przez konkurencyę w pozyskiwaniu transportów. Pierwsze elewatory pobudowano w Chicago, potém w N.-Yorku, w Buffalo, Duluth i t. d., i tu podkréślić należy, iż koleje żelazne oddawały magazyny na pomieszczenie zboża prawie darmo, lecz tylko dla zboża, które już przewieziono lub obowiązano się przewieźć po danéj drodze. Niedługo, skutkiem zaostrzającéj się konkurencyi, i ilościowego wzrastania transportów, mianowicie w latach 1881 i 1883, przystąpiono do budowy elewatorów po znaczniejszych stacyach zachodnich stanów. Obecnie Amerykanie posiadają więcéj niż wystarczającą ilość elewatorów dla magazynowania płodów choćby najobfitszego żniwa, posiadają nadto ścisłą kontrolę zawartości magazynów, któréj rezultaty co tydzień do wiadomości pu-

blicznéj podawane, roznosi telegraf do wszystkich ognisk handlowych cywilizowanego świata.

Niezwykle świetne urodzaje w Cesarstwie w latach 1887 i 1888, ujawniły wszystkie niedogodności dotychczasowych sposobów manipulowania zbożem, zwróciły uwagę najwyższych sfer administracyjnych na konieczność zasłonięcia producentów i handlujących od strat i kosztów obciążających najniesłuszniéj operacye zbożowe; wdanie się departamentu kolejowego w ustanawianie taryf zbożowych, konkurencya dróg prywatnych niegwarantowanych z takiemiż gwarantowanemi i z drogami rządowemi, o to szereg powodów, dla których liczne magazyny elewatorowe już są w budowie w wielu znaczniejszych punktach Cesarstwa.

Prócz powodów wymienionych, istnieje jeszcze jeden, który warto omówić szczegółowo. W prasie urzędowéj i prywatnéj stale pojawia się życzenie uzyskania dla ruskiego zboża wyższéj marki, lepszego notowania ceny zagranicą. Rozumieją, że pobudowanie elewatorów, gromadzących i czyszczących zboże, zaprowadzenie klasyfikacyi, i wreszcie inspekcyi ziarna, położy tamę umyślnemu zanieczyszczaniu zboża w portach przez sprzedajacych, a tém samém wpłynie dodatnio na notowanie ceny.

Tak często powtarzano w ostatnich czasach zwrotkę o nadużyciach eksporterów, że ogół wreszcie mógł uwierzyć, iż żaden transport zboża nie wychodzi z Rosyi bez umyślnego dodatku piasku lub pośladów. Tak źle jednak nie jest, i żeby nie ograniczyć się na gołosłownem zaprzeczeniu, przytoczymy, że handel zbożem w portach, jak i wszelki handel towarowy, odbywa się w dwojaki sposób: albo się kupuje dany towar, a potém sprzedaje, albo się naprzód sprzedaje, a potém kupuje. Otóż w pierwszym wypadku, eksporter jest zainteresowany, by nabywane przezeń zboże, było względzie do płaconéj ceny, najlepsze, a próby posłane zagranicę, wzięte ze sztuki, dokładnie posiadany towar zaprezentowały. Wszelkie mieszanie pośladów do zboża posiadanego przed sprzedażą, nie ma racyi bytu, któż zechce umyślnie obniżać wartość przedmiotu na sprzedaż wystawianego. Dodawanie pośladów po sprzedaży jest czynem złéj wiary nader rzadko praktykowanym w handlu zamorskim, boć przecie odbiorca nabył zboże na podstawie próby i może gorszego ziarna nie przyjąć lub przyjąć ze stosowną bonifikacyą, stanowiącą grubą karę za popełnienie nadużycia.

W drugim przypadku, gdy eksporter sprzedaje towar na dostawę, wcześniéj za nim go kupił, tranzakcya dokonywa się albo na podstawie typu giełdowego (tu znajduje zastosowanie klasyfikacya ziarna) albo na podstawie prób, utworzonych przez pomieszanie kilku gatun-

ków ziarna, np. pszenicy, mogącéj być dostarczoną w największéj ilości do danego portu w danym sezonie. Ponieważ jednak zdarzyć się może, iż przy wykonywaniu umowy na dostawę, nabywane partye są gatunkowo wyższe od typu będącego podstawą umowy, przeto eksporter, dla wyciągnięcia całéj korzyści z danéj tranzakcyi, stara się o poślady, lub o ziarno lichsze, dla stworzenia mieszanki, ściśle zbliżonéj do próbki, podług któréj zawarto umowę.

Gdyby wszystka pszenica, dostarczana np. do Odesy, była doskonale doczyszczona, eksporter spekulujący na zniżkę, nie miałby powodu ofiarowania zboża do Anglii w gatunku gorszym od przeciętnego typu pszenicy odeskiéj. Tymczasem obecnie, zniżkowcy w widokach własnego bezpieczeństwa, muszą posyłać próby niepochlebione, może nawet nieco gorsze od typu przeciętnie do Odesy dostarczanego ziarna.

Znamy wielkie domy handlowe, w Rewlu, Rydze, Odesie, które sprzedają regularnie swoim klientom w Anglii tak pszenicę jak i owies z Cesarstwa tylko w najwyższych gatunkach, po cenach daleko wyższych od średnich notowanych na giełdach. Domy te operują przeważnie na zwyżkę, uprawiają tak zwany handel naturalny, polegający na zakupie danego towaru z pierwszéj ręki producenta, po wsiach, na początku sezonu, na wydawaniu zaliczeń na towary, po cenie, jaka będzie i t. d.

To co się proponuje, za pomocą elewatorów, powołać do życia w Cesarstwie, istnieje od dawna w krajach z wyższą kulturą, nawet w naszym kącie mamy całe powiaty, słynące z znakomitego doczyszczania zboża, a najwyższe ceny w Gdańsku notowane, stosują się do pszenicy pochodzącéj z okolic Włocławka, Kutna, Pniewa. Nie słyszeliśmy, by eksporter gdański, przepłacający wyborową pszenicę w stosunku 200 marek na wagonie (około 14 kopiejek na pudzie) w stosunku do notowań ceny regulacyjnéj za zwykłą średnią pszenicę, mógł mieć interes w dodawaniu do niéj kąkolu lub porosłego ziarna.

Możemy wreszcie nie spierać się z założycielami elewatorów w Rosyi, że magazyny niekoniecznie potrzebują stać się wielkiemi wialniami, by nader ważną odegrać rolę w przechowaniu i handlu zboża. Wypada jednak zaznaczyć, iż handel zbożem w Cesarstwie tém się różni od handlu w Królestwie, że w tych setkach milionów pudów wywożonego zboża, przynajmniéj połowa pochodzi z małych i średnich gospodarstw włościańskich, nie posiadających ani środków na nabycie maszyn oczyszczających, ani możności korzystniejszéj sprzedaży staranniéj oczyszczonego zboża. Większość nabywców, wszelkie zboże włościańskie na jarmarkach z wozów nabywane, zsypuje do jednéj,

najwyżéj do dwóch komór, i dla téj właśnie przyczyny, a także dla nie podnoszenia ceny — nie chce się wdawać w osądzanie, czy zboże niedbale lub starannie czyszczone.

Doprowadzenie téj kategoryi zboża do porządku, usunięcie zeń pyłu, kąkolu, ognichy i t. p. byłoby rzeczywiście jedném z zadań elewatorów w prowincyach środkowych. Najważniejsze funkcye elewatorów polegałyby:

1) na magazynowaniu tanio i bezpiecznie masy zboża, wyczekującego miesiącami kolejki władowania na niektórych stacyach;

2) na uregulowaniu dostawy zboża do portów w ciągu całego trwania sezonu, skutkiem czego uniknęłoby się szkodliwych fluktuacyi ceny, powstających to z nadmiernego, to z niedostatecznego zaofiarowania;

3) na wstrzymaniu gwałtownego napływu zboża do portów zaraz po ukończeniu żniwa;

4) na usunięciu mnóstwa pośredników w zakupie zboża na prowincyi, gdyż proponowane jest ustanowienie przy każdym elewatorze agentur handlowych, działających na rzecz oddających na skład zboże;

5) na usunięciu ryzyka w zakupie, a co zatém idzie podniesieniu ceny saméj, skutkiem czego, różnica w cenie danego gatunku zboża na rynku odbytu i na miejscu wytworu zredukowałaby się do rzeczywistych kosztów transportu z magazynu krajowego, do magazynu zagranicznego;

6) na wytworzeniu kredytu rzeczowego.

Poprzestając tymczasem na wyliczeniu powyższém stron dodatnich, dodamy, że nie wolno się spodziewać, aby pobudowanie choćby 10 elewatorów, objętości chociażby 10 mil. pudów, na ogromnéj płaszczyźnie czarnoziemnéj, między Bugiem a Wołgą, zrewolucyonizować mogło dotychczasowe położenie handlu zbożowego. Pamiętać bowiem należy, iż kiedy my w Warszawie, Łodzi, Lublinie i t. d. nie posiadamy magazynów prywatnych, to w każdém z średnich nawet miast gubernii wielkoruskich, znajduje się mnóstwo takich magazynów. W takim np. Jelcu, magazyny prywatne pomieścić mogą co najmniéj 4,000 ładunków wagonowych zboża. (Największa zawartość publicznych magazynów Pesztu, łącznie z pełnym elewatorem, wynosiła 15 grudnia 1888 r., 6950 ładunków wagonowych). Nadto należy uwzględnić, iż koszta odwózki z prywatnych magazynów, łącznie z kosztem nasypania do worków i wysypania do wagonów, są w miastach gubernii środkowych bardzo małe, wynoszą bowiem ½ do ¾ kopiejki od puda, i dla tego właśnie w guberniach środkowych, elewatory będą miały ciężką do zwalczenia konkurencyę z magazynami prywatnemi, zysk

z tego przedsiębiorstwa, przez długie lata może być nader ograniczony, jeśli nie problematyczny—i dla tego też nie widać usiłowania prywatnego w kierunku budowy elewatorów. Inicyatywa towarzystw kolei żelaznych spotyka także nie małą trudność w zapatrywaniu departamentu, które mieć chce, aby wpływu z eksploatacyi elewatorów, nie dopisywano do dochodów ogólnych kolejowych, lecz aby je dołączano do oddzielnego funduszu, o którego przeznaczeniu nic bliższego nie wiemy.

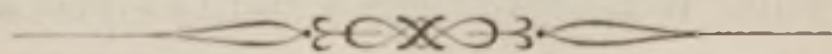
Pierwszy w Cesarstwie magazyn elewatorowy pobudowany został w Jelcu, kosztem tamtejszego ziemstwa, w komitecie eksploatacyi zasiada kilku przedstawicieli okolicznego obywatelstwa, które nie zaniedbuje niczego dla spopularyzowania przedsiębiorstwa i zjednania opinii ogółu dla myśli, iż jedynym środkiem uzyskiwania wyższych cen za zboże, byłoby budowanie elewatorów we wszystkich główniejszych punktach handlowych gubernii środkowych i w portach.

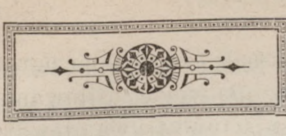
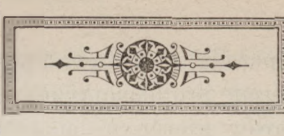
Liczne odezwy w prasie, przedstawienia do zjazdów kolejowych, prośby do p. ministra finansów, podawane przez komitet elewatora jeleckiego, propagują przekonanie, iż jedynie przez powstrzymanie się od gwałtownego zaofiarowania zboża po żniwie, przez staranne oczyszczanie zboża, a daléj przez usunięcie nadużyć w przeciążaniu wagonów po nad normy dozwolone, przez niedopuszczenie okradania transportów w drodze będących, skłoni się zagranicznego nabywcę do bezpośredniego traktowania z agentami magazynów, do poszukiwania zboża, które bywa obecnie zaofiarowywaném; przy czém jednocześnie osiągniętoby możność otrzymania pod korzystnemi warunkami zaliczek na deponowane towary.

W części, wyżéj wspomniane usiłowania odnoszą też skutek, bo intendentura warszawska, nabyła w bieżącym sezonie z elewatora jeleckiego paręset wagonów wyborowego żyta, naprzód po cenie 60 kopiejek za pud (czyli po rs. 5 za 232 f. *loco* Warszawa); ostatnie partye kupiono taniéj.

W miesiącu lutym roku bieżącego, były długie debaty na zjeździe kolejowym, przy udziale reprezentanta ministeryum skarbu nad środkami, jakie ze strony dróg żelaznych stosować należy, by przełamać rutynę handlujących zbożem i zmusić ich do korzystania z usług elewatorów. Zdania były podzielone, lecz odnieśliśmy wrażenie, iż niedalekim jest czas, kiedy skarb państwa zdecyduje się na poniesienie pewnych ofiar dla ugruntowania instytucyi elewatorów na stałych podstawach.

Br. Werner.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Ogólna geografia handlowa“ przez d-ra Franciszka Czernego, zw. profes. geografii uniw. Jagielońskiego. Kraków. Nakładem autora, 1889, str. VII, 519.

Literatura geograficzna polska, tak uboga w ogóle, nie posiadała dotąd ani jednéj książki, tyczącéj się geografii handlowéj. Prof. F. Czerny położył nie małą zasługę wypełnieniem tego braku. W krótkiéj przedmowie objaśnia dlaczego mianowicie szereg prac swoich, poświęconych geografii ogólnéj, rozpoczął „Geografią ogólną handlową.“ Skłoniły go do tego brak zupełny podobnéj książki i praktyczna ważność tego działu geografii, wobec budzącego się u nas ruchu przemysłowego i handlowego. Niesłusznie tylko, przez skromność, sz. profesor zowie swą pracę „dziełkiem,“ a jeszcze mniéj słusznie „zwięzłym podręcznikiem.“ Książka ta objętością i obfitością zawartych w niéj wiadomości jest więcéj, niż dziełkiem, ze względów zaś stylowych i sposobu wykładu nie jest zwięzłym podręcznikiem.

Zanim przejdziemy do poszczegółowych uwag nad pracą prof. Czernego, postawić musimy pytanie: czém jest „Geografia handlowa“ i czego od niéj wymagać mamy? Autor (str. 13) określa trafnie, choć niezbyt jasno to zadanie: „Przedmiotem ogólnéj geografii handlowéj jest ziemia, pojęta jako widownia obiegu wszelkiego rodzaju jéj dóbr i zasobów, stąd téż do zakresu ogólnéj geografii handlowéj należą wszelkie owoce produkcyi surowéj, jak i dzieła przemysłu ludzkiego, sztuki i nauki, i te wszystkie środki, tak naturalne, jak sztuczne, za pomocą których człowiek wprawia swe rozliczne utwory w nieustanny obieg.“

Przymiotnik „handlowa“ wskazuje nam, iż zadaniem téj części geografii jest służyć potrzebom handlu, z określenia więc zadań handlu będzie wypływać i określenie geografii-handlowéj. Handel ma na

celu przeważnie wyrównać popyt i podaż rozmaitych płodów natury i przemysłu, a wyrównanie podaży i popytu odbywa się drogą przewozu towarów z jednego miejsca kuli ziemskiéj na drugie. Geografia handlowa powinna więc wskazać nam miejsca podaży i popytu, i środki komunikacyjne, jakiemi się handel posługuje tak dla towarów, t. j. drogi lądowe i wodne, jak i dla myśli, t. j. poczty i telegrafy.

Prof. Czerny pojął, według nas, geografią handlową za szeroko, wkroczył on bowiem w dziedzinę ekonomii społecznéj, historyi handlu, towaroznawstwa, a nawet fizyki, skoro wyłuszcza nam np. budowę rozmaitych telefonów i ocenia ich zalety (str. 226). Całe dzieło podzielił autor na dwie części: pierwsza zawiéra środki, dźwignie i zapory handlowe, druga opisuje przedmioty handlu. Część pierwszą autor rozpoczyna od obszernego opisu środków porozumiewania się w handlu, opisuje t. zw. handel niemy, mimiczny (przytacza nawet znaczenie niektórych gestów, str. 20), mowę palcami, opisuje szeroko instytucyą tłómaczy, wylicza języki i żargony handlowe; mówi o usiłowaniach Leibniza i Descartesa wytworzenia mowy powszechnéj i kończy historyą volapüku. Wiadomości te, nie pozbawione interesu, mało się nadają do geografii handlowéj, szczególniéj iż zajmują 14 stron książki.

W następnym § zatytułowanym „pieniądz“, autor opisuje najpierwotniejsze postaci handlu, to jest zamienny i rozmaite rodzaje pieniędzy, np. muszle, sól, herbatę cegiełkową, skórki baranie, strzelby, bydło i t. p., może właściwiéj byłoby nazwać te postaci pieniądza towarem obiegowym, gdyż wiele z tych przedmiotów chwilowo tylko zastępuje pieniądz i ostatecznie zostaje zużyte, jako zwykły towar, np. sól, herbata. Cały ten ustęp zawiéra przeważnie materyał, nadający się do historyi handlu lub ekonomii politycznéj, jeszcze bardziéj do dziedziny téj ostatniéj należy określenie waluty, mono- i bimetalizmu, przyczém autor wyłuszcza wszystkie wady i zalety obu systematów (str. 49—55).

Następnie przechodzi on do opisu środków transportu, które dzieli na naturalne i sztuczne. Opisuje instytucyą tragarzy w Afryce, zwierzęta domowe, historyą ich oswojenia, historyą wozu, którą odnosi do czasów mitycznych, przyczém wyraża zdanie, iż wóz dawniejszy jest od sani, których wynalazek datuje od czasu, kiedy zaludnione zostały krainy dalekiéj Północy, t. j. krainy śnieżne. Nam się zdaje, że wynalazek sań poprzedził wynalazek wozu, bardziéj złożonego przyrządu. Do dziś dnia na Maderze wyłącznie używają sań zaprzężonych parą wołów, pomimo że Madera nie jest krainą śnieżną. Mamy tu historyą parowca, lokomotywy i balonu, pomimo iż ten ostat-

ni nie zyskał sobie dotąd w geografii handlowéj prawa obywatelstwa, gdyż ani praktycznego, ani stałego zastosowania nie znalazł.

Ważny dział stanowią środki komunikacyjne (str. 93—231). Autor mówi szeroko o pierwotnych środkach komunikacyjnych lądowych, do których zalicza i rzeki, jako drogi wewnętrzne, a w historyi rozwoju dróg niezmiernie ważne; mówi o pośrednictwach handlowych i ich wpływie na ceny towarów, o powstaniu szlaków karawanowych i karawanserajów i rozpatruje szczegółowo te szlaki we wszystkich częściach świata. Do ulepszenia dróg lądowych zalicza kanały i wymienia najważniejsze w Europie i Ameryce. Podaje historyę i statystykę gościńców w różnych państwach Europy; nie znajdujemy jednak dokładnego określenia tego, co autor rozumié pod nazwą gościńca. Z cyfr przytoczonych dla Europy zachodniéj, zdawałoby się, iż przez to miano autor rozumié drogi bite, w takim jednak wypadku liczby podane, według własnéj oceny autora, dla Rosyi są stanowczo za wielkie (10,000 mil); cyfra ta, po wyłączeniu Finlandyi i Królestwa, jest około 10 razy większa, niż rzeczywista. Rosya późno przystąpiła do budowy dróg bitych, brak kamienia nie małą stanowi tu przeszkodę i zanim rozwinąć mogła sieć dróg bitych, Europa rozpoczęła już okres budowy kolei, za Europą poszła Rosya i dotąd jeszcze wszystkie usiłowania wytęża w tym kierunku. Królestwo daleko lepiéj jest uposażone, gdyż samo jedno liczy około 500 mil drogi bitéj. Daléj autor przechodzi do kolei żelaznych i podaje obszerny wywód i wyjaśnienia dlaczego w państwach gęsto zaludnionych, przemysłowych i handlowych, powstały one najwcześniéj i utworzyły najgęstszą sieć, tudzież dlaczego najprzód połączono kolejami wielkie centry handlowe i przemysłowe; wyjaśnienia te są, zdaje się, zbyteczne. Obszerniéj mówi tylko o kolejach alpejskich i bałkańskich, a także po za-europejskich, i o kolejach projektowanych. Co do państw europejskich, poprzestaje na saméj tylko statystyce. Byłoby jednak wielce pożytecznem wymienienie linii międzynarodowych, jak np. Calais-Brindisi, Paryż-Lille-Kolonia-Berlin, lub Niższy-Nowogród-Moskwa-Warszawa-Wiedeń, — dla stosunków bowiem naszych mają one większe bez porównania znaczenie, niż linia Adelaida-Melburn. Jakkolwiek jest to tylko geografia ogólna, bacząc jednak na stosunki miejscowe i tych dla kogo przedewszystkiém niniejsza książka jest poświęcona, szczególniéj pożytecznem byłoby większe uwzględnienie kolei austryackich, ruskich i wschodnio-niemieckich. Rozdział ten zamyka historya i statystyka tramwajów.

W tenże sam sposób autor traktuje drogi morskie; oprócz części historycznéj, znajdujemy tu dosyć obszerny opis prądów morskich

i wiatrów; dalej kanału Sueskiego i wszystkich projektowanych kanałów morskich. Nakoniec autor kończy oceną wpływu ulepszonych komunikacyi na handel, przemysł i ekonomią narodów.

Po historyi rozwoju poczt, autor wylicza najważniejsze towarzystwa żeglugi morskiéj, jako utrzymujące stosunki pocztowe między rozmaitemi częściami świata i państwami. Dane te nie są dostatecznie pełne, brakuje np. towarzystw ruskich, niektórych pierwszorzędnych angielskich.

Wyliczenie tych linii byłoby daleko odpowiedniéj zamieścić w ustępie poprzedzającym, gdyż towarzystwa te i linie są niemniéj ważne dla komunikacyi osobowéj i towarowéj: wysyłający list lub przesyłkę pocztową nie troszczy się wcale, jakiemi drogami list dojdzie do celu czy to będzie Allan czy Cunard, Messageries maritimes czy Peninsular and Oriental Kompany. Dla téjże przyczyny zajmuje nas tylko statystyka telegrafów, nie zaś kierunek linii, jedynie tylko podmorskie między-kontynentalne liny, lub linie, podobne do Syberyjskiéj, wzbudzają żywszy interes, wskazują bowiem jak oddalone kraje i lądy zostały połączone siecią telegraficzną.

W statystyce telegrafów autor wyszczególnił, ile depesz przypada rocznie na 100 głów mieszkańców tylko dla Europy, szkoda, iż autor nie podał tych cyfr dla innych części świata, szczególniéj dla kolonii australskich i Nowéj Zelandyi, gdyż z tych cyfr pokazuje się, iż najwięcéj posiłkują się telegrafem młode społeczeństwa téj części świata. Znajdujemy téż tu opis przyrządu telegraficznego, telefonu Bella, Reisa i Siemensa, który właściwie należy do fizyki.

Cały ustęp „jarmarki, targi i handel obnośny“, o ile nie zawiéra wyliczenia ważniejszych jarmarków świata, nadaje się do historyi handlu.

W ostatnim rozdziale téj części, rozpatruje autor dźwignie i zapory handlu, jako to: kolonie, konsulaty, izby handlowe, szkoły i towarzystwa geograficzno-handlowe.

Najobszerniéj, jak na to zasługują, zajmuje się koloniami, które dzieli na zdobywcze, handlowe, rolnicze, plantacyjne; pomiędzy temi ostatniemi wyróżnia typ: „kolonii kształcących czyli kultywacyjnych, w których by krajowiec wolny lub sprowadzony z gorących krajów kolonista pracował pod kierunkiem i z pomocą kapitalistów europejskich zarówno w poczuciu swego własnego interesu jak i powodowany wdzięcznością (!?) dla swych mentorów i chlebodawców“ (str. 261). Jako typ kolonii przytacza Indye holenderskie. Do kolonii handlowych zalicza téż autor stacye morskie np. Aden, Perim, Singapur, nie wszystkie one jednak mogą być zaliczone do kolonii handlowych, czę-

sto są to punkty strategiczne, panujące nad drogami (Perim) i tylko pośrednio wpływają na rozwój handlu przez opiekę, jaką udzielają statkom i zapasy węgla, jakie mieszczą. Rzecz o koloniach kończy autor rozbiorem bodźców, pod wpływem których, powstają kolonie i wyliczeniem kolonii wszystkich państw europejskich. Do dźwigni handlu zalicza autor przepowiednie pogody (którym poświęca 12 stron); jest to, jak zaznaczono w przypisku, skrócenie artykułu zamieszczonego w „Niwie".

Mianem zapór handlowych nazwane są wszystkie czynniki i stosunki częścią fizycznéj, częścią politycznéj natury, które handlowi zagradzają niejako drogę w jego swobodném rozgałęzianiu się po ziemi; tu należą pustynie, rafy, korsarstwo, choroby, wojny, przesilenia handlowe i t. p.

Część drugą, obejmującą 200 stron, poświęca autor opisaniu przedmiotów handlu. Poszczególne opisy zawiérają krótkie towaroznawstwo, wyliczenie krajów gdzie się te i owe towary znajdują i dane statystyczne, a często i historyczne. Część ta zawiéra obfity materyał naukowy. Możemy tylko zarzucić, iż rzadko wymienia pojedyńcze rynki, chociaż te mają wszechświatowe znaczenie w handlu danym przedmiotem, a poprzestaje tylko na wymienieniu państwa. Mało téż uwzględnia przetwory fabryczne. Mówiąc np. o bawełnie wymienia miejsca jéj produkcyi i rozmiary ruchu handlowego, nie wymienia jednak takich centrów fabrycznych, jak Manchester, Ruen, Reichenbach i t. p.; lub mówiąc o dyamentach, nie wymienia tak wielkiego targowiska jak Amsterdam, w którym również znajdują się najpierwsze w świecie szlifiernie dyamentów. Prawdopodobnie autor przeznaczył te wiadomości do geografii poszczegółowéj.

Główną wadą książki jest jéj obszerność, częścią wynikająca z wprowadzenia, jak widzieliśmy, ustępów nie należących ściśle do geografii handlowéj, częścią z przyczyn stylowych. Zdaniem naszém, możnaby ją z wielkim pożytkiem dla uczących się zmniejszyć prawie o połowę. Pisząc swoją geografią, prof. Czerny miał zapewne na względzie młodzież uczącą się, a nadewszystko własnych słuchaczy. Otóż młodzież ta zdobyła już sobie spory zasób wiadomości, które szanowny autor wprowadził do swego „dziełka". Można byłoby opuścić wszystko, co się tyczy np. ekonomii politycznéj, co nietylko znacznie wpłynęłoby na skrócenie, ale i ułatwiłoby czytanie, gdyż te właśnie ustępy odznaczają się szczególniéj ciężkim stylem. Uczący się posiadają téż wiadomości z fizyki i nauk przyrodniczych, a w części historycznéj możnaby opuścić epokę przedhistoryczną. W téj części spotykamy zdanie, iż człowiek z metalów

najdawniéj poznał żelazo, które zdaniem autora łatwiéj było poznać, i którego obrabianie wymagało mniéj znawstwa i mniéj przedstawiało trudności technicznych, niż sporządzenie aliażu miedzi z cyną t. j. bronzu. Nie jest to jeszcze udowodnione stanowczo. Autor dziwnie jest troskliwy o czytelnika, chce mu wszystko przypomnieć, np. na str. 135 powiada: „znaleziono ich (dróg) ślady w okolicy odgrzebanego z pod popiołów Wezuwiusza miasta Pompei“. Tu dowiadujemy się, że Pompeja była miastem, że została zagrzebaną przez popioły, że te popioły wyrzucił Wezuwiusz, nakoniec, że z pod tych popiołów została odgrzebaną. Mówiąc o Suezie, autor obszernie rozwodzi się, dla czego ze wszystkich przesmyków oddano Suezowi pierwszeństwo, następnie nietylko podaje, iż twórcą jego był Lesseps, ale przytacza datę jego urodzenia, wylicza wszystkie urzędy, jakie piastował, poucza nawet, że Lesseps opracowywał swój projekt „w zaciszu swego majątku w Berry“. Brak tylko wiadomości o 13-tu dzieciach wielkiego Francuza.

Pozostaje nam wspomnieć jeszcze o stylu książki, jest on, szczególniéj w pierwszéj części ciężki, rozwlekły i nie dość jasny, co czyni czytanie bardzo uciążliwém. Naprzykład na str. 111: „Zasadniczéj zaś przyczyny tego jéj opóźnienia się należy szukać w tém, że w jéj barbarzyńskiém wnętrzu nie zdołało się nigdy wytworzyć jakieś lepiéj zorganizowane i zagospodarowane państwo, któreby jako takie szukało na zewnątrz zawiązania stosunków handlowych, że owszém ogniska wyższéj kultury leżały w Afryce zawsze odśrodkowo, mianowicie na jéj północy, i że przeto potrzeba było dopiéro inicyatywy i usiłowań ze strony ostatnich, ażeby wogóle mogły pierwsze zwrócić się ku środkowi Afryki i wydłużyć arterye komunikacyi“.

Autor lubi używać strony biernéj, na czém styl wcale nie wygrywa; np. „widzi wskutek tego swój byt zagrożonym“.

Nakoniec spotykamy tu wyrazy jak h e r m e l i n y zam. gronostaje, ten problem, Fińczycy, kwadrant południka, kalkspat, najhandlowniejszy, golf adeński i meksykański, żeglużny, terytoryum indiańskie, jezioro superior (w innéém miejscu jez. górne), koléj pacyficzna, igła magnetyczna, strefa Kalm, kapłan buddystyczny, skonstruowany, Nowa Fundlandya (przecież nie ma innéj Fundlandyi, a *New* —stosuje się do *Found* — i znaczy nowo odkryta ziemia), roztwarcie żeglugi, w Kaukazie (mówiąc o kraju), jeżeli rozchodzi się o podróż (str. 165), wanijela zam. wanilia i t. p. Dla niektórych nazw cudzoziemskich ma autor za wiele poszanowania, np. „Kanał du centre“, lub „Kanał de Burgogne“, innym znowu przywraca dawno nie używane słowiańskie nazwy, np. Saloniki zowie Solunią, wilajet jednak nazywa Salo-

nickim. Nie wiadomo dla czego dopływ Niemna, Szczarę, nazywa Szara.

Do zalet zaliczyć wypada, iż tylko nieliczne i to drobne usterki można wynaleść w faktycznéj stronie książki. Co do danych statystycznych, autor, jak sam o tém wspomina, nie posiadał źródeł z pierwszéj ręki, korzystał on jednak z najpoważniejszych autorów, jak to widać z licznych cytat i odsyłaczy. Pozwala to czytającemu obeznać z literaturą przedmiotu. Zdaniem naszém, książka ta szczególny pożytek przynieść może tym, którzy nie odbyli prawidłowych studyów w wyższym zakładzie specyalnym, a rzuceni losem na drogi przemysłu i handlu, chcieliby jednak rozszerzyć wiedzę i wzbogacić umysł wiadomościami, mającemi związek z ich zawodem; dla nich, zgadzamy się zupełnie z prof. Czernym, książka ta jest czémś więcéj niż prostém wyzyskaniem skromnéj wiązanki dotychczasowych tego przedmiotu opracowań. Tytuł geografia ogólna każe nam się spodziéwać geografii szczegółowéj, która dopełni braki i pozwoli nam jaśniéj zrozumiéć zapatrywania autora na całość przedmiotu.

Witold Wróblewski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Walerya Solecka.* **Nowele** (Lwów, 1890). Nowelki Waleryi Soleckiéj, wydane po śmierci młodéj autorki, znała już publiczność z pism peryodycznych, gdzie poprzednio umieszczane były. Na każdéj prawie karcie zbiorku przebija się talent istotny, fantazya bujna, serce gorące, skłonne do uniesień i jakaś melancholia dziwna a tęskna, wynikająca prawdopodobnie z rusińskiego pochodzenia autorki. W niektórych nowelkach znać jeszcze nie zupełne opanowanie formy powieściowéj, bo opowieść plącze się i załamuje, prowadzona kolejno przez autorkę, bohatera lub bohaterkę, jak to np. jest w pierwszéj powiastce p. t. „On i ona“. Grzeszą one również pewnym zbytkiem romantyzmu, mimo tego jednak, jakżeż miłe wrażenie pozostawiają swą prostotą i pewnym polotem poetycznym. W pierwszéj powiastce „On i ona“, bohaterem jest ogromny i niezgrabny ułan, który tak się bez pamięci zapatruje w pięknéj dziewczynie, przebranéj za boginię kwiatów, że przez nieuwagę rozdziéra szablą jéj suknię, skutkiem czego „bogini“— zmuszona jest bal opuścić. Przy pożegnaniu spogląda więc z wyrzutem na sprawcę tego wypadku, gdy jednak oczy ich spotkały się, ona dostrzega we wzroku jego tyle uwielbienia i miłości, że i jéj serduszko topniéć zaczyna, oddaje się zupełnie niezgrabnemu ułanowi. Potém

opowiada nam już daléj, jak sobie śliczną dzieweczkę zdobył i do maleńkiéj swéj podgórskiéj wioseczki zawiózł. Tu znowu odbiéra mu słowo młodziutka żona, rozpowiadając o swém zawstydzeniu, gdy pierwszego ranka, on — łóżeczko jéj kwiatami obsypał. Kończy się powiastka obrazkiem, w którym autorka ukazuje nam sympatyczną parę, po latach dziesięciu, równie zakochaną i zadowoloną z siebie.

„Amor“ — w którym autorka opowiada dzieje marmurowego posążka, tego bóstwa miłości, zdobiącego kolejno półki antykwarni, toaletę aktorki, a wreszcie biurko starego uczonego doktora, jest raczéj szeregiem szkiców, niż powieściową całością, pojedyńcze te jednak sylwetki, kreślone są śmiało, i z pewną znajomością ludzi, o których mówi.

Mniéj udatnemi są powiastki p. t. „Jéj dziecko“ i „Horodyszcze“. „Moje piérwsze zamówienie“, tryska humorem i wesołą artystyczną fantazyą, czém się odróżnia ta powiastka od reszty utworów, w których smutny ton wszędzie prawie przeważa.

Najpiękniejszą, prawie że skończoną pomysłem i obrobieniem, jest „Kraseńka“. Siła i zdrowie, bogactwo życia, uczucia i tkliwości, bije z téj sympatycznéj postaci chłopki ruskiéj Motryny. Wszyscy w chacie odczuwają tę jéj dobroć i energię. Stary dziaduś, dzieci, a nawet pieszczona krówka „Kraseńka“ — garną się pod jéj opiekę. Z jéj wejściem na podwórko, wszystko się uspakaja, uśmiecha, szczęściem napełnia. Z istotną prawdą, odmalowała autorka to silne, niewyrozumowane i nie wytłómaczone prawie poświęcenie, jakie Motryna okazuje dla swojego chłopa, choć ten pije, do ostatniéj nędzy ją i dzieci doprowadza, a razami i sińcami okłada jéj piękne ciało.

Razu pewnego powrócił do chaty nieprzytomny, chwiejący się na nogach, z złym błyskiem w oczach. Dzieci odpędził, od żony zaś wódki zażądał, a gdy mu odmówiła, chwycił ją za bujną kosę i nuż bić a kopać... Razy te zniosła biedaczka spokojnie, choć zdrowa i silna, i broniłaby się mogła. On chłop—to mu wolno—alboż to zresztą pierwszy raz... Ale gdy następnie poszedł do stajenki i „Kraseńkę“ z postronka odwiązywać zaczął, by tę jedyną żywicielkę rodziny na sprzedaż do żyda zaprowadzić, wściekłość ją ogarnęła. Nieprzytomna z rozpaczy i żalu porwała kół z płota — zamierzyła się, uderzyła — i po chwili ujrzała swego chłopa we krwi broczącego.

Tyle w tém opowiadaniu prostoty, a mimo tego, a może właśnie z téj racyi, tak tragiczném jest ono.

„Kraseńka“ — nie jest już powieściową próbką, zapowiadającą zdolności, ale utworem, aż do szczegółów wykończonym, budzącym

prawdziwy żal, gdy się pomyśli, że był on łabędzim śpiewem, tyle obiecującego talentu. *Karol J. Nitman.*

= *Antoni Sęk.* **Nowele** (Warsz. 1890). Druga serya nowelek Sęka ma te same wady, co pierwsza, obok tych samych wysokich nieraz zalet, nigdzie zaś nie dostrzegamy, by te utwory nowe, były jakimś nowym krokiem naprzód na literackiéj jego ścieżce.

Autor posiada np. duży dar obserwacyi i wielką bystrość, pozwalającą mu różne życia objawy chwytać, że się tak wyrazimy, na gorącym uczynku, ale cóż kiedy dotychczas nie sięgnął głębiéj, aż do tajników natury ludzkiéj, poprzestając tylko na podpatrywaniu zewnętrznych jéj stron. Stąd nierzadko jest i powierzchownym, a braków tych nie równoważy wrodzony mu dowcip. Jakoż postaci swoje maluje on ogólnemi i nieco szablonowemi rysami. Szlachcic w jego powiastkach jest zawsze krzykliwym i rubasznym, matki są słodkie i łagodne, młodzieńcy poprawni, panienki wszystkie bez wyjątku ładne, miłe i niewinne. Korzystnie wśród nich wyróżnia się postać — „Kuzynki Zosi“ — panienki trochę emancypowanéj, wykształconéj, któréj przyjazd sprowadza rewolucyę w cichym, szlacheckim dworku, gdzie o książkach, muzyce, i wogóle o rozrywkach umysłowych nie pomyślano nigdy dotychczas. Dobrze oddana jest postać młodego praktykanta hreczkosieja, który pod wpływem pięknych oczu inteligentnéj dziewczyny, zaczyna się również garnąć do książki. Jestto bardzo wdzięczny szkic do powieści, ale autor nie miał chęci czy czasu wyzyskać go odpowiednio, powiastka więc kończy się w chwili, gdy węzeł intrygi zostaje zadzierzgnięty, a czytelnik doznaje zawodu.

Śliczną drobnostką, subtelnemi narysowaną rysami, jest nowelka pod tytułem „Staruszkowie“. Akcya cała trzymana w półtonach, półsłówkach, rozwija się tu bardzo wdzięcznie. „Malcy“ stanowią wybornie uchwycony epizod z życia dzieci, z całą ich prostotą i rozkosznie-nieprawidłowém gwarzeniem. „Deresze“ wkraczają w dziedzinę opowieści szlacheckich. Typy tam przedstawione uchwycone są dobrze, choć powierzchownie, całość zaś przeprowadzona jest bardzo zręcznie i wystawia w komiczném świetle wiejskie politykowanie. Do bardzo udatnych należą: „Panna Genia“, „Aktorska para“, „Czysta miłość“, wszystkie trzy wzięte z życia zakulisowego, które autor zna widocznie bardzo dobrze. Są to sylwetki, szkicowane ręką pewną i śmiałą, nie brak im dowcipu i trafnéj obserwacyi, zwłaszcza zaś ostatnia jest niezmiernie zręczna.

Ostateczny wniosek, jaki z tych powiastek wyprowadzić możemy, jest, że musimy autorowi przyznać niezaprzeczony talent noweli-

styczny, obok bowiem powyżéj podniesionych zalet, t. j. bystrości i dowcipu, dostrzegamy u niego niekiedy i spory zasób uczucia. Forma jego utworów jest niezmiernie łatwa, zręczna i zaokrąglona, dyalog zajmujący i żywy, co wszystko razem składa się na całość nieośledniych zalet i pozwala mu rokować piękną przyszłość, jeżeli tylko zechce opracowywać staranniéj swoje utwory i wnikać głębiéj w charaktery swych bohaterów, jedném słowem, jeżeli prace jego przestaną nosić tę cechę pośpiesznéj, doraźnéj roboty, która żadnemu z jego pomysłów nie pozwala odpowiednio się rozwinąć i przekroczyć granicę małych obrazków rodzajowych. *Karol J. Nitman.*

= *Kazimierz Gliński.* **Czarodziéjka**, romans (Warsz., nakład „Biblioteki romansów i powieści“, 1890, str. 333). Utwór ten drukowany był pierwotnie w „Ateneum“ i dawniejsi czytelnicy nasi znają go i pamiętają niewątpliwie. Żywość opowiadania, bogata fantazya, poetyczność opisów przyrody, uczucie gorące a szlachetne, znajomość stron i ludzi przedstawianych, są dodatniemi powieści téj przymiotami. Zaciekawia ona i utrzymuje uwagę czytelnika do końca. Autor jest poetą i umié nieraz głęboko zajrzéć w duszę ludzką.

= *J. I. Kraszewski.* **Wybór pism.** Oddział VI: **Nowele, obrazki i fantazye** porządkiem chronologicznym ułożone i wstępem krytycznym poprzedzone przez *Piotra Chmielowskiego* (Warsz. Nakład S. Lewentala, 1890, str. XIX, 669). Mieści się tu 60 krótszych i dłuższych szkiców, pisanych przez niewyczerpanego mistrza powieści od r. 1830 aż do 1886; rozpoczyna je napół dziecinnie jeszcze opowiedziana „Biografia Sokalskiego organisty“ a kończy prześliczny poemat żałobny, prozą skreślony p. n. „W oknie“. Kto się uważniéj w tym zbiorze rozpatrzy, będzie mógł wyrobić sobie wcale dokładne pojęcie o kolejnych zmianach, jakie w tym długim przeciągu czasu zachodziły w metodzie artystycznéj Kraszewskiego. Pierwsza doba twórczości najobficiéj tu została uwzględniona, ażeby dać poznać różnostronność kształcenia się młodego talentu, dalsze wskazane przez wybór najcharakterystyczniejszych tylko drobnych utworów, ostatnia wreszcie, w któréj mieszkając zagranicą, nie mógł się już zasilać nowemi spostrzeżeniami na gruncie swojskim, i w któréj eklektycznie dawniejsze sposoby tworzenia wznawiał, udoskonalając je wszakże, jest znowuż obficiéj reprezentowana. Ponieważ znaczna część wydrukowanych w tym zbiorze opowieści wydobyta została z pism peryodycznych, dziś już z handlu księgarskiego wycofanych, mogą one miéć dla dzisiejszych czytelników, lubujących się w nowelach, cały urok nowości.

— *Henryk Heine.* Wybór pism. I. **Poezye** (Warszawa, nakład Spółki Nakładowéj, 1890, str. 298). Przeważna część zawartych w tym tomie przekładów wyszła z pod pióra p. Aleksandra Kraushara. Gdy się one w 1881 po raz pierwszy z druku ukazały, „Ateneum“ pomieściło szczegółową ich recenzyę. Nie powtarzając się tutaj, dodać trzeba, że tłómacz wiele usterek, wytkniętych w owéj recenzyi, obecnie usunął. Inne przekłady należą do p. Maryi Konopnickiéj, Józefa Kościelskiego, Mirona. Wydanie jest staranne i eleganckie. Tom drugi Wyboru pism Heinego, zawierający Wrażenia z podróży w przekładzie p. Maryana Gawalewicza i p. Maryi Konopnickiéj, jest już pod prasą.

— *Lucyan z Samosaty.* **Rybak czyli Zmartwychwstali filozofowie,** z oryginału przełożył *Emil Weidel* (Warszawa, nakład tłómacza, 1890, str. 50). Rzadkie to wśród dzisiejszych naszych stosunków zjawisko przekładu z języków klasycznych; tém więc ochotniéj przyjmować je winniśmy. Jeżeli który z dawnych greckich pisarzy, to niewątpliwie Lucyan, zwany Wolterem II stulecia, może znaleść dziś jeszcze czytelników smakujących w jego satyrze, ironii i dowcipie. Był on u nas dobrze znany w wieku XVIII, kiedy to Krasicki, pokrewny mu umysłem, przyswajał nam „Rozmowy zmarłych“ i inne jego utwory. Pomiędzy niemi znajduje się także cięta satyra na szkoły filozoficzne greckie p. n. „Filozofy na przedaż“. Przetłómaczony obecnie przez p. Weidla „Rybak“ jest właśnie odpowiedzią Lucyana wywołaną krzykiem oburzenia dotkniętych przedstawicieli filozofii we wspomnianéj satyrze. Autor w zręczny i dowcipny sposób wprowadzając na scenę twórców szkół filozoficznych, uosobioną filozofią i siebie wykazuje, że szydząc, miał na widoku znikczemniałych reprezentantów „Królowéj nauk“ za swoich czasów, że zatém stawał w obronie filozofii prawdziwéj. Przekład pod względem językowym i stylowym jest staranny; gdzieniegdzie tylko trafi się usterk, jak np. użycie 4-go przypadku po słowach czynnych z przeczeniem („ażeby się nie ważyli lekceważyć Filozofię“ str. 20).

— **Medea,** tragedya Eurypidesa, przekład *Józefa Łabuńskiego* (Warsz. nadbitka z „Życia“, 2 arkusze). Po całkowitym przekładzie tragedyi Eurypidesa dokonanym przez Zygmunta Węclewskiego a wydanym w r. 1881 (o którym „Ateneum“ w 1883 podało szczegółową recenzyą), pierwsza nowa u nas próba tłómaczenia tego dramaturga. Kto wié, ile brak poczucia poetyckiego w Węclewskim ujął piękności sumiennéj jego pracy, ten nie zdziwi się podjęciu téj próby i podzieli z nami życzenie, żebyśmy się mogli doczekać prawdziwie estetycznego

przekładu Eurypidesa, jak posiadamy już taki przekład Sofoklesa dzięki talentowi i wytrwałości p. Kaszewskiego. Czy p. Łabuński podoła temu zadaniu? Sam jest dramaturgiem i język poetycki nie wykwintny, lecz jasny przyswoił sobie; wierszem miarowym włada biegle i dość poprawnie (naturalnie z temi swobodami, jakich u nas zazwyczaj pozwalają sobie autorzy używający jambu); pragnąćby tylko należało, ażeby większą zwracał uwagę na poprawność języka, bo np. w „Medei“ spotykają się błędy przykre („Aby *wymówek waszych* nie zasłużyć“).

— *Sybel.* **Założenie państwa niemieckiego przez Wilhelma I.** (Die Begründung des deutschen Reichs durch Wilhelm I. Vornemlich nach den preussischen Staatsacten. 1889. Monachium i Lipsk. Tomów II). Dzieło powyższe, zapowiadane i podawane w wyciągach przez monachijską „Allgemeine Zeitung“, ukazało się nareszcie w druku, lecz nie w całości. Dwa tomy bowiem, opublikowane przez Sybel'a doprowadzają opowieść historyczną zaledwie do 1864 r., a we wstępie dowiadujemy się, że w ciągu roku 1890 ukaże się tom trzeci, lecz bynajmniéj nie ostatni; czyli że dopiéro za lat dwa lub trzy, praca, tak rozgłośna i oczekiwana w Niemczech, zostanie ukończona. Prusy posiadają po śmierci Rankego, dwóch historyków rozgłośniejszego imienia i urzędowego charakteru, a mianowicie: Treitschkego i Sybel'a. Pierwszy z nich otrzymał już uznanie cesarza Wilhelma II, za swą Historyę Niemiec, napisaną z wysokiém publicystyczném uzdolnieniem, lecz i z tendencyjném ubarwieniem, przedstawiającém działalność historyczną Hohenzollernów, jako zawsze i we wszystkiém niedościgłą. Drugi znany był z kilkotomowéj, cennéj pracy p. t. *Europa während der französischen Revolution*, w któréj nawet stosunki polskie z końca XVIII wieku spokojnie, przedmiotowo i sprawiedliwie przedstawił.

Dzieło wszakże o założeniu państwa niemieckiego, omawiało wypadki zbyt świeże i oceniało czyny żyjących potentatów, a więc nosiło charakter odmienny od pracy, traktującéj o XVIII wieku. Nadto autorowi pozwolono korzystać z archiwów państwowych, nie po to, aby zaciemniał świetne karty nowoczesnéj historyi Niemiec. Otwierając mu też tak wspaniałe źródło dziejowe, kanclerz Niemiec wiedział dobrze co czyni, i rzeczywiście dzieło Sybel'a może być uważane za dalszy ciąg historyi Treitschkego, nie doprowadzonéj do 1830 roku.

Sybel pisząc traktat o założeniu państwa niemieckiego przez Wilhelma I, nie powstrzymał się od rzutu oka w przeszłość. Uczynił to przynajmniéj w skróconym zarysie i dopiéro od 1815 r. zaczynają się dzieje Niemiec toczyć w pełniejszych obrazach. Jakkolwiek urzędowy

charakter czynił Sybel'a podobnym do Treitschkego, jednak zachodzą pomiędzy niemi drobne różnice, które Sybel'a czynią sympatyczniejszym oraz cenniejszym historykiem. Przedewszystkiém nie znajdujemy tak namiętnego tonu, uwielbiającego wszystko co pruskie, a maltretującego wszystko co obce, lub nawet niemieckie. Również nie spotykamy wyrażeń jaskrawych, używanych wyłącznie prawie w publicystycznych pracach. Ton pracy Sybel'a jest poważny, a język wyrazisty i piękny. Sybel ośmiela się nawet zauważyć niekiedy rzeczy, któreby Treitschke przeistoczył do niepoznania. Tak np. ojca Fryderyka II nazywa gburowatym chłopem, dochodzącym niekiedy do szaleństwa, a o wojennych przyzwyczajeniach Fryderyka Wilhelma IV odzywa się w żartobliwym tonie, powtarzając ocenę jakiegoś pułkownika kawaleryi, który zauważył, że monarcha ten, jak na żołnierza, ma za mało muskułów, a za dużo nerwów.

Stosunki w Poznańskiém, w Galicyi i w Królestwie Polskiém, które Sybel w swéj pracy opisuje, pozostawiają, pod względem znajomości faktów i sprawiedliwéj oceny, dużo do życzenia. Na pochwałę powyższych ustępów można tylko chyba to powiedzieć: że prawdopodobnie Treitschke byłby w rzeczonych opisach jeszcze gwałtowniejszym i niesprawiedliwszym. Opisując dobę 1861—63 roku w Królestwie Polskiém, Sybel skreślił tylko z pewną, ale to tylko z pewną znajomością rzeczy, postać margrabiego Wielopolskiego; tymczasem niewiadomo: czy z archiwów pruskich, czy z broszur niemieckich współczesnych, czy wreszcie z posłuchów lub własnéj inwencyi, wyciągnął na jaw fakta, o których nietylko że my nic nie wiemy, ale o których nie byli w stanie dowiedzieć się historycy ruscy, którzy wyborne źródło mieli pod ręką i o téj dobie dziejowéj pozostawili dokładne prace.

W ogóle jednak praca Sybel'a, założeniu państwa niemieckiego poświęcona, należy do poważnych publikacyi, z których się dużo interesujących faktów odnośnie do nowożytnych dziejów Europy dowiedzieć można. *A. R.*

— *Stanisław Libicki.* **O wydawaniu praw i ustrój instytucyj prawodawczych rossyjskich.** Warszawa, 1890, 8-vo, str. 224. „Nikt nieznajomością prawa tłomaczyć się nie może“ — tak brzmi przepis bezwzględny, — lubo dotąd nie wszyscy jeszcze czytać umieją, lubo mnóstwa rozmaitych rozporządzeń prawnych najbardziéj lokalna pamięć objąć nie zdoła, lubo wreszcie nie łatwo jest częstokroć ocenić czy przepis pewien zachowuje moc obowiązującą wogóle, czy téż już ją utracił, albo czy obowiązuje on w całém państwie, czy przeciwnie, do pewnych jego prowincyi nie stosuje się zgoła. Wątpliwości tego

rodzaju, mające częstokroć wielką doniosłość praktyczną, natrafiają się nietylko osobom prywatnym, ale i fachowym prawnikom i urzędnikom, których obowiązkiem jest stosowanie istniejących ustaw. Praca p. Libickiego przyczynić się może do wyjaśnienia tych kwestyi i bodajby na ujednostajnienie ich rozwiązywania wpłynąć zdołała. W pierwszéj części dzieła autor poucza nas: o kodyfikacyi i prawach zasadniczych, o stanowieniu i ogłaszaniu praw, o ustaleniu daty publikacyi praw, o mocy prawa wstecznéj. Część druga przedstawia ustrój instytucyi prawodawczych, mianowicie: rady państwa, komitetu ministrów, rady ministrów, senatu i jego departamentów, oraz zgromadzenia ogólnego i wydziałów specyalnych. Książka napisana ze znajomością rzeczy, z myślą głębszą, językiem poprawnym, przynosi istotny pożytek. I przeczytać ją z zajęciem i szukać w niéj porady w razach wątpliwych można.

— **Spadek po metropolicie suczawskim Doziteuszu i jego losy**, przez *Maryana Sokołowskiego*. Kraków, 1889, 8-vo, str. 68. Autor, którego prace, dotyczące dziejów naszéj sztuki i kultury, nieraz już w „Ateneum“ ocenialiśmy, skrzętnie zgromadził tu mniéj znane szczegóły o naszych stosunkach z Mołdawią w końcu XVII-go wieku i z właściwym sobie talentem umiejętnie je oświetlił. Metropolita Doziteusz po bitwie Chocimskiéj r. 1673, chroniąc się przed zemstą stronnictwa tureckiego, zamieszkał przez czas pewien w granicach Rzpltéj. Następnie wrócił do Mołdawii, ale po wyprawie r. 1686 musiał powtórnie szukać ocalenia w Polsce, gdzie, jak to autor dowodnie wykazuje, dokonał życia w r. 1693-im. Kosztowne sprzęty i szaty kościelne, oraz relikwie, które metropolita przywiózł ze sobą, a które w Żółkwi i we Lwowie dotychczas się w części dochowały, są przedmiotem szczegółowego studyum, opartego na autopsyi i na dawnych inwentarzach. Przy objaśnieniu (na str. 37) wyrazu „kiot“ prof. Sokołowski wypowiada mniemanie, że „w tym wypadku prawdopodobnie (znaczy to) puszkę do olejów ś-tych albo ciborium“; ponieważ inwentarz wymienia dwa kioty, wolelibyśmy objaśnienie autora zastosować chyba tylko do kiotu „mniejszego“; „większy“ zaś mógł być obrazem szafiastym.

— **Akta grodzkie i ziemskie** z czasów rzeczypospolitéj polskiéj z Archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie, wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem galicyjskiego wydziału krajowego. Tom XIV. Lwów, 1889, 4-to, str. XVII i 655. Po aktach sanockich, halickich i przemyskich, profesor Xawery Liske wydał w tomie niniejszym akta lwowskie od r. 1440 do 1456. Akta grodzkie z tego czasu dostarczyły 3,492 zapisek, resztę zajmują akta

ziemskie, których tylko dochowały się nie wielkie szczątki. W przedmowie uczony wydawca zwraca uwagę czytelnika na ciekawsze zapiski, w tym foliancie zawarte i informuje o zamierzonym planie dalszego wydawnictwa. Trzy skorowidze: 1) nazw osób i miejscowości, 2) indeks rzeczowy i 3) indeks wyrazów polskich, uzupełniają tę wzorowo wydaną księgę.

— Nieszczególném to jest z wielu względów świadectwem dla naszego społeczeństwa, że czasopisma specyalnie ekonomiczne tak słabe znajdują u publiczności czytającéj poparcie. „Ekonomista,“ wydawany w Warszawie, właśnie dla braku takiego poparcia, przestał wychodzić. Dobrze się więc złożyło, że w roku bieżącym poczęto we Lwowie wydawać pismo miesięczne p. t. „**Ekonomista polski**“, które debit u nas pozyskało. „Ekonomista“ wychodzi wraz z dodatkiem tygodniowym p. t. „Tygodnik ekonomiczny.“ Przedpłata łączna obu tych czasopism wynosi rocznie rs. 18, przedpłata zaś bez dodatku tygodniowego rs. 15. Komitet redakcyjny stanowią: dr. Witold Lewicki, Teofil Merunowicz, Tadeusz Romanowicz, dr. Tadeusz Rutowski, Stanisław Szczepanowski i Franciszek Zima. Ostatni, jaki mieliśmy w ręku, zeszyt 3-ci „Ekonomisty“ zawiera szereg artykułów, które i dla specyalistów i dla szerszych kół czytelników przedstawiają nie mały interes. P. Tad. Romanowicz opisał przebieg historyczny sprawy indemnizacyjnéj w Galicyi, sprawy, tylko co roztrząsanéj w parlamencie wiedeńskim, gdzie tyle krwi centralistom niemieckim napsuła. P. Witold Załęski skreślił obraz spółczesnego położenia robotników fabrycznych w Królestwie Polskiém. Potrzebę utworzenia dla Galicyi stałego funduszu na popieranie rozwoju kultury krajowéj — wykazał w krótkim artykule p. T. Merunowicz. Dr. Henryk Sawczyński na podstawie materyałów zebranych przez władze krajowe, streszcza objawy nieurodzaju w Galicyi w r. 1889, a ubytek koni i bydła cyfrowo wykazuje dodana tablica. Kwestyę parcelacyi w tymże kraju, uważanéj jako objaw społeczny, rozebrał obszerniéj p. W. Lewicki. Dwa ostatnie artykuły: o regulacyi potoków górskich i w sprawie przemysłu naftowego, wyszły z pod pióra: pierwszy p. Bron. Lipińskiego, drugi p. L. Syroczyńskiego. Wreszcie, korespondencye i przegląd literacki zamykają ten zeszyt.

— **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydawany pod redakcyą *Bronisł. Chlebowskiego*. Warsz., 1890, zeszyt 121, wielkie 8-vo, str. 80. Zgon Władysława Walewskiego, spółredaktora i nakładcy tego poważnego i kosztownego wydawnictwa, wywołał w pierwszéj chwili obawę o przyszłe losy „Słownika.“ Ukazanie się niniejszego 121 zeszytu, który rozpoczyna tom

XI-ty, usuwa tém samém wszelkie wątpliwości i pozwala rokować, że „Słownik geograficzny“ doprowadzony zostanie do końca. Zeszyt 121 zawiera między innemi, artykuły: Sochaczew, Sochocin, Sokolniki, Sokółka, Sokołów, Sól, Solec, Sołonka, Sołotwina, Sopot. Następny zeszyt wyjdzie w połowie czerwca.

— Biblioteka filozoficzna, wydawana pod redakcyą prof. Henryka Struvego, powiększyła się o jeden tom. Po Platonie, Kartezyuszu, Spinozie, Kondyllaku, otrzymujemy teraz *Jerzego Berkeleya* **Rzecz o zasadach poznania**, przełożoną z angielskiego przez *Feliksa Jezierskiego* (Warszawa, 1889, 8-vo, str. XXIX i 151; skład gł. w księg. E. Wendego, cena kop. 50).

— Rada Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, na konkurs dwulecia 1890—1892 ogłasza zadanie następujące: **„Plany wojny tureckiéj Władysława IV-go i jego stosunek do Kozaczyzny, ze szczególném uwzględnieniem stanowiska tego króla wobec Unii.“** Żądana praca, w języku polskim, ma obejmować nie mniéj 10 arkuszy druku. Autor najlepszéj rozprawy otrzyma nagrody 1,800 franków; nagroda ta jednak w danym razie będzie mogła być rozdzielona na dwie części, i wtenczas najlepsza praca otrzyma fr. 1,200, następująca po niéj fr. 600. Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopisie pod adresem sekretarza generalnego Akademii umiejętności w Krakowie, albo sekretarza Towarzystwa historycznego-literackiego (Paryż, 6, quai d'Orléans). Rękopis powinien być przysłany bezimiennie i opatrzony godłem wybraném przez autora, a toż samo godło ma się znajdować na liście zapieczętowanym, dołączonym do rękopisu i zawierającym nazwisko autora. Terminem ostatecznym dla złożenia rękopisów jest dzień 15-go lutego 1892 r. Na posiedzeniu publiczném dnia 3-go maja 1892 r. rada odpieczętuje list, noszący godło pracy, któréj została przyznana nagroda, i ogłosi imię jéj autora. Inne listy zostaną spalone. Gdyby do wymienionego terminu nie była przysłana żadna praca, któraby w myśl obecnego konkursu zasługiwała na nagrodę, w takim razie suma 1,800 franków, użyta zostanie na nagrodzenie historycznego dzieła z ostatnich dwóch lat, lub na cel inny do poparcia badań i prac nad dziejami polskiemi służący.

— Nakładem Towarzystwa biblioteki słuchaczów prawa we Lwowie opuścił prasę tom I dzieła d-ra Ferdynanda Źródłowskiego **„Pandekta prawa rzymskiego“** (Wstęp i część ogólna). Cena egzemplarza 8 zł. w. a. Do nabycia w księgarni P. Starzyka (przedtém J. Milikowskiego) we Lwowie, Rynek 34.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nad przepaścią kresową. — Niespodziewana oporność. — Lista nabytków ostatniéj chwili.—Straty i przyrost w Prusach zachodnich. — Liczby dra Nadmorskiego. — Nasze siedziby nad morzem. — Szczupła garstka prenumeratorów „Pamiętnika Fizyograficznego“ i prośba do czytelników „Ateneum“. — Astronomia dla ludu. — Nieprzezwyciężona trudność dla popularyzatora. — Otwarcie banku włościańskiego.—Kredyt i opieka.—Fałszywy alarm.—Prawa o Żydach. — Kursy rolnictwa dla nauczycieli wiejskich.— Sprostowanie błędnych mniemań o wystawie stałéj. — Zakończenie odczytów.

Niegdyś Zacharyasiewicz w powieści swojéj „Na kresach“, pisanéj zresztą jeszcze w czasach stosunkowo bardzo dobrych, bo w jakimś roku 1859, porównał dzielnicę poznańską i Prusy zachodnie do gruntu, położonego nad przepaścią. Nieustannie kawał ziemi odrywa się i ginie.

W téj chwili, gdy to piszę, nad przepaścią zawisł duży majątek Dziewierzewo. Leży on w powiecie wągrowieckim w rejencyi bydgoskiéj. Składa się z wielu folwarków, posiada 7,124 morgi najlepszéj ziemi i zwany był „Perłą Pałuk“. Wedle jednych wiadomości stanowi on już dziś własność komisyi kolonizacyjnéj i lada dzień rozdrapie go rzesza przybyszów niemieckich; wedle wieści innych, układy z komisyą zerwano i Dziewierzewo zostanie nabyte przez jednego z licznych konkurentów polskich, prawdopodobnie przez p. Erazma Brzeskiego z Kujaw.

Pisma niemieckie w ciągu dnia jednego oddawały się wielkiéj radości, ciesząc się z przybytku nowéj perły do skarbca germańskiego. Potém zamilkły nagle, ale nadziei nie tracą, iż to tylko odwłoka. One również czekają niecierpliwie i niespokojnie co się stanie, tylko im chodzi o perłę, innym—o życie.

Wogóle z tą komisyą kolonizacyjną stała się rzecz dziwna. Pierwsze dni jéj istnienia były powodzią tryumfów. Zdawało się, że setka milionów nie wystarczy do zakupienia wszystkiéj ziemi, jaką

sprzedać chciano. Widocznem, zupełnie widocznem było, że rachuby germańskie nie zawiodły, nadchodziła chwila ostatecznej likwidacyi żywiołu bankrutującego. Brakowało jeszcze tylko jednego pchnięcia, aby drzewo przedtem ze wszech stron podkopywane, z poderwanemi korzeniami, runęło. To pchnięcie wymierzono z wielkim wysiłkiem i... drzewo nie runęło.

Wyznać muszę, iż kiedy lat temu kilka pisałem wielokrotnie o tych sprawach obawy moje sięgały do tego niemal punktu, gdzie dochodziły nadzieje kanclerza żelaznego. Głośno nie powiadałem tego, bom nie chciał być puszczykiem, wieszczącym przedwcześnie zagładę, bo obowiązek kazał niecić otuchę, nie zwątpienie. Ale jeśli można było stłumić jęk, to niepodobna było zagłuszyć boleści w głębi serca i niemal przeświadczenia wewnętrznego, że rachuby niemieckie nie są zuchwałą fantazyą.

Wszędzie prawie na kontynencie europejskim większa własność ziemska potrzebuje dziś opieki rządu. Tam, nad Wartą, wszystkie wiatry dmą prosto w oczy. Każdy organizm, byt każdy, wymaga sprzyjających warunków do rozwoju — tam wszystkie niemal warunki pracują nad zagładą. Wiadomo było, iż zasoby materyalne są prawie nijakie.

Początek stwierdził całkowicie nadzieje jednych, obawy drugich. Tylko próchno tak się sypać może, jak się posypały prośby do cudzoziemców o nabycie ziemi ojczystej. Próby założenia banku dowiodły i braku sił i nawet może braku umiejętności. Zresztą czem mógł być bank ten w razie najwyższego nawet powodzenia. Wiatrówką słabą, przeciwko potężnym bateryom szturmujących dział! Tymczasem... tryumfy komisyi ustały. Zamiast długiej listy, można było wkrótce zapisywać nazwiska już tylko paru folwarków przez rok cały. W parlamencie posypały się skargi. Kolej zwątpienia przyszła na Niemców. Co więcej, ci i owi, sprzedawszy drogo ziemię komisyi, poczęli ją o wiele taniej kupować od osób prywatnych — Niemców. Gdzieniegdzie znowu koloniści nie dopisali, zmykali wnet po osiedleniu. Coraz częściej można było spotkać w gazetach wiadomości o nabyciu przez Polaków dóbr niemieckich.

W ostatnim numerze „Kraju“, słynny ze swego pesymizmu korespondent poznański donosi, iż komisya kolonizacyjna skupować zaczyna majątki od Niemców i dodaje ironicznie, że może będzie je parcelować pomiędzy chłopów polskich.

Biorę do ręki parę ostatnich gazet tutejszych i znajduję: hr. Czarnecki od rodziny niemieckiej Bandelowów odkupił majątek Dobrzyce, obejmujący 8,500 morgów; p. Bolesław Ziołecki, dzierżawca,

nabył z rąk niemieckich wieś Węgierskie, morgów przeszło 2,000; majątek Hamer pod Golubiem przeszedł w ręce polskie, obejmuje przeszło 1,200 morgów, kupił go p. Stanisław Graff od banku hypotecznego w Szczecinie; p. Mlicka nabyła od Niemca majątek Złotniki w pow. mogilnickim — 1,350 morgów.

Poszukiwań nie robiłem, zanotowałem te tylko fakty, które mi same wpadły w oko w ostatnich numerach gazet; może podobnych wypadków nazbierałoby się jeszcze kilka.

Zwracam się do innego źródła. W ostatnim tomie „Pamiętnika Fizyograficznego“ znajduje się nadzwyczaj cenna i ciekawa praca dra Nadmorskiego p. t. „Ludność polska w Prusach zachodnich“. Autor nie grzeszy bynajmniéj różowym poglądem, raczéj by można było zarzucić, iż ponurych jego wniosków nie usprawiedliwiają dostatecznie szczegóły. Opisując smutne dzieje pow. sztumskiego dr. Nadmorski, zaznacza, iż od r. 1852 żywioł polski cofa się tu bardzo. „Ludność polska — czytamy — zewsząd parta, zaczęła się téż w ostatnich lat dziesiątkach, jak gdyby jéj zabrakło wolnego oddechu, wynosić do Ameryki lub w głąb Niemiec. Od r. 1871 do 1885 zmniejszyła się ogólna ludność o 2,704 głowy; gdy dodamy przyrost naturalny z tego 14-letniego okresu, otrzymamy przeszło 6,000 głów, które powiat w tym czasie utracił. Taki ubytek ludności w żadnym innym powiecie zachodnio-pruskim nie miał miejsca, a głównie do ludności polskiéj powiatu się odnosi“.

I oto nadchodzi epoka rugów, gospodarki komisyi kolonizacyjnéj, a jednocześnie żywioł polski zaczyna się wzmagać w tym najbardziéj zagrożonym powiecie. Żeby się zaś przekonać, iż rzeczywiście jest najbardziéj zagrożonym, dosyć spojrzéć na doskonałą mapę dra Nadmorskiego. Wciska się on klinem daleko pomiędzy ziemie całkowicie niemieckie, na północy graniczy z powiatem malborskim na wschodzie z Prusami książęcemi, na południe z powiatem suskim i niemiecką częścią kwidzyńskiego. P. Czyński w swéj pracy etnograficzno-statystycznéj nazwał go nawet wyspą; w gruncie rzeczy łączy się on z powiatami przeważnie polskiemi, ale cienkiemi przesmykami o ludności znacznie rozcieńczonéj przez żywioł germański.

Taką oto wiązankę faktów dostarczyły nam z „kresów“ zachodnich czasy ostatnie. Uważałem za właściwe podzielić się niemi z czytelnikami „Ateneum“. Czy można na ich podstawie budować jakieś pewniejsze wnioski o przyszłości? Naturalnie, że nie! Jutro nowa fala przynieść może wieści, brzmiące całkiem odmiennie. Ale w życiu i małych pociech, chwilowych, lekceważyć nie należy. Nie omijamy

kolców żadnych, zwróćmyż uwagę i na zawiązki kwiatów, chociaż są one drobne.

A zatém, fakty te, połączone ze znacznym, jak na tameczne stosunki tryumfem wyborczym, chociaż nie stanowią żadnego dowodu, mogą być wskazówką zmiany na lepsze.

Wracam jeszcze do pracy dra Nadmorskiego. Opiéra się ona na metodzie ścisłéj, na danych urzędowych różnego rodzaju i na dokładnéj bezpośredniéj znajomości kraju i stosunków. Bodaj téż czy o składzie etnograficznym jakiéjś innéj prowincyi, prócz może Galicyi, możemy miéć tak dokładne pojęcie, jak o Prusach zachodnich po tych badaniach dra Nadmorskiego. Przechodził on kolejno każde niemal pojedyńcze miasteczko, każdą gminę.

Ogólny rezultat jest taki, że na 1,408,229 głów ludności w całéj prowincyi, Polaków liczyć można 525,813 czyli 37 ½%. Najliczniejszy stosunkowo żywioł polski jest w pow. lubawskim (82%), prawie zaś wcale nie ma Polaków w pow. elbląskim i malborskim (2 ½%) oraz w wałeckim (1%). Większość Polacy posiadają w 14 powiatach (na 27). Opierając się na dokładniejszéj, a bardzo skrupulatnéj rachubie, naliczył dr. Nadmorski przeszło o 50 tysięcy Polaków więcéj niż p. Czyński, który za podstawę miał jedynie cyfry urzędowe.

Wedle twierdzeń autora, ludność wiejska opiéra się dosyć wytrwale germanizacyi, ale, dostawszy się do miast, szybko niemczeje. Resztka Polaków-protestantów na Pomorzu niemieckim niknie, lub może już całkowicie zniknęła, katolicy zachowują dotąd odrębność.

Mapy etnograficzne, jakie dotychczas widziałem, przeważnie pochodzenia niemieckiego, lub z niemieckich wzorów przerysowane, podawały obraz ziem, przez Polaków w tamtejszych stronach zamieszkałych, jako poszarpane strzępki bez połączenia. Z mapy w „Pamiętniku Fizyograficznym“ wynika co innego. Figura jest wprawdzie dosyć niekształtna, ale jednolita. Ziemie zajęte przez większość polską po nad dosyć szerokim pasem na południe, łączącym się z ludnością poznańską, Królestwa i mazurów w Prusach wschodnich, tworzą niby dwa trójkąty o przyciętych wierzchołkach, zestawione z sobą podstawami. Krańcem północnym jest wybrzeże morza baltyckiego, najbardziéj wysunięte punkty na zachód opierają się o dolną część rzeki Brdy; na wschodzie powiat sztumski (52%) przekracza Nogat.

Kiedy już mowa o „Pamiętniku Fizyograficznym“, dodać muszę ze smutkiem, że liczba osób, które wniosły przedpłatę na tom ostatni jest bardzo a bardzo szczupła. Dziewięć lat wytrwałéj pracy nie zdołało przełamać obojętności ogółu. A jednak w tym dużym i grubym tomie, pełnym rysunków, map, tablic, znajduje się 19 prac, które

wszystkie *muszą* interesować badaczów, znaczna część *może* zainteresować wszystkich, których obchodzi natura i bogactwo kraju własnego. Sama praca d-ra Nadmorskiego już całkowicie wystarcza, aby tom ten nabyć. Cena jest w porównaniu z wartością i rozmiarami bardzo niska, gdyż wynosi tylko rs. 5. Byłaby nietylko szkoda, ale wstyd poprostu, gdyby to tak pożyteczne i potrzebne wydawnictwo upaść miało z powodu braku poparcia. Mam nadzieję, iż czytelnicy „Ateneum“ sprawę tę wezmą do serca, i do spełnienia obowiązku nabycia „Pamiętnika Fizyograficznego“ zechcą gorąco zachęcać jaknajszersze koła. Aby się przekonać zupełnie, iż mamy racyę, mówiąc to, dosyć jest przerzucić tom IX-ty (ostatni) i przejrzéć treść dawniejszych.

Od jednéj książki przejdźmy do drugiéj, chociaż bardzo odległéj i rozmiarami i założeniem; od specyalnych monografii — do książeczki popularnéj dla ludu p. t.: „Czego nas Kopernik o obrotach ziemi nauczył.“ Napisał ją pan S. K.

Dziełko to jest bardzo interesujące ze względu na sposób przedstawienia kwestyi. Wyłożenie prawd astronomicznych w sposób przystępny dla umysłów, nieoswojonych z rozumowaniem oderwaném, należy do rzeczy najtrudniejszych. Łatwo to zrozumiéć. Teorya Kopernika tak długo walczyć musiała z opozycyą, nie wskutek jedynie oporności konserwatyzmu, lecz że uzasadnienie jéj rzeczywiście wkracza w najtrudniejsze sfery kombinacyi umysłowych i nie zaświéci przed każdym jak jasne słońce prawdy. Komu wypadło uczyć się początków astronomii w gimnazyum, lub jeszcze bardziéj wykładać astronomię wyrostkom, o umyśle wyćwiczonym już na rzeczach łatwiejszych, ten wié, co się za trudności spotykają, jak nieraz to i owo wyminąć należy, a całość przez to obleka się mgłą niezrozumiałości. Garcet w klasycznéj swojéj kosmografii, przeznaczonéj dla szkół średnich, uważał za konieczne w notach uciec się do rachunku wyższego; ś. p. Jędrzejewicz nawet do tekstu wprowadził pojęcia z matematyki wyższéj. Najbardziéj opisowy sposób traktowania tych rzeczy napotyka jeszcze bardzo wielkie trudności.

Jak się p. S. K. wywiązał z tak trudnego zadania? Książeczka jego jest rzeczywiście przystępną i z nadzwyczajném mistrzostwem pedagogiczném napisaną, pomimo to wątpię, czy ją **każdy**, jak zapowiada tytuł, zrozumiéć zdoła. Pan S. K. do ostatniéj granicy popularności nie doszedł, bo mu na to nie pozwoliły rozmiary dziełka. Okazało się, iż na 62 stronicach można doskonale samą rzecz wyłuszczyć, ale stanowczo nie ma miejsca na tłómaczenie słów. Trzeba mówić o „bryłach niebieskich,“ o „oku nieuzbrojoném,“ o „wrażeniach,“

o „odzwierciadleniu,“ o „wymiarach nieba“ i t. d.,—przy szerszém rozpisaniu się te rzeczy niewątpliwie byłyby podane opisowo.

Zdaje mi się, że książeczkę p. S. K. (kosztuje 10 groszy) czytać będzie z zajęciem i pożytkiem niższy świat urzędniczy, rzemieślnicy w miastach, nawet może robotnicy w fabrykach, ale astronomii dla chłopów jeszcze nie mamy. Ponieważ zaś przy możliwych rozmiarach broszurki ludowéj, przystępności wykładu daléj posunąć niepodobna, więc możeby należało uszczuplić zakres treści. Gdyby p. S. K. każdemu z rozdziałów swoich poświęcił całą jedną książeczkę, to niewątpliwie każdy czytelnik doskonale zrozumiałby ogólne zarysy budowy i ruchu świata.

W d. 1 maja r. b. otwarte zostały w Królestwie Polskiém 4 oddziały banku włościańskiego, a mianowicie: w Warszawie na gubernie warszawską, płocką i radomską; w Łomży na gub. łomżyńską i suwalska; w Lublinie na gub. lubelską i siedlecką, oraz w Piotrkowie na gub. piotrkowską, kaliską i kielecką.

Rozciągnięcie ustawy zasadniczéj banku włościańskiego, wydanéj dla Cesarstwa jeszcze w r. 1882, uzyskało sankcyę już w 1888 r. w kwietniu, czyli przeszło dwa lata temu. Opracowanie procedury napotkało na nieprzewidziane trudności i stąd taka zwłoka. Niecierpliwiła ona wielu publicystów, zrodziło się nawet podejrzenie, iż to sprawka intrygi szlachciców, chociaż ci w tym czasie wyglądali banku z równą może niecierpliwością, jak i chłopi, — przecie pożyczki przysporzą im nabywców, nie bardzo łatwych w tych czasach do znalezienia, a wielce pożądanych.

W ciągu tych dwu lat wydana téż została instrukcya p. Generał-gubernatora dla komisarzy włościańskich, która zmodyfikowała w pewnéj mierze ustawę pierwotną, mianowicie wprowadziła ograniczenia dla gub. siedleckiéj i lubelskiéj.

Istniejące przepisy mają być wkrótce uzupełnione jeszcze dwoma ważnemi dodatkami, mianowicie: ustawą o spółkach włościańskich, zawiązywanych celem zaciągnięcia pożyczki i zakupna ziemi, oraz procedurą egzekucyjną w razie nieuiszczenia raty w terminie. Pomimo tego braku, banki natychmiast funkcyonować poczęły i już, czyniąc zadość podanym prośbom, przyznały dosyć znaczne pożyczki włościanom w różnych częściach kraju. Co więcéj, pożyczki te wydane zostały nie jednostkom, lecz grupom, więc spółkom. Ustawa téż sama przewiduje i pozwala na dwa sposoby nabywania: 1) przez nabywców pojedyńczych, 2) przez kilku, kilkudziesięciu lub więcéj nawet włościan, kupujących ziemię bądź na własność osobistą, bądź na wspólną, bądź na osobistą i wspólną jednocześnie (np. grunta orne na własność

osobistą a pastwiska — na wspólną). Ostatnie zaś przepisy ministeryalne (z d. 22 kwietnia r. b.) określają, kto może być uczestnikiem kupna zbiorowego, ustanawiają *maximum* pożyczki dla jednego członka spółki (500 rs.). Wobec tego, oczywiście, ustawa o spółkach włościańskich stanowi potrzebę bardzo pilną.

Z przepisów ministeryalnych należy podnieść jeszcze jeden szczegół: pożyczka nie będzie ani zależéć od gruntu już posiadanego, ani opiérać się na nim. Będą ją mogli otrzymywać bezrolni parobcy na tych samych zasadach, co właściciele-gospodarze.

Z artykułu wstępnego w n-rze 17 „Kraju,“ mającego cechy informacyi, zasięgniętéj u źródła, wynika, iż Bank włościański w Królestwie nie będzie instytucyą natury czysto kredytowéj, lecz także rodzajem opieki nad ekonomicznym wzrostem majątku włościańskiego. Naprzykład, pomimo przepisanéj w ustawach dosyć znacznéj liczby formalności, bank nie będzie zbytnio przestrzegał zwyczajów biurowych, uczyni w każdym razie wszelkie możliwe ułatwienie i uwzględni wszelkie trudności. Obok tego, a może wskutek tego interesanci nie powinni uciekać się do żadnego pośrednictwa, gdyż to może być przez władze źle widziane; należy zwracać się wprost do urzędników bankowych, którzy obowiązani są udzielać wszelkich objaśnień i pomocy.

Daléj, ponieważ dobro społeczne i racyonalna gospodarka wymaga, aby grunta włościańskie nie były rozrzucone wśród posiadłości innych w t. zw. szachownice, lecz aby stanowiły zwarte jednolite terytorya, więc sprzedawca sam starać się powinien (choć ustawa tego za obowiązek nie poczytuje), aby grunt tworzył zamkniętą w sobie całość, gdyż bank popierać będzie za pomocą wysokiego szacunku przedewszystkiém takie kupno, które bądź rozpada się już na racyonalnie urządzone kolonie, bądź je utworzy przez kombinacye i połączenia już posiadanych gruntów z nowonabytemi. Sprzedawca przeto, dokonywając sam parcelacyi szczegółowéj i organizując ją odpowiednio, może otrzymać za swój grunt cenę daleko lepszą, niż sprzedając hurtem i pozostawiając troskę o podział samym włościanom lub parcelującemu przedsiębiorcy. Zresztą bank, o ile zauważy brak warunków, potrzebnych do racyonalnego gospodarstwa włościańskiego, pożyczki albo wprost odmówi, albo ją znacznie zmiejszy.

Bank będzie téż niechętném okiem patrzył na nabywców obcych, chociażby to byli nawet włościanie bliscy, gdyż, wciskając się pomiędzy działki posiadaczów dawniejszych, utrudnią lub uniemożliwią skupienie rozrzuconych gruntów. Temu niepożądanemu wypadkowi ma również zapobiegać przepis, iż grunta obciążone serwitutami, mogą być sprzedane tylko spółce lub włościanom, którzy użytkują ze służeb-

ności, przyczém w umowie brać muszą udział wszyscy bez wyjątku, korzystający z serwitutu.

„Dopomożenie włościanom do urządzenia gospodarstw rolnych—informuje w końcu „Kraj“—będzie głównym celem działalności Banku w Królestwie. Nie będzie on bynajmniéj dążył do zniesienia własności większéj, niezbędnéj dla postępowego rozwoju rolnictwa i przemysłu rolnego, przy którym znajdują zarobek włościanie, ani popierał spekulacyi ziemią ze strony namiętnych parcelantów. Nie będzie téż miał na widoku celów wywłaszczających, jak pruska komisya kolonizacyjna.“

Jeden dziennik i jeden tygodnik pokwapiły się z wiadomością o zatwierdzeniu przez komitet ministrów innéj, bardzo doniosłéj dla kraju naszego ustawy, mianowicie co do prawa osiedlania się i przebywania żydów we wsiach. Z jak najwiarogodniejszego źródła zapewnić mogę, iż ustawa, a raczéj projekt ustawy dotychczas w komitecie ministrów nie był i nawet prawdopodobnie w dzisiejszém swém brzmieniu nigdy tam nie trafi. Projekt wypracowało ministeryum spraw wewnętrznych i tymczasem przedstawiło do wniosków p. ministrowi skarbu.

Projekt ten idzie nieco daléj niż znane dezyderaty komisyi warszawskiéj. Nie ma tam mianowicie żadnych rozróżnień co do większych i mniejszych majątków; zakaz pobytu we wsiach jest bezwzględny wyjątek uczyniony został tylko dla żydów, posiadających stopień kandydacki, oraz dla tych, których ustawy żydowskie z r. 1882 zastały już na wsi, i to o tyle, o ile nie zechcą zmienić miejsca pobytu. Prócz tego przy rodzicach na wsi mieszkać mogą jedynie dzieci niepełnoletnie.

Projekt wyraźnie stosuje się i do Królestwa, gdyż wszędzie obok władz „wołostnych“ wymienione zostały „gminne.“ Jedno tylko wyłączenie uczyniono dla Królestwa, mianowicie zwolniono żydów, mieszkających na wsiach, od podatku specyalnego, jaki będą opłacać w Cesarstwie.

W wielu punktach państwa zajęcie się myślą wykształcenia fachowego młodych pokoleń zarówno w kierunku przemysłowym, jak i rolnym, doprowadziło do spostrzeżenia istotnego braku w nauce najniższéj, w szkółkach ludowych. Szkoły te nie przyczyniają się niczém do podniesienia rolnictwa chłopskiego, nie powiększają wiedzy włościan w téj sferze, która stanowi główną treść ich życia i pracy, słowem, nietylko nie zadawalniają, ale nawet nie starają się zadawalniać najważniejszéj potrzeby życiowéj.

Spostrzeżenie powyższe wywołało natychmiast projekty zaradzenia złemu, a w pewnych miejscowościach nawet próby zakładania przy

szkółkach ludowych: sadów, ogrodów, szkółek z różnorodnemi drzewkami, pasiek, plantacyi morwowych i t. d. Pozostała jednak do pokonania wielka, największa trudność: nauczyciele sami, wykształceni w kilku klasach gimnazyum lub szkoły powiatowéj, w najlepszym razie w seminaryum nauczycielskiém, pojęcia najmniejszego nie mają ani o rolnictwie, ani o sadownictwie, ani o żadnéj innéj gałązce przemysłu rolnego. Ażeby temu zaradzić postanowiono w majątkach, zostających pod zarządem ministeryum dóbr państwa, urządzić w czasie wakacyi kursy bezpłatne, teoretyczne i praktyczne dla nauczycieli, oraz dla kandydatów na nauczycieli, którzy ukończyli seminarya.

W początkach maja r. b. ministeryum dóbr państwa uzyskało zatwierdzenie projektu otworzenia sposobem próby na trzy lata kilku takich instytucyi. Ogłoszone téż zostały zasady organizacyi kursów.

Spodziewać się nie można, aby pożyteczna ta nowość zastosowaną odrazu być mogła we wszystkich częściach państwa. Ale jednocześnie przypuszczać należy, iż naśladowanie dobrego przykładu nie spotka żadnych trudności. Nauczyciel wielu wiadomości, bardzo potrzebnych dla swych uczniów, nabyć może u ogrodnika lub pasiecznika w dworze sąsiednim. Dobrzeby téż było, żeby odpowiednie instytucye warszawskie możliwie uprzystępniły warunki dla nauczycieli wiejskich, jeżeli naturalnie to już nie jest zrobione, o czém nie wiemy. Również przydałaby się książeczka, zawierająca wskazówki w tym kierunku, tak jak np. dziełko p. Jankowskiego o ogrodownictwie wiejskim. Na potrzebę czegoś podobnego zwrócić powinno uwagę Towarzystwo ogrodnicze. Bardzo być może, iż znajdują się wydawnictwa stare, lub artykuły w „Ogrodniku Polskim,“ zadawalniające w części lub w całości tę potrzebę, ale w handlu księgarskim bieżącym tego nie widać. Należałoby skorzystać z chwili.

A ludziom trzeba nieraz bardzo zwracać uwagę, aby coś dojrzeli. Doświadczyła tego świeżo wystawa stała prób i próbek naszego przemysłu fabrycznego i rzemiosł. Obrała ona sobie siedzibę w „Muzeum przemysłu i rolnictwa.“

Wiadomo, iż wystawy są obecnie w naszém mieście dosyć, jeżeli nie zdepopularyzowe, to spowszedniałe, ponieważ, jak twierdzą, chodzi tam nieraz o zwabienie publiczności za pomocą sztuczek i o sprzedanie jaknajwiększéj liczby biletów. To téż można nieraz usłyszéć o wystawach lekceważącą nazwę: „szopka.“

Cień „szopki“ padł, jakiem się niedawno dowiedział ze skarg jednego z organizatorów i na wystawę stałą, chociaż ona znacznie i zasadniczo różni się od imienniczek. Mianowicie nie ma bynajmniéj na widoku zysków doraźnych od zwiedzających. Ludzie, troszczący się o byt i rozwój naszego przemysłu, pragnęli z niéj zrobić miniaturowe odbicie

się całéj wytwórczości krajowéj. Wystawa dosięgłaby ideału, gdyby w jéj salach znalazły się okazy, modele lub albumy wszystkich rzeczy, wyrabianych w Królestwie. Prócz tego na wystawie zasięgnąć można informacyj o firmach, które sobie tego życzą. A więc nabywca krajowy czy cudzoziemiec ma, mógłby mieć, lub będzie miał możność dowiedzenia się, gdzie można dostać towaru, który mu jest potrzebny i nie z reklamy, lecz z wyrobów samych, mając możność odrazu zestawić je z wyrobami współzawodników.

Pożytek z takiéj wystawy jest widoczny, pisaliśmy o nim już kilka miesięcy temu w „Ateneum", powtarzać więc tu nie będziemy. dodam tylko, iż zagranicą w Niemczech, nawet w miastach znacznie od Warszawy mniejszych, wystawy podobne istnieją a przemysłowcy, widząc ze skutków zyski, bardzo się niemi opiekują.

Odczyty na Osady role, przeciągnęły się w r. b. znacznie po za zwykły termin, gdyż ostatni miał miejsce zaledwie dwa tygodnie temu.

Po odczytach, o których już pisaliśmy, przemawiał p. Suligowski, rzecz jego czytelnicy „Ateneum" poznali już w całém brzmieniu. Potém p. Caroli, znany fotograf tutejszy, mówił dwa razy o swoim fachu i tym tak pozornie suchym przedmiotem zdołał nadzwyczajnie zainteresować czytelników. Ciekawą opowieść o postępach fotografii, ulepszeniach urozmaicał p. Caroli pokazywaniem rzeczy samych i doświadczeniami, fotografował przytém audytoryum swoje; oczywiście wszystko to przyczyniło się niezmiernie do pomyślnego rezultatu—słuchacze wyszli zadowoleni bardziéj może, niż z jakiegokolwiek innego odczytu.

Zakończył seryę tegoroczną p. Gawalewicz, dwoma odczytami o Zabłockim. Wydanie przed kilkunastu laty dzieł tego w swoim czasie rozgłośnego komedyopisarza, nie zdołało zedrzéć zeń zasłony zapomnienia. Co prawda, dziś ani Zabłockiego, ani wielu współczesnych mu wybitnych pisarzy ogół nie czytuje. Narzekają zazwyczaj na zestarzenie się stylu i sposobu przedstawienia rzeczy. Dla czytelnika zwyczajnego, który czytać chce dla saméj tylko przyjemności i rozrywki, i który nie ma odpowiednio przygotowanego smaku, lektura taka powabną zapewne nie jest. Różnimy się pod tym względem od innych, choćby np. od Francuzów, którzy swoich Molierów Beaumarchais znają dobrze, nie składając obowiązku ich poznania na literatów fachowych. Dobrze tedy się dzieje, gdy temu ogółowi pokaże się od czasu do czasu przynajmniéj obrazy przeszłości literackiéj.

Ażeby módz jako tako chociaż oryentować się wśród zjawisk bieżących, aby się uchronić od jednostronności i nieraz prze-

sady, potrzeba koniecznie — wiedzieć, co było dawniéj i jaką koleją kroczy twórczość ludzka.

Wybór téż tematu przez p. Gawalewicza należał do szczęśliwszych. Pomimo to w sali nie było wcale pełno. A przecież p. Gawalewicz nie po raz pierwszy wstępował na katedrę publiczną, wiedziano, iż umié mówić gładko i zajmująco.

Tegoroczne odczyty stwierdziły nabytą reputacyą. Na barwném tle stosunków literackich i społecznych wieku, prelegent narysował wybitną postać autora „Fircyka w zalotach“, wykazał zalety jego utworów i charakter talentu, wyjaśnił stanowisko w dziejach komedyi, wyświetlił wpływ na pisarzy poźniejszych. Słuchało się tego przyjemnie i z pożytkiem.

Lus.



NEKROLOGIA.

† **Edward Minkowiecki,** skromny pracownik na polu bibliografii, autor „Spisu pseudonimów polskich“ i „Spisu pamiętników“, oraz innych pism i robót tego rodzaju, zmarł w Warszawie 11 kwietnia, w wieku lat 66. Pozostała po nim w rękopiśmie bibliografia druków z roku 1830 i 1831.

† **Anastazya z Jełowickich Dzieduszycka,** ur. 1842 w Woskodawach (gub. woł.), w dojrzałym wieku poświęciła się pracom pedagogicznym i rychło otrzymała rozgłos i wpływ. Pierwsza jéj książka „Myśli o wychowaniu i wykształceniu naszych niewiast“ (1871, Lwów, 2-e wyd. 1874 Warsz.), wywołała bardzo ożywioną dyskusyę. Nastąpiły potém „Gawędy matki“ (Lwów, 1872), „Gawędy o wychowaniu“ (1875), „Książka młodéj kobiéty“ (1881), „Listy nauczycielki“ (1883), wydane spólnie z p. Seredyńskim dobre i tanie „Wypisy polskie“ (1881), i wiele artykułów w różnych czasopismach. Z pomiędzy książeczek dla dzieci wymienić należy: „Jak sobie dziatwa radziła“ (Warsz. 1877 r.) Od pięciu lat wskutek rozstroju umysłowego pozostawała w klasztorze sióstr miłosierdzia we Lwowie, gdzie téż zmarła w połowie maja r. b.

† **Władysław Walewski,** obywatel ziemski, jeden z głównych, a po śmierci Filipa Sulimierskiego wyłączny wydawca pomnikowego wydawnictwa: „Słownik geograficzny“, zmarł w Warszawie 15 kwietnia.

† **Apolinary Schouppé,** jeden z najpierwszych u nas propagatorów myśli zakładania cukrowni, chociaż sam tą drogą nie poszedł, oddawszy się pracom inżynierskim, zmarł w Warszawie 20 maja. Jest on autorem książki p. n. „O postępie fabrykacyi cukru z buraków w ostatnich czasach. Uwagi zebrane podczas podróży technicznéj w latach 1838 i 1839“ (Warszawa, 1840, str. VII i 129).

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*.—Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено цензурою. Варшава, 23 Мая 1890 г. — Druk Jana Cotty.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale II-gim 1890 r.

1. **Dla dzieci.** I. Powieści i baśnie z różnych autorów zebrała *R. M.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 52 z rysunkami.
2. *Wincenty Kosiakiewicz.* **Druty telegraficzne.** Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 261.
3. **Das Reichsgericht und die Virilstimmen.** Ein staatsrechtliches Studium von D-r. *Stanislaus* Ritter von *Starzyński.* Lwów, u Pawła Starzyka, 1890, 8-o, str. 79.
4. **Buchalterya podwójna** (włoska). Wykład popularny dla samouków opracował *Gustaw Chwat.* Warszawa, nakł. autora, 1890, 8-o, zeszyt III, str. 57—84 (cena zeszytu kop. 20).
5. **Chłopski adwokat.** Przeróbka z powieści „Niziny" *Elizy Orzeszkowéj.* (Z rysunkami). Warszawa, 1890, 8-o, str. 77.
6. **Małgorzatka,** pieszczotka matusina. Obrazek z życia ludowego przez *A. Dygasa.* Z rysunkami J. Chełmońskiego. Warszawa. 1890, 8-o, str. 70.
7. **Hypnotyzm** w nauce a w praktyce. Odczyty na rzecz Osad rolnych, przez D-ra *Aleksandra Fabiana.* Warszawa, nakł. autora, skład głów. w księg. E. Wende i S-ka, 1890, wielkie 8-o, str. 50.
8. *Stanisław Libicki.* **O wydawaniu praw** i ustrój instytucyj prawodawczych rossyjskich. Warszawa, 1890, 8-o, str. 224.
9. **Pamiętnik fizyograficzny.** Tom IX. Warszawa, 1889, 4-o, z 24 tablicami litogr. i drzewor. w tekscie. Dział I: Meteorologia i hidrografia, str. 225. Dział II: Gieologia z chemią, str. 45 i II. Dział III: Botanika i zoologia, str. 295. Dział IV: Antropologia, str. 77.
10. **Protokóły zgromadzeń** nacyi polskiéj w Padwie, wydał *St. Windakiewicz.* Kraków, 1890, 8-o, str. 58.
11. **Statuta nacyi polskiéj** w Padwie, wydał *St. Windakiewicz.* Kraków, 1890, 8-o, str. 14,
12. *Józef Rogosz.* **Na dziejowym przełomie.** Powieść historyczna z XV wieku. Tom II (część III i IV). Warszawa, nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1890, 8-o, str. 222 i 208.
13. *Boirac Emil.* **Zasady filozofii,** tłómaczył *Adolf Dygasiński.* Warszawa, u T. Paprockiego i S-ki, 8-o. Zeszyt 2, str. 113—192 (cena zeszytu kop. 85).
14. **Wisła.** Miesięcznik gieograficzno-etnograficzny pod kierunkiem literackim *Jana Karłowicza.* Tom IV: styczeń, luty, marzec. Warszawa, skład głów. w księg. M. Arcta, 8-o, str. 286 z rysunkami.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy, wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

